# W Perseuszu

# Siergiej Sniegow

## 4. W Perseuszu

1

Wszystko powtórzyło się, wszystko stało się inne. Poprzednim razem leciałem na Orę czując się jak odkrywca. Gwiezdny świat, połyskujący na półkulach stereoekranu był dziewiczo jasny. Teraz mknęliśmy przetartą drogą w grupie dziesiątków statków lecących za nami i przed nami. Spieszyłem na Orę. Nie chciałem już być gwiezdnym turystą, pragnąłem być żołnierzem największej armii, jaką kiedykolwiek wystawiła ludzkość, i spóźniałem się na punkt zborny!

— Nie rozumiem cię — powiedziała Mary marszcząc swe szerokie brwi, kiedy utyskiwałem na zwłokę wywołaną tym, że na jednym ze statków wykryto jakieś uszkodzenie. Pięćdziesiąt gwiazdolotów straciło przez to prawie miesiąc. — Nikt bez ciebie do Perseusza nie poleci, czemu więc się denerwujesz? I czyż piękno straciło coś przez to, że już raz się nim zachwycałeś?

— Takie piękno przestaje zaskakiwać — mruknąłem. Siedzieliśmy w sali obserwacyjnej wpatrzeni w Aldebarana, który ciągle się nie powiększał.

Mary ma wiele wspólnego z Wierą, chociaż zewnętrznie nie jest do niej podobna. W każdym razie posługują się tą samą suchą, prostolinijną logiką, którą zwykło nazywać się kobiecą.

— Piękno jest doskonałością, czyli szczytem tego, czego się pragnie i oczekuje — powiedziała Mary głosem MUK. — Upragniona i oczekiwana niespodzianka — to brzmi bezsensownie...

— Zgodzisz się chyba, Wiero... — ugryzłem się w język.

— Widziałam twoją siostrę jedynie na stereoekranie — powiedziała ze śmiechem Mary — a ty już nie po raz pierwszy nazywasz mnie jej imieniem. Mylisz się zaś wtedy, kiedy nie masz racji i zamierzasz się usprawiedliwiać... Prawda?

Pocałowałem ją. Jest to chyba jedyna czynność nie wymagająca uzasadnienia lub usprawiedliwiania się.

Nie pomogło. Mary powiedziała z wyrzutem:

— Sądziłam, że będziesz moim przewodnikiem na gwiezdnej trasie. Niegdyś wyprawy nowożeńców nazywano podróżami poślubnymi. Odnoszę wrażenie, że cię ta nasza poślubna podróż znużyła.

Musiałem wyprowadzić ją z błędu. Zacząłem przypominać sobie wszystko, co wiem o gwiazdach, opowiedziałem o locie do Hiad i Plejad.

2

Tym razem Ora nie była samotna. Otaczały ją setki krążowników galaktycznych, z których każdy wyglądał jak niewielka planetka.

Witało nas tak wiele osób, że nie miałem już siły obejmować, ściskać rąk i poklepywać po plecach. Obok Wiery stał Romero, jak zwykle elegancki i chłodno-ironiczny. Ograniczył się do mocnego uścisku ręki i wyminął mnie bez słowa kierując się ku Mary.

— Można pogratulować? Jeśli się nie mylę, pani skryte marzenia się spełniły, prawda? — powiedział tonem wręcz obraźliwym.

Dawniej obawiałem się, że Mary może zakochać się w Pawle, ale teraz wydało mi się, że go nienawidzi.

— Tym razem zgadł pan, Pawle. Rzeczywiście moje najskrytsze marzenia się spełniły!

— Co to znaczy? — zapytała Wiera spoglądając na mnie ze zdumieniem. — Czy coś się zdarzyło?

— Tak, stało się coś dla mnie bardzo ważnego! wziąłem Mary za rękę. — Przedstawiam ci moją żonę, Wiero.

Zawsze dziwiłem się łatwości, z jaką niewiasty się zaprzyjaźniają. Mężczyźni w podobnej sytuacji musieliby stracić co najmniej tydzień na wzajemne przyglądanie się, badanie i sondowanie... Wiem natomiast zbliżyła się do Mary, a ta natychmiast rzuciła się w jej objęcia.

— Nareszcie, Eli! — wykrzyknęła siostra po chwili. — Cieszę się, że wybrałeś właśnie ją.

— Ja się też bardzo cieszę, ale nie był to najlepszy wybór! — zaoponowałem. — Informacja przepowiedziała nam rozwód w trzecim miesiącu pożycia. Wprawdzie minęło już niemal cztery...

Wiera odeszła z Mary na bok, a ja znalazłem się w objęciach przyjaciół.

Bardzo już tęga Olga z całego serca życzyła mi szczęścia, Leonid dodał do tego swoje gratulacje, Allan odgrażał się, iż nigdy nie zdradzi stanu kawalerskiego, a Lusin, patrząc na mnie z taką czułością, jakbym był wyhodowanym w jego instytucie skrzydlatym bykiem z ludzką głową, powiedział nagle: — Chcesz podarunek? Wspaniały smok! Lataj na nim z Mary. Cudowne uczucie.

— Na ognistych smokach lata się tylko do piekła, a tam się na razie nie wybieram — odparłem.

Tymczasem nadleciał Trub wzmagając ogólne zamieszanie. Wydostałem się z jego skrzydlatych objęć porządnie pokiereszowany. Minęła co najmniej godzina, zanim chaotyczne okrzyki i wybuchy śmiechu zmieniły się w spokojną rozmowę.

— Nie gniewa się pan na mnie? — zapytałem Romera. — Mam na myśli moją sugestię co do podróży na Orę...

— Jestem panu wdzięczny, Eli — odparł bez zwykłego namaszczenia w głosie. — Byłem ślepcem, muszę to ze smutkiem przyznać. Nasze przeprosiny z Wierą były tak niespodziewanie szybkie...

Nie mogłem się powstrzymać od ironii.

— Nie wierzę w niespodzianki, zwłaszcza szczęśliwe. Dobra niespodzianka wymaga solidnej pracy organizacyjnej. Tę, jak pan pamięta, poprzedziła nasza kłótnia w lesie.

— Za to pan będzie tu miał niespodzianki przez nikogo nie przygotowane — oświadczył z przekonaniem w głosie Romero. — I to już niedługo, drogi przyjacielu.

Wiera i Mary, nadal objęte w pół, podeszły do nas. Siostra powiedziała:

— Musimy na osobności pomówić o wyprawie do Perseusza. Może zrobimy to zaraz?

Zdziwiłem się, czemu to Wiera musi o wyprawie do Perseusza mówić ze mną bez świadków, ale nie chciała mi tego wytłumaczyć.

— Pełnię obowiązki przewodnika, siostro. Mary jest po raz pierwszy na Orze. 8

— Przyjdź więc po spacerze do mego pokoju hotelowego.

Wiem odeszła z Pawłem, za nimi ruszyli Olga z Leonidem, Osima, Allan i Spychalski — na wszystkich czekały obowiązki.

Jedynie Lusin z Trubem nie opuszczali nas ani na krok. Opiekun Anioła oświadczył, że nie uspokoi się, póki nie pokaże nam zwierzyńca przywiezionego z Ziemi.

Nie chcieliśmy mu sprawiać przykrości i poszliśmy obejrzeć wyhodowane przezeń dziwadła.

Samych pegazów była co najmniej setka — czarnych, pomarańczowych, żółtych, zielonych i wielobarwnych. Co najmniej setka uskrzydlonych koni, wojowniczo rżących, wzbijających się w powietrze i lądujących...

Trub ze skrzyżowanymi na piersiach skrzydłami obserwował hałaśliwy, niespokojny tłumek.

— Cóż to za głupie stworzenia? — powiedział wreszcie. — Nie umieją ani pisać, ani czytać, nie umieją nawet mówić po ludzku!...

W pierwszym roku swego pobytu na Ziemi Trub opanował alfabet, a przed odlotem na Orę zdał egzamin z programu szkoły podstawowej, do którego wchodzi elementarna teoria materii i rachunek różniczkowy oraz szeregi Ngoro. Na Orze Anioł urządził dla swych pobratymców szkoły. Mieszkańcy Hiad mieli, jak się okazało, nietuzinkowe uzdolnienia techniczne. Pasjonowali się zwłaszcza budową urządzeń elektrycznych.

— Przecież to tylko konie, chociaż skrzydlate odparłem. — Tym bardziej nie mogę im wybaczyć tępoty. Mrugnąłem do Mary. Bawiło mnie, że jeden z ulubieńców Lusina oczernia innych jego podopiecznych.

Okazało się jednak, że Lusin bez protestu znosi wybryki Anioła.

— Rasista — powiedział i uśmiechnął się tak promiennie, jakby Trub wychwalał, a nie mieszał z błotem pegazy. — Kult istot wyższych. Dziecięca choroba rozwoju.

Za stajnią pegazów znajdowała się woliera skrzydlatego smoka ognistego, który nas szczególnie zainteresował. Smok był tak ogromny, że przypominał raczej wieloryba niż gada. Był pokryty ognistoczerwonym, grubym pancerzem, z nozdrzy kurzył mu się dym, a od czasu do czasu tryskały z łopotem jęzory płomieni. Skrzydlaty potwór spoglądał na nas dumnie spod półotwartych powiek. Wydawało się nieprawdopodobne, że ten ogrom może wznieść się w powietrze.

— On ma koronę! — wykrzyknęła Mary.

— Urządzenie wyładowcze! — oświadczył z dumą Lusin. — Spala błyskawicami. Świetny, co?

Na głowie smoka istotnie rosły trzy złocone rogi, z których zeskakiwały iskierki otaczające paszczękę czerwonawą aureolą. Ale iskierki w niczym nie przypominały spopielających błyskawic.

— Sprawdź! — powiedział Lusin. — Rzuć kamień. Lub coś innego.

— A czemu sam nie rzucisz? Twoje dzieło, sam więc kontroluj.

— Szkoda mi — przyznał z uśmiechem. — Nie mogę.

Na wylizanej Orze trudno o kamień, rzuciłem więc w smoka scyzorykiem.

Zwierzę gwałtownym ruchem obróciło głowę, błysnęło oczami i wystrzeliło z korony błyskawicę. Wyładowanie dosięgło nożyka jeszcze w locie i zamieniło w obłoczek plazmy. Zaraz potem druga błyskawica trafiła mnie prosto w pierś.

Gdybyśmy, podobnie jak wszyscy mieszkańcy Ory, nie byli chronieni indywidualnymi polami, z pewnością zostalibyśmy oślepieni wyładowaniem, a ja sam rozleciałbym się na strzępy.

— Może trzy błyskawice naraz — powiedział z zachwytem Lusin. — W trzech kierunkach. Nazywa się Gromowładny.

— Nie chciałbym walczyć z Gromowładnym w powietrzu! — wykrztusił zaskoczony Anioł.

Sądzę, że Trub nie tyle się przestraszył, ile pozazdrościł smokowi jego groźnej broni.

— Niech ci będzie Gromowładny — powiedziałem pobłażliwie. — Ale po co mamy wieźć na Perseusza smoki i pegazy?

— Przydadzą się, Eli.

Nie przypuszczałem nawet wówczas, jak bardzo uzasadniona okaże się przezorność Lusina!

Wyszedłem z Mary na zewnątrz.

Był wieczór, sztuczne słońce już zgasło.

— Sami! — krzyknąłem. — Nareszcie sami na Orze!

— Dotychcaas bardziej zależało ci na towarzystwie przyjaciół niż na samotności we dwoje — powiedziała z lekkim wyrzutem Mary.

— Czyżbyś była zazdrosna o Lusina i Truba? — odparłem ze śmiechem. — Chodźmy, pokażę ci Orę.

Długo spacerowaliśmy alejami planety, wstępowaliśmy do opustoszałych gwiezdnych hoteli. W czasie spaceru opowiadałem Mary, jak poznałem Altairczyków, 10

Wegan i Aniołów. Przeszłość stanęła przede mną jak żywa. Przypomniałem sobie Andre, który tu właśnie dokonywał wielkich odkryć, podczas gdy ja szczerzyłem zęby, wyśmiewałem go, przyczepiałem się do nieistotnych błędów. Dopóki żył wśród nas, zbyt nisko go ceniliśmy, a najwięcej w tym mojej winy.

Nagle ujrzałem łzy w oczach Mary.

— Sprawiłem ci czymś przykrość? — zapytałem. Spojrzała na mnie przelotnie i powiedziała niemal wrogo:

— Nie zauważasz we mnie żadnych zmian?

— Jakich?

— Różnych... Nie sądzisz, że zbrzydłam? Wytrzeszczyłem na nią zdumione oczy. Nigdy przedtem nie była tak piękna. Odwróciła się ode mnie, kiedy jej to powiedziałem, i długo milczała. Zgasłe słońce zapłonęło znów księżycem, gdyż zgodnie z harmonogramem był właśnie na Orze czas pełni.

— Jesteś dziwnym człowiekiem, Eli — powiedziała wreszcie. — Dlaczego właściwie zakochałeś się we mnie?

— To bardzo proste. Jesteś Mary. Jedyna i niepowtarzalna.

— Każda istota ludzka jest jedyna i niepowtarzalna, sobowtóry się nie zdarzają. Naprawdę kochasz jedynie dwie osoby. Głos ci drży i oczy błyszczą, kiedy o nich mówisz.

— Masz na myśli Andre?

— I Fiolę!

— Nie mów tak, Mary! — wziąłem ją za rękę, ale się ode mnie odsunęła. Spróbowałem obrócić to w żart. Masz rację, oboje są mi bardzo bliscy. Ale naprawdę, niepokoiłem się jedynie wtedy, kiedy byłaś z dala ode mnie.

Nawet teraz na myśl o naszym rozstaniu zatrząsłem się ze strachu!

— Ale głos ci nie drży — zaoponowała ze smutkiem. — Mówisz o swoim strachu bardzo spokojnym tonem, Eli. Ale to nic. Musisz już iść do Wiery. Obiecaj mi potraktować poważnie to, co ci ona powie.

— Wiesz, co mi zamierza powiedzieć?

— Siostra powie ci to znacznie lepiej.

— Same zagadki! Romero zapowiada niespodzianki, Wiera może rozmawiać jedynie w cztery oczy, ty również jesteś tajemnicza. Powiedz od razu!

— Wiera zrobi to lepiej — powtórzyła Mary.

3

— Jesteś oczywiście zdziwiony, że nasza rozmowa odbywa się bez świadków — zaczęła Wiera. — Chodzi o to, że mowa będzie o sprawach osobistych. Zgodnie z decyzją Wielkiej Rady muszę poradzić się ciebie, kogo mianować admirałem naszej floty. Od admirała wymaga się czego innego niż od dowódców statków lub nawet eskadr.

Wzruszyłem ramionami.

— Najpierw muszę, wiedzieć, jakie są wymagania. — Po pierwsze, walory ogólnoludzkie — odwaga, zdecydowanie, nieustępliwość, wytrwałość w dążeniu do celu, szybka orientacja... Po drugie, cechy specjalne umiejętność dowodzenia statkiem i ludźmi, dobra orientacja w przestrzeni galaktycznej, znajomość przeciwnika i jego metod walki. I wreszcie wymogi szczególne — giętki intelekt, precyzja myśli, doskonałe rozumienie nowej sytuacji i dobre, czułe na niedole innych serce... Bowiem ten człowiek, nasz admirał, będzie głównym przedstawicielem ludzkości wobec na razie nam nie znanych, lecz niewątpliwie bardzo starych i potężnych cywilizacji galaktycznych.

Roześmiałem się.

— Nakreśliłaś wizerunek bóstwa, nie człowieka. Oblicze świętego! Niestety, ludzie nie są bogami.

— Potrzebujemy takiego właśnie człowieka. Nikomu innemu ludzie nie mogą powierzyć naczelnego dowództwa.

Zaczęliśmy omawiać kandydatury.

Ani Olga, ani Osima, ani Allan nie nadawali się, to było oczywiste. Zaproponowałem Wierę, ale siostra nie chciała o niczym słyszeć. Powiedziałem wówczas, że gdyby Andre nie był w niewoli, byłby idealnym kandydatem na dowódcę. Wiem zdyskwalifikowała i jego, uważała bowiem, iż Andre ma intelekt przenikliwy, lecz zbyt jednostronny.

Ogarnęła mnie złość: ta zabawa w wybory nie miała sensu. Wszystko mi jedno, kto będzie mną dowodził. Trzeba się zwrócić do Wielkiego. Beznamiętna maszyna da najlepszą odpowiedź.

— Zwracaliśmy się do Wielkiego.

— Jakoś o tym nie słyszałem.

— Trzymano to w tajemnicy. Zleciliśmy maszynie sprawdzenie kandydatury, zaproponowanej jednogłośnie przez Wielką Radę. Komputer potwierdził wybór.

Poczułem się mocno dotknięty. Wielka Rada mogła nie kryć przede mną swojej decyzji, bądź co bądź w sprawach Perseusza nie byłem zupełnym laikiem. Zapytałem sucho:

— Kim więc jest ten niezwykły człowiek, ten chodzący magazyn cnót i zalet? Kogo wybraliście na swego dowódcę?

Wiem odparła spokojnie:

— Tym człowiekiem jesteś ty, Eli.

Byłem tak zaskoczony, że nawet się nie oburzyłem. Po chwili zacząłem przekonywać, że ich decyzja to oczywisty błąd, pomyłka, brednie i obłęd — do wyboru. Przecież znam siebie dobrze i w żaden sposób nie umiałbym się wcisnąć w nakreślony przez siostrę portret idealnego polityka i zręcznego dowódcy.

Wiera zawczasu przygotowała się do dyskusji. Moje argumenty odskakiwały od niej jak groch od ściany.

— Czy wydaje ci się, że nie masz żadnych zalet?

— Mam za to kilka dobrych ludzkich wad!...

— Wymigujesz się. Słucham cię z uwagą, lecz nie usłyszałam nic konkretnego — oświadczyła Wiera. — Jeżeli będziesz odmawiał, twój upór może wywołać zdumienie, a nawet obrazę ludzi, którzy ci zaufali.

Zamilkłem. Podobnie jak w dzieciństwie, kiedy siostra beształa mnie za jakieś przewinienia, nie mogłem teraz znaleźć kontrargumentów. Zgodziłem się więc z jej dowodami, ale nie powiem, aby mnie to ucieszyło. Przypomniałem sobie moje oburzenie spokojem Olgi, kiedy mianowano ją dowódcą eskadry. Dawna naiwność znikła bez śladu: nie radowałem się, lecz lękałem odpowiedzialności.

— Długo tak zamierzasz milczeć? — zapytała z ironią Wiera.

— Zastanówmy się jeszcze raz nad innymi kandydatami.

— Wielka Rada już to zrobiła. Komputer Państwowy z największą dokładnością sprawdził każdego człowieka pod kątem jego przydatności na stanowisko naczelnego dowódcy. Kapitanowie statków przyjęli decyzję Wielkiej Rady z entuzjazmem... Czego jeszcze chcesz?

Zrozumiałem, że nie mam wyjścia i rzekłem:

— Zgadzam się.

Obojętnie skinęła głową. Niczego innego nie oczekiwała.

— Teraz kilka słów o pozostałych nominacjach. Będziesz miał dwóch zastępców i trzech doradców. Zastępcą do spraw państwowych będę ja, do spraw astronawigacji — Allan. Pomocnikami i doradcami zostali dowódcy trzech eskadr — Leonid, Osima i Olga. Odpowiada ci to?

— Oczywiście.

— Jeszcze jedna sprawa. Byłeś kiedyś moim sekretarzem, niezbyt zresztą dobrym. Teraz sam musisz mieć sekretarza. Na to stanowisko proponuje się...

— Mam nadzieję, że nie ciebie! — przerwałem z przerażeniem w głosie.

— Jestem twoim zastępcą, a to znacznie wyższe stanowisko.

— Wybacz, ale hierarchia rang nie jest moją najmocniejszą stroną. Kogo więc wyznaczono mi na sekretarza?

— Pawła Romero, który równocześnie będzie kronikarzem wyprawy. Ale jeżeli go nie chcesz, możemy znaleźć innego.

Zamyśliłem się. Moje stosunki z Romerem były zbyt złożone, abym mógł odpowiedzieć zwyczajnie „tak” lub „nie”. Nie znałem innego człowieka, który by równie mocno różnił się ode mnie. Ale może odmienność charakterów jest konieczna dla powodzenia wspólnej pracy?

Wiera spokojnie, zbyt spokojnie czekała na moją odpowiedź. Uśmiechnąłem się. Widziałem ją na wylot.

— Pozwolisz, iż zadam ci jedno pytanie o charakterze osobistym?

— Jeśli dotyczy Pawła, to moje stosunki z nim nie mają tu nic do rzeczy. Decyduj tak, jakbym Romera w ogóle nie znała.

— Paweł z pewnością będzie lepszym sekretarzem niż ja dowódcą. Aprobuję jego kandydaturę z radością. Czy teraz już mogę zadawać niedyskretne pytania?

— Teraz już tak — Wiera odczuła wyraźną ulgę. — Nigdy nie mieszałem się do twoich spraw prywatnych, ale raz sobie na to pozwoliłem. Czy muszę cię za to przeprosić?

— To raczej ja winnam ci podziękować za ingerencję.

— Paweł mówił ci, w jakich okolicznościach odbyła się nasza ostatnia rozmowa?

— Mówisz o tej, która omal nie przekształciła się w bójkę? Wiem o wszystkim: o tym, jak prawie zakochał się w Mary, a ty stanąłeś na jego drodze i jak Mary — przed tym piknikiem w lesie — wyznała Pawłowi, że cię kocha, kocha od dawna, bodajże od jakiegoś waszego spotkania w Kairze. Wiem też, że gdyby nie podchmielenie, Paweł pogratulowałby ci tam przy ognisku, a nie wszczynał kłótni. Taki przynajmniej miał zamiar...

— A ja tego nie wiedziałem. W Kairze Mary zwymyślała mnie tak, jakby znienawidziła od pierwszego wejrzenia. Przez te kilka miesięcy, które spędziliśmy razem, też nic o Kairze nie wspominała.

— Mnie zaś powiedziała dzisiaj, że tak bezbronnie spojrzałeś na nią, gdy nazwała cię źle wychowanym, że serce jej gwałtownie zabiło. Masz szczęście, Eli. Chcę, abyś wiedział, że bardzo kocham twoją żonę.

Wstałem. — Ja także Wiero. A nie zdarzało nam się zbyt często, abyśmy zgadzali się w poglądach. Mogę iść?

— Teraz ty musisz mi pozwalać lub nie pozwalać przypomniała mi z dawną pedanterią.

— Wobec tego pozwalam sobie odejść, tobie natomiast pozwalam zostać.

4

Nie wyobrażałem sobie dawniej, jak trudno jest dowodzić. Gdybym miał wybierać ponownie, wolałbym zostać podwładnym. Odpowiadałem za wszystko, a miałem pojęcie jedynie o nikłej cząsteczce tego „wszystkiego”. Zawodowy wojskowy wyśmiałby mnie za moje próby organizacyjne. Przed hańbą ustrzegło mnie tylko to, że zawodowych wojskowych już dawno nie było.

Jedno wkrótce stało się dla mnie zupełnie jasne: flota nie jest gotowa do dalekiej wyprawy. Zameldowałem więc Ziemi kanałami łączności ponadświetlnej, że potrzebujemy jeszcze co najmniej roku na przygotowania.

Pewnego razu Romero zwrócił się do mnie z prośbą:

— Drogi admirale — Paweł i Osima zwracali się teraz do mnie wyłącznie w ten sposób, Osima poważnie, Romero zaś nie bez odrobiny ironii — chciałbym zaproponować, aby zechciał pan wprowadzić do swego rozkładu dnia jeszcze jeden punkt: pisanie pamiętnika.

— Pamiętnika? Nie rozumiem... W starożytności coś takiego wprawdzie było, ale w naszych czasach pisać wspomnienia?

Romero wytłumaczył, że nie muszę pisać lub dyktować, wystarczy, abym po prostu wspominał ważniejsze zdarzenia, a MUK sam zanotuje myśli. Ale utrwalić moje życie trzeba koniecznie, gdyż tak postępowały wszystkie postaci historyczne przeszłości, a jestem teraz wszak niewątpliwie postacią historyczną.

— Po wyprawie, jeżeli wrócimy z niej żywi, podyktuję ważniejsze przygody, jakie się nam przydarzą. Romero jednak upierał się przy swoim. Kronikarz wyprawy sam beze mnie opisze najważniejsze wydarzenia, ja zaś powinienem opowiedzieć o swoim życiu. Moje życie nagle stało się znaczącym faktem historycznym, a któż je zna lepiej ode mnie samego?

— A od czegoż są Opiekunki? Proszę zwrócić się do nich. Opowiedzą takie rzeczy, których ja sam się nawet nie domyślam.

— Właśnie — odparł na to — sam pan nie wie, co Opiekunka przechowuje w swoich komórkach pamięciowych. Nas natomiast interesuje to, co pan sam uważa za ważne, a co za błahe. I jeszcze jedna rzecz: Opiekunka pozostała na Ziemi i naszego pozaziemskiego życia nie zna, nie zna więc rzeczy najbardziej interesujących.

— Pan jest dyktatorem, a nie sekretarzem — powiedziałem. — Czy zdaje pan sobie sprawę, że w pamiętniku będę musiał często wspominać o panu? A obawiam się, że moje opinie nie zawsze będą pochlebne...

— Człowiekowi imieniem Paweł te opinie mogą istotnie sprawić przykrość, lecz kronikarz Romero rzuci się na nie jak sęp, gdyż pozwolą one poznać głębiej pański stosunek do ludzi.

Tego samego dnia zacząłem dyktować pamiętnik. W moim dzieciństwie nie było nic godnego uwagi, rozpocząłem wobec tego od czasów, kiedy dotarły do nas pierwsze wieści na temat Galaktów. Zdarzyło się tak, że w owej chwili obok mego okna przelatywał Lusin na Gromowładnym. Przypomniało mi to innego smoka, na którym Lusin dawniej lubił odbywać przejażdżki, od niego też zacząłem.

Od tego czasu minęło wiele lat. Dawno zapomniałem pierwszą część pamiętnika, pierwszą księgę wspomnień, jak ją nazywa Romero. Dyktuję teraz drugą — nasze męczarnie w Perseuszu.

Leży przede mną taśma z zapisem, obok niej ten sam zapis w formie pięciu wydanych na starożytną modłę książek, pięciu grubych tomów w ciężkich okładkach. To oficjalne sprawozdanie Romera z wyprawy do Perseusza. Wiele się tam mówi o mnie, znacznie więcej niż o kimkolwiek innym.

Chcę podyskutować z pracą Romera i sam opowiedzieć o sobie. Nie byłem tym władczym, nie znającym wahania, dumnym i nieustraszonym dowódcą, jakim mnie przedstawił. Cierpiałem i radowałem się, ogarniała mnie panika i znów bratem się w garść, czasami sam sobie wydawałem się żałosny i zagubiony, ale szukałem, nieustannie szukałem prawidłowego wyjścia z sytuacji niemal beznadziejnych. Tak to wyglądało. Będę obalał, a nie uzupełniał książkę Pawła. Nie chcę dyktować powieści o naszych błędach i ostatecznym zwycięstwie, bo o tym mówi wystarczająco dokładnie oficjalne sprawozdanie. Chcę opowiedzieć o mękach mego serca, rozterkach mojej duszy i krwi mych bliskich, którzy zginęli...

5

Nasz meldunek, że eskadra nie jest gotowa do dalekiej wyprawy, wywołał na Ziemi wielkie zaniepokojenie. Wierę i mnie wezwano na posiedzenie Wielkiej Rady. Poprosiłem Mary, aby nam towarzyszyła w podróży. Nie widywałem teraz żony całymi tygodniami: ja przeprowadzałem inspekcję statków, ona znalazła sobie zajęcie w laboratoriach Ory.

Wydało mi się, że jest chora. Wiedziałem oczywiście, że na Orze, podobnie jak na Ziemi, choroby są niemożliwe, ale Mary była smutna, błyszczały jej oczy, a napuchnięte wargi były tak suche, że się nie na żarty przejąłem.

— Ach nie, nic mi nie jest, jestem zdrowa za dwoje i — powiedziała niecierpliwie. — Kiedy odlatujecie?

— Może jednak *odlatujemy* ? Po co masz zostawać na Orze?

— A po cóż mam lecieć na Ziemię? Ty musisz, więc leć.

— Taka długa rozłąka...

— A tu nie ma rozłąki? W ciągu ostatniego miesiąca widziałam cię trzy razy!

— Na statku będziemy ciągle razem.

— Tam też znajdziesz powód, aby mnie zostawić samą. Nie namawiaj mnie.

Milczałem. Powiedziała nieco cieplejszym tonem: — Zresztą dam ci zlecenie. Spis materiałów do mego laboratorium.

Przyszła mi do głowy pewna myśl, która wydała mi się doskonała.

— Na Wegę leci kurier galaktyczny „Wężownik”. Nie chciałabyś się tam przespacerować? Wyprawa na Wegę zajmie ze trzy miesiące i na Orę wrócimy niemal równocześnie.

— Czy mógłbyś mi wytłumaczyć, co ja na tej Wedze zgubiłam?

— Nic nie zgubiłaś, ale wiele możesz znaleźć...

— Masz na myśli oczywiście Fiolę?

— Chciałaś przecież się z nią zaprzyjaźnić.

— To ty tego chciałeś, a nie ja. Nigdy nie pragnęłam przyjaźni wężycy, nawet najpiękniejszej, i to w dodatku ukochanej wężycy mego męża!

Wszystko się jednak dobrze skończyło, bo udało mi się żonę udobruchać. Mary odprowadziła mnie na „Cielca”, objęta, ucałowała i wręczyła spis potrzebnych jej materiałów. Lista była tak obszerna, że ledwie mieściła się na metrowej taśmie.

Już na statku Wiera powiedziała do mnie:

— Mary dobrze wygląda. I chyba zdrowie jej dopisuje?

— Jest zdrowa za dwoje, tak mi przynajmniej powiedziała.

Siostra spojrzała na mnie uważnie, ale rozmowy na ten temat nie kontynuowała.

Wszystkie dni lotu były wypełnione ciągłymi naradami z Wierą i jej doradcami, których było co najmniej stu. Cały ten zespół wzbogacony o Mały Komputer Pokładowy opracowywał szczegóły wszechświatowej polityki ludzkości. Nudziło mnie to śmiertelnie i na jednym takim sympozjum powiedziałem coś zjadliwego. Nie miałem widać racji, bo członkowie Wielkiej Rady z entuzjazmem wysłuchali referatu Wiery „Zasady polityki galaktycznej ludzkości” i urządzili jej owację. Mnie zresztą również oklaskiwano, chociaż nie mówiłem o szlachetnych celach, lecz o trudnościach materialnych, które nie zlikwidowane w porę mogą spowodować fiasko całej wyprawy.

Po zakończeniu posiedzenia członkowie Wielkiej Rady rozjechali się na planety produkcyjne, aby dopilnować na miejscu pracy w tamtejszych zakładach wytwórczych, a ja wraz z Wierą zacząłem zbierać się do powrotu. Kilka dni zajęło mi kompletowanie materiałów dla Mary. Zdążyłem jeszcze wstąpić do Olgi, która na krótko przed nami przyleciała na Ziemię rodzić i teraz pielęgnowała ładniutką córeczkę Irenkę. Olga też zamierzała wracać na Orę.

W ciągu czterech miesięcy naszej rozłąki Mary bardzo się zmieniła. Była tęga, a jej porywisty krok zmienił się w ostrożne, niezręczne stąpanie. Gwizdnąłem ze zdumienia, a później chwyciłem ją na ręce.

— Uważaj! — zawołała. — W prognozie ciążowej noszenia na rękach nie przewidziano...

— Powinienem ci dać klapsa! — powiedziałem, stawiając ją ostrożnie na podłodze. — Nie pisnęłaś ani słowa. Wżera też dobra... Przecież z pewnością wiedziała!

— Wiedziała, a ty powinieneś się był domyślić! odparła z żartobliwym wyrzutem Mary. — Powiedziałam ci zresztą, że jestem zdrowa za dwoje. Zwyczajny człowiek, a nie admirał na pewno by zrozumiał. Co do Wżery, to umówiłyśmy się nic tobie nie mówić, bo na Ziemi miałeś i tak dość kłopotów.

Zasypywałem żonę pytaniami. Chciałem się dowiedzieć, kiedy będzie poród i jak przebiegnie. Mary błagalnym gestem podniosła ręce do góry. Dawno nie widziałem jej w tak wyśmienitym nastroju.

— Nie wszystko od razu, Eli! Za miesiąc będziesz miał syna, szybko wybieraj dla niego imię. A teraz powiedz, co z moim zamówieniem?

— Sto ciężkich skrzyń leży w ładowni statku. Starożytne bomby jądrowe przechowywane w muzeach są znacznie lżejsze od twojego sprzętu. Omal nie wyzionąłem ducha podnosząc najmniejszą z tych paczuszek.

Mary roześmiała się.

— W skrzyniach też są bomby, tyle że rozsiewające życie, a nie śmierć. Dziwi cię to? Naszym kobiecym przeznaczeniem jest wszak przedłużanie życia. To mężczyźni z dawien dawna zajmują się niszczeniem. I jeżeli u Zływrogów. ...

— Nie musisz mnie agitować, ale na matriarchat się nie zgodzę. Mogę co najwyżej uznać równouprawnienie. Masz pozdrowienia od jeszcze jednej siewczyni życia, Olga urodziła córeczkę, Irenkę. Prognozy sprawdziły się co do joty, a poród był lekki.

— Cieszę się bardzo, że z Olgą wszystko w porządku... Ale odnoszę wrażenie, że stan innych kobiet interesuje cię bardziej niż samopoczucie własnej żony?

— Inne kobiety nie są tak skryte, nie mówiąc już o ich mężach. Jeżeli jeden dowódca eskadry prosi nagle o urlopowanie go na Ziemię, a drugi niemal co godzinę pojawia się na stacji łączności dalekosiężnej, to admirał chcąc nie chcąc musi się w końcu zainteresować, o co tu chodzi. Ciebie także wyślemy na Ziemię najbliższym statkiem ekspresowym, abyś tam urodziła, jak każe-tradycja.

— Zapoczątkujemy nową tradycję: urodzę na Orze. Prosiłam już Spychalskiego, aby pozwolił mi tu zostać. Zgodził się. Nie chmurz się, opieka lekarska jest tu równie dobra jak na Ziemi.

— Wobec tego nasz syn będzie nazywał się Aster — powiedziałem uroczyście. — Będzie pierwszym człowiekiem urodzonym wśród gwiazd, musi więc mieć gwiezdne imię.

6

MUK przepowiedział, że poród będzie ciężki i poród istotnie był ciężki.

W tych trudnych dla mnie dniach często wspominałem Andre, który niepokoił się o Żannę, chociaż wiedział, że nowy człowiek pojawi się na świat zdrowy i w przepisowym terminie. Żartowałem wtedy z niego, a teraz mimo pewności, iż Aster urodzi się pomyślnie, denerwowałem się tak samo.

To był świetny chłopak, ten nasz Aster. Pięć kilogramów mięśni i nieprzepartego uroku. Synek roześmiał się, jak tylko otworzył oczy, i radośnie wierzgnął nóżkami. Świat wydał mu się piękny!

— Wiedziałam, że Aster będzie podobny do ciebie — powiedziała Mary. — Miałam jego wizerunki horoskopowe już w trzecim miesiącu ciąży, ale nie pokazywałam, bo się na ciebie nieco gniewałam. Nie tłumacz się, powiedz lepiej, kiedy start?

— Już wkrótce. Chcesz być przy tym obecna, czy powrócisz na Ziemię wcześniej?

— Chcę lecieć z tobą! — wypaliła.

— Głupstwa mówisz — powiedziałem pobłażliwie.

— Nie dziwię się zresztą, bo podobno takie dziwne zachcianki miewają niemal wszystkie młode matki.

— Wszystkich moich zachcianek nawet się nie domyślasz — zauważyła pogodnym tonem. — Będziesz jednak musiał zabrać mnie i Astera ze sobą.

Starałem się ją przekonać, że to nie ma sensu. Stawiałem za przykład Olgę, która jako jedna z najbardziej doświadczonych astronautek powinna w pierwszej kolejności wziąć udział w wyprawie, a jednak poprosiła o wyznaczenie jej na dowódcę trzeciej eskadry rezerwowej, startującej z Ory za jakieś trzy lata, aby jak najdłużej być ze swoją Irenką. O tym, żeby brać dziewczynkę na niebezpieczną wyprawę, ani ona, ani Leonid nawet nie pomyśleli.

— Macierzyństwo — powiedziałem — jest najszczytniejszym i najstarszym powołaniem kobiety. Wszyscy winniśmy liczyć się ze świętymi prawami matki nawet w naszych czasach, kiedy żłobki zapewniają dziecku znacznie lepszą opiekę niż ich własna rodzicielka.

— Moim zdaniem nie gorzej od ciebie znam obowiązki macierzyńskie — powiedziała Mary gniewnie. Nic nie wskórasz, lecimy z tobą.

— Ale dlaczego?! — wykrzyknąłem. — Czemu, wytłumacz mi to po ludzku, chcesz narazić siebie i Astra na trudy i niebezpieczeństwa dalekiej podróży?

— Gdzie ty, Kajusie, tam i ja, Kaja.

Nie zrozumiałem, czemu nazwała mnie Kajusem, nie znalazłem też potem czasu, aby zapytać o to MUK.

— Chcesz, abym wpisał Astra na listę załogi?

— Nie ironizuj, właśnie tego chcę!

Podszedłem do synka, chwyciłem go na ręce i powiedziałem uroczyście:

— Gotuj się do dalekiej drogi, mały człowieku imieniem Aster!

— By! — odpowiedział synek głośno i wyraźnie.

7

Lecieliśmy dwoma eskadrami po sto gwiazdolotów. Każdy z krążowników był pięćdziesiąt kroć potężniejszy od naszego „Pożeracza Przestrzeni”. Podniosłem swój admiralski proporzec na „Cielcu”, okręcie flagowym Osimy. Na jego pokładzie zamieszkali również Wiera i Lusin. Na „Skorpionie” dowodzonym przez Leonida leciał Allan ze swoim sztabem.

Wieści otrzymane z Ziemi tuż przed startem nie były pocieszające. Lokatory nadświetlne Alberta nie wykryły żadnego ruchu wśród gwiazd Perseusza. Zaobserwowano tylko jedno zagadkowe zjawisko, które wówczas zlekceważyliśmy. Zresztą, gdybyśmy nawet pojęli, co ono oznacza, nie zaważyłoby to na naszych planach. Albert doniósł, że nagle zniknęła jedna z gwiazd skupiska Phi wraz z jedną planetą zamieszkaną najprawdopodobniej przez Zływrogów.

— Wzięła i znikła — mówił Albert. — I to niezła gwiazda: olbrzym klasy K o jasności bezwzględnej około minus pięciu — jakieś dziesięć tysięcy jaskrawsza od Słońca!

— A może to anihilacja? — zapytałem. Doniesienie Alberta bardzo mnie zaniepokoiło. Jeżeli Niszczyciele posiedli umiejętność przekształcania materii w przestrzeń, to utraciliśmy naszą główną przewagę wojskową. — Nie sprawdził pan, czy skupisko się rozszerza?

— Za kogo pan mnie ma, Eli? — powiedział Albert urażonym tonem. — Oczywiście, że to zrobiłem! Żadne nowe jamy pustki w Perseuszu się nie pojawiły. Gwiazda po prostu zniknęła bez śladu i to wszystko!

— Obserwacje prowadzono przy pomocy SFP?

— Naturalnie! W przestrzeni optycznej ta gwiazdka będzie spokojnie świecić co najmniej pięć tysięcy lat. Pomarańczowa — bo tak ją nazwaliśmy — zniknęła z przestrzeni ponadświetlnej.

Stacje fal przestrzennych na statkach i na Orze były zbyt słabe, aby zaobserwować zniknięcie Pomarańczowej. Dokładnie natomiast obejrzeliśmy ją sobie przez urządzenia optyczne.

Gwiazda była nader efektowna, jasnopomarańczowa, zaćmiewająca wszystkie sąsiednie ciała niebieskie swym jaskrawym blaskiem. Dawno już zwróciłem uwagę na fakt, że Niszczyciele najchętniej osiedlają się wokół takich gigantów wysokich klas spektralnych. Powiedziałem o tym Osimie.

Sprawa zniknięcia Pomarańczowej zajmowała nas niedługo i nikogo szczególnie nie zaniepokoiła. Romero uważał, że chodzi tu prawdopodobnie o uszkodzenia w SFP i napisał to w raporcie.

Nie będę opisywał podróży do skupisk gwiezdnych Perseusza, gdyż lepiej ode mnie zrobił to Paweł w swoim sprawozdaniu. Wspomnę tylko, że każdy ze statków obu eskadr był znacznie szybszy od „Pożeracza Przestrzeni”, lecz cała flotylla poruszała się wolniej od tego zwiadowcy, nie mogliśmy bowiem liczyć na to, że tak wielkie zgrupowanie okrętów zdoła niepostrzeżenie podkraść się do twierdz Niszczycieli. Należało więc przedsięwziąć środki ostrożności, aby atak wroga nie zaskoczył nas w podróży.

Aster rozpoczął szósty rok życia, gdy przed nami, zajmując całe niebo, rozlały się gigantyczne skupiska gwiezdne Perseusza.

8

Oczekiwano nas.

Już z dala zaczęliśmy rozszyfrowywać wiadomości nadawane przez przyjaciół i wrogów. I znów, jak w trakcie lotu zwiadowczego „Pożeracza Przestrzeni”, w kosmosie rozszalała się burza zakłóceń. Szumy zagłuszały informacje Galaktów, a depesze wewnętrzne Niszczycieli były tak niejasne, że ich rozszyfrowanie niczego nam nie dało.

Podeszliśmy do pasma pustki kosmicznej rozdzielającej oba skupiska: Phi i Chi. Odległość między skupiskami wynosiła około stu parseków — drobiazg w skali galaktycznej lecz wcale nie drobiazg dla naszych statków. Niektórzy z kapitanów nalegali na eksplorację bliższego skupiska Phi, ale ja wytyczyłem kurs na Chi, gdzie nas oczekiwali doskonale przygotowani na to spotkanie wrogowie, lecz także niewątpliwi przyjaciele. Nieznani przyjaciele już poprzednim razem usiłowali nam pomóc, mogliśmy więc i teraz liczyć na ich skuteczne poparcie.

Wkrótce zostawiliśmy po obu stronach puste gwiazdy peryferyjne i znaleźliśmy się w okolicy, gdzie ciała niebieskie tłoczyły się jedno przy drugim.

Obie eskadry leciały odrębnymi szykami taranowymi. W eskadrze Osimy ostrzem tarana był „Cielec”, za nim szedł „Pies Gończy” otoczony pierścieniem dwunastu innych statków. Następne siedem warstw szyku również zawierało po trzynaście gwiazdolotów, z tym że średnica każdej kolejnej tarczy była większa od poprzedniej. Gigantyczny stożek złożony ze stu dwóch okrętów atakował okowy przestrzeni nieeuklidesowej, które niegdyś zacisnęły się wokół „Pożeracza Przestrzeni”. Według obliczeń MUK moc eskadry wystarczyłaby na pokonanie dowolnego zakłócenia metryki.

W odległości kilku tygodni świetlnych dokładnie taki sam zespół statków pod dowództwem Allana i Leonida drążył własny tunel w przestrzeni. Pierwsze ich depesze donosiły, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Byliśmy pewni sukcesu.

Doskonale pamiętam dzień, kiedy przekonanie, iż bez trudu zwyciężymy, rozwiało się bez śladu. Owego dnia siedzieliśmy w sterówce we czwórkę: Osima, Wiera, Romero i ja. Blask gwiazd był tak jaskrawy, że rozróżniałem ich twarze. Eskadra anihilując przestrzeń mknęła lu czerwonożółtemu słońcu z jedną planetą. To była Pomarańczowa, która nagle zniknęła z Perseusza przed naszym startem z Ory i równie nieoczekiwanie z powrotem tam się pojawiła. Przedtem, jak już mówiłem, nie zwróciłem na ten fakt szczególnej uwagi, teraz jednak Pomarańczowa niepokoiła mnie coraz bardziej...

— Na razie chyba wszystko idzie pomyślnie? odezwała się Wiera.

— Sądzę, że Niszczycielom tym razem nie udadzą się ich prymitywne sztuczki, którymi omal nie pokonali Olgi i Leonida — odparł Romero, który początkowo nastrojony był bardzo optymistycznie.

— Ja też tam byłem — przypomniał sucho Osima.

— Doskonale pamiętam, szanowny kapitanie Osimo, że i pan był wśród trzech dowódców uciekających na złamanie karku z Perseusza — dorzucił beznamiętnym tonem Romero. — I bardzo się cieszę, że właśnie pan kieruje zwycięskim powrotem.

Obserwowałem wówczas Pomarańczową. Fale przestrzenne obmacujące dziwną gwiazdę zamieniły się w urządzeniach lokacyjnych w zwykłe światło i układały się w jej aktualny wizerunek. Oczekiwałem jakichś niezwykłych przemian, rozbłysków, protuberancji. Nie zdziwiłbym się, gdyby na moich oczach zamieniła się w supernową.

— Czemu tak się wpatrujesz w Pomarańczową? zaciekawiła się Wiera.

— Coś się wydarzy — odparłem. — To przecież nie jest zwyczajne ciało niebieskie, lecz broń gwiezdna wroga... Oby nie wystrzelili w nas salwy niszczycielskich cząsteczek lub pól siłowych!

— Niech tylko spróbują admirale — odezwał się Osima. — Nasze środki ochronne przed cząsteczkami i polami są zupełnie pewne.

Widocznie wypowiedziałem swe obawy w złą godzinę, bo wkrótce zaszły zmiany, lecz nie takie jakich oczekiwałem. Pomarańczowa nie rozbłysła, gigantyczna eksplozja nie zmieniła jej w supernową tryskającą potokami spopielającego promieniowania. Gwiazda zaczęła blednąć, po prostu blednąć. Spojrzeliśmy po sobie z niepokojem. Coś w tym słabnięciu blasku wzbudzało trwogę.

— Wiadomość od Allana! — wykrzyknął Romero. — Proszę uważnie słuchać komunikatu MUK. Zdaje się, źe nadszedł meldunek o całkowitym zwycięstwie!

Ale niestety był to meldunek o klęsce. Później odebrałem wiele podobnych raportów i sam wielokrotnie meldowałem na Ziemię o własnych niepowodzeniach, aż stopniowo do nich przywykłem. Ale tego dnia słowa depeszy zabrzmiały w mych uszach jak marsz pogrzebowy.

Próba eskadry Altana, która usiłowała wtargnąć do wnętrza skupiska, skończyła się fiaskiem. Powtarzało się to samo, co niegdyś z „Pożeraczem Przestrzeni”, z tą różnicą, że obecnie nie wpuszczano nas do wnętrza skupiska.

Ponad sto superpotężnych statków bez powodzenia szturmowało palisady gwiezdne wroga. Z równą gwałtownością, z jaką Leonid uderzał taranem eskadry w zapory przeciwnika, oddział szturmowy odrzucano do tyłu: tylne szeregi statków jeszcze atakowały peryferyjne gwiazdy skupiska, a ostrze szyku, okręt flagowy „Skorpion” znajdował się już na zewnątrz, w przestrzeni wolnej od ciał niebieskich. Drogi ku skupisku Chi były zabarykadowane.

Pomarańczowa ciągle traciła blask. Pojąłem już, że jest to w jakiś sposób związane z zakrzywieniem przestrzeni. Niebawem my sami, śladem Altana, mieliśmy się wytoczyć po narzuconej nam krzywiźnie w otwarty kosmos.

Oczekujesz czegoś, Eli. Prawda? — zapytała Wiera.

— Tak. Sądzę, że zostaniemy stąd wyrzuceni tak gwałtownie, że nawet nie zdołamy zredukować szybkości. Miałem rację. MUK zameldował wkrótce o narastającym zakrzywieniu przestrzeni.

— Niszczyciele działają na razie według znanego schematu — zauważył Romero. — A czy pan nie zamierza poszukać nowych wariantów postępowania, drogi admirale?

— Już szukam...

— No i?...

— Jeżeli oni powtarzają się w swoim działaniu, to i my możemy powtórzyć udany atak Olgi. Znajdziemy odpowiednią planetkę na skraju skupiska, zanihilujemy ją i wtargniemy do wnętrza przez wytworzoną przez nas pustkę.

Osima przekazał dowodzenie automatom i zapalił światło. Na wklęsłych ekranach rozbłysły mapy skupiska Chi. Nie było ono tak zwarte jak gromady gwiezdne na skraju Galaktyki, dostrzegliśmy w nim także pojedyncze gwiazdy z planetkami i ciemne karły wędrujące wśród innych ciał niebieskich. Należało wybrać planetę leżącą możliwie blisko twierdz wroga, aby ich mechanizmy zakrzywiające nie zdążyły ogarnąć swoimi polami wytworzonej przez nas pustki.

W rejonie kosmosu, do którego zbliżały się obie eskadry, znajdowało się około dziesięciu samotnych gwiazd z planetami i tyleż ciemnych karłów. Każdy z tych obiektów mógł być spożytkowany do wytworzenia jamy w pustce. Ale na to musieliśmy nieco poczekać.

9

Poszedłem do laboratorium, w którym Mary zajmowała się hodowlą najprostszych form życia zdolnych do bytowania w różnych warunkach grawitacyjnych, cieplnych i ciśnieniowych oraz do pobierania pokarmu z najrozmaitszych źródeł. Właśnie do tej pracy były jej potrzebne dostarczone przeze mnie z Ziemi materiały.

Patrzyłem bez zainteresowania na kolby z mętnym płynem, które Mary pieczołowicie przestawiała z miejsca na miejsce.

— Nic ciekawego, prawda? — zapytała z uśmiechem.

— A cóż może być ciekawego w tym rzadkim błotku?

— Wyobraź więc sobie, że jedna kropelka tego błotka, wylana niechcący z kolby, wystarczy do zniszczenia całego naszego statku!

Spojrzałem na kolbę pod światło. Była to bez wątpienia kultura bakteryjna, ale o mikrobach niszczących statki do tej pory nie zdarzyło mi się słyszeć. Poprosiłem o wyjaśnienie, jak to się stało, że na pokładzie flagowca znalazły się tego rodzaju niebezpieczne preparaty.

— Wszystko jest zgodnie z przepisami odnotowane w odpowiednich wykazach inwentarza — uspokoiła mnie żona.

— Ale przecież te bakterie niosą w sobie zagładę! Dowódca wyprawy powinien chyba wiedzieć, w jakim celu znalazły się one na pokładzie statku!

— Czyż to jedyne potencjalnie niebezpieczne przedmioty? W porównaniu z anihilatorami niszczącymi planety moje mikroby są niczym!

Opowiedziała mi, że na Ziemi niedawno zsyntetyzowano zadziwiające bakterie o właściwościach mikroskopijnych zakładów atomowych. Przy wystarczającym dopływie energii z zewnątrz, a czasem nawet kosztem energii wewnętrznej procesów trawiennych drobnoustroje te przebudowują jądra atomów substancji stanowiących ich pożywienie.

— Na przykład te drobinki żywią się czystym żelazem — powiedziała Mary wskazując na jedną z kolb. Tam, gdzie one przejdą, żelaza już nie ma, jest natomiast tlen i wodór, krzem i węgiel... Jeżeli natkniemy się na planetę z czystego żelaza, zakażę jej powierzchnię tymi mikrobami i po upływie kilku tysiącleci na martwym metalu wytworzy się warstwa spulchnionej gleby przydatnej dla roślin.

— Uspokoiłaś mnie — powiedziałem. — Możesz do woli bawić się swoimi bakteriami. Do budowy naszego statku nie użyto nawet grama żelaza.

— To nie jest jedyna kolba — odparła Mary z filuternym uśmiechem. — Mam ich około dwudziestu, a w każdej znajdują się drobnoustroje niszczące inne pierwiastki...

Naszej rozmowie przysłuchiwał się Aster, który wszędzie towarzyszył matce. Teraz siedział na podłodze i majstrował przy uszkodzonym smoku-zabawce.

— Tato, zreperuj grawitator — poprosił synek. Już dwa razy spadłem na podłogę.

Przeczyściłem szczoteczką kontakty grawitacyjne, uregulowałem promienniki i Aster zaczął latać na smoku po całym laboratorium.

— Nie boisz się, że zrobi sobie krzywdę? — powiedziała z wyrzutem Mary. — Ucieszyłam się, kiedy ten wstrętny jaszczur się zepsuł. Przynajmniej jeden dzień minął bez zadrapań i siniaków.

— Chłopak bez zadrapań i siniaków nie jest wiele wart — odparłem spoglądając spod oka, czy nie trzeba spieszyć synkowi na pomoc.

— Jeżeli mamie nie podoba się mój zwierzak, to poproszę Lusina, aby przewiózł mnie na Gromowładnym! — krzyknął Aster spod sufitu. Uczepił się rękoma żyrandola, a nogami utrzymywał w miejscu rwącego do przodu smoka. Gdyby zabawka wyśliznęła się spod niego, musiałby spaść.

Skarciłem go i kazałem opuścić się na dół. Posłuchał.

Mary domyśliła się, że coś mnie gnębi, i zapytała o to.

— Istotnie, sytuacja nie jest najlepsza — odparłem. — Drogi do wnętrza skupiska są całkowicie zablokowane. Spróbujemy wobec tego metody, jaką Olga zastosowała przy ucieczce z Perseusza.

Mówiłem cicho, ale Aster miał doskonały słuch. — Chcecie anihilować gwiazdy?

— Po co od razu gwiazdy? — odrzekłem już pełnym głosem. — Wystarczą planetokształtne wędrowne karły. Widowisko będzie bardzo malownicze, spodoba ci się.

— Widziałem na stereoekranie — oświadczył syn — jak wraz z kapitanem Olgą Trondicke zanihilowałeś złowrogą Złotą Planetę. To był wspaniały cios!

— My też dostaliśmy za swoje, synku. Ale masz rację: anihilacja udała się i uzyskaliśmy dosyć pustej przestrzeni do manewru.

Mary już przedtem bez aprobaty przysłuchiwała się moim rozmowom z Astrem, ale tym razem nie potrafiła się opanować.

— Idź do siebie; synu! — powiedziała ostrym tonem. Aster pokornie wyszedł, wiedząc, że nie warto się spierać.

Czuję, że mnie zbesztasz! — powiedziałem z uśmiechem.

— Zupełnie nie znasz miary, Eli! — wykrzyknęła Mary. — Jak ty z nim rozmawiasz?

— Zwyczajnie. Jak z tobą lub z Romerem.

— Właśnie. Ale zapominasz, że my jesteśmy dorosłymi ludźmi, a on dzieckiem! Zaczynam żałować, że na statku nie ma internatu, aby cię od niego odseparować.

10

Przeklęci Niszczyciele byli mądrzejsi, niż byśmy sobie tego życzyli. Ani do gwiazd peryferyjnych, ani do wędrownych karłów nie mogliśmy dotrzeć. Atakowaliśmy raz za razem, dzień za dniem, miesiąc za miesiącem — wszystko bez skutku. Nieeuklidesowa sieć najpierw uginała się pod ciosem, a potem wyrzucała nas na zewnątrz. Gigantyczne skupisko rozpłomienione potężnym blaskiem wielu słońc było dla nas nieosiągalne.

Albert na swej ziemskiej SFP wykrył sześć gwiazd podobnych do Pomarańczowej. Nasza stara znajoma, Groźna, również należała do tego kordonu kosmicznych twierdz. Każda z nich broniła własnego odcinka przestrzeni, a strefy ich działania częściowo się pokrywały, tak że nie sposób było przecisnąć się przez tę siłową ścianę.

Gdybym dyktował powieść w stylu romantycznych przodków, a nie suche wspomnienia, miałbym do dyspozycji wiele pasjonującego materiału. Sam opis pogoni za samotnymi ciałami niebieskimi, znikającymi w chwili, kiedy kierowaliśmy na nie swoje anihilatory, wystarczyłby za fabułę opowiadania przygodowego. A nasze rozczarowania nieuchronnie następujące po krótkotrwałej nadziei na powodzenie! A topniejące zapasy substancji aktywnej, spalanej w ilościach przekraczających wszelkie normy! I wreszcie rzecz chyba najbardziej niezrozumiała i przygnębiająca: żadna z „nieaktywnych” gwiazd zamieszkanych przez Galaktów nie odpowiedziała na nasze apele, żadna nie przyobiecała ani nie udzieliła pomocy!

Trzy pełne ziemskie lata minęły od dnia, w którym dolecieliśmy do skraju Perseusza, i przez ten cały czas bezskutecznie usiłowaliśmy przekroczyć rubieże skupiska. Wtedy właśnie przyszedł mi do głowy pomysł, który później wywołał tyle kontrowersji wśród historyków. Nie chcę się ani chwalić, ani oskarżać. Pragnę po prostu wyrazić własne zdanie na ten temat. Otóż twierdzę, że większej katastrofy niż ta, która spotkała wyprawę w wyniku realizacji mego planu, nie można sobie wyobrazić. Wprawdzie wynik ostateczny był dla nas pomyślny, lecz trudno tu mówić o błędzie Niszczycieli lub mojej zasłudze, bowiem do naszej zaciętej walki nieoczekiwanie wmieszała się siła zewnętrzna.

Opowiem wszystko po kolei.

Wezwałem na „Cielca” Altana, Leonida i innych kapitanów statków, gdyż nie chciałem naradzać się z dowódcami na falach przestrzennych. Przybyłym zaproponowałem, aby obie eskadry zwartą grupą zaatakowały krzywiznę przestrzeni w pobliżu Pomarańczowej. Chcąc odeprzeć tak silny cios, Niszczyciele będą musieli skoncentrować całą dysponowaną moc w mechanizmach obronnych Pomarańczowej. W tym czasie trzy statki z „Cielcem” na czele uderzą z drugiej strony, gdzie w chwili ataku całej floty obrona będzie niewątpliwie słabsza. Trzy statki wtargną do wnętrza i utorowaną przez nie drogą pospieszą pozostałe gwiazdoloty obu eskadr. MUK zanalizował ten plan i uznał go za realny. Oczekiwałem protestów i nie myliłem się.

Allan powiedział:

— Albert donosi, że eskadra rezerwowa Olgi wreszcie wypełniła wszystkie ładownie substancją aktywną. Czy nie lepiej poczekać na jej przylot?

— Trzecia eskadra wprawdzie zwiększy moc całej floty, ale MUK nie gwarantuje, że ta dodatkowa moc wystarczy do rozbicia zakrzywionej metryki przestrzeni — zaoponowałem. — Okręty Olgi będą tu najwcześniej za trzy lata. Czemu mielibyśmy te lata bezproduktywnie tracić? Niszczycieli trzeba pokonać nie siłą, lecz podstępem, a oszukać ich można nawet bez statków Olgi.

— Ryzyko porażki oczywiście istnieje — zakończyłem. — Ale każda wojna niesie w sobie ryzyko. Nie wymagam natychmiastowej zgody. Pomyślcie, naradźcie się z załogami, a jutro nadajcie na „Cielca” uzgodnioną decyzję: „tak” lub „nie”.

Kapitanowie odlecieli na swoje statki, zatrzymałem tylko Allana i Leonida. Leonid był ponury, Allan radosny. Nie pamiętam zresztą, abym go kiedykolwiek widział w złym humorze. To byt idealny dowódca dla wyprawy, której przydarzyło się nieszczęście. Powiedziałem do nich:

— Okrętami z grupy szturmowej będę dowodził osobiście. Zwierzchnictwo nad flotą obejmie Allan. Nie martw się, Leonidzie, bywaliśmy w gorszych tarapatach.

— W gorszych od naszej dzisiejszej sytuacji, zgoda — odparł ze złością. — Ale nie jestem pewien, czy przypadkiem za tydzień „Cielec” nie zaplącze się w tym diabelskim nieeuklidesowym ślimaku. Niszczyciele nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa.

— Mówiłeś już przecież, że wojna ta stanowi wielkie ryzyko.

Nie przekonałem go wprawdzie, ale więcej nie protestował, choć nie rozchmurzył się do samego odlotu. Pożegnałem ich obu i i poszedłem do Wiery. Była u niej Mary.

— Będziesz musiała rozstać się z Pawłem — zwróciłem się do siostry. — Operacja „Cielca” jest manewrem czysto wojskowym i nie ma sensu, aby brał w niej udział kierownik polityczny wyprawy. Wszystko się przecież może wydarzyć. Paweł pojedzie ze mną, a ty przeniesiesz się do Altana.

— Jak trzeba, to trzeba — odparła.

Odniosłem wrażenie, iż spodobała się jej moja stanowczość. Dawniej często wypominała mi, że sam nie wiem, czego chcę i nie potrafię dążyć do wytkniętego celu.

— Pojedziesz z Wierą i Astrem, Mary. Żona gwałtownie zaprotestowała.

— No dobrze, pozostań na „Cielcu” — skapitulowałem. — Ale po co brać ze sobą chłopca? Oddamy Astra pod opiekę Wierze. Jeśli coś się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczymy!

— Co Astrowi może przydarzyć się takiego, co by nie przydarzyło się nam samym? — wykrzyknęła zapalczywie. — Już od kilku lat rozmawiasz z chłopcem jak z dorosłym, czemu więc odmawiasz mu prawa do dorosłego działania? Nie, wysłuchaj mnie do końca. Jestem twoją żoną, a on twym synem... Musimy być z tobą, dzielić twój los!

Nie opierałem się więcej.

Ze wszystkich statków nadeszła odpowiedź „tak”. Żadna załoga nie zadecydowała „nie”, żadna nie wstrzymała się od głosu. Można było przystąpić do wykonania pozorowanego manewru.

11

„Cielcowi” towarzyszyły „Pies Gończy” i „Woźnica”. Grupa czekała na wiadomość od Altana, że flota rozpoczęła atak. Altan zawiadomił mnie, że nowa próba przebicia się również nie przyniosła powodzenia. Gwałtownie zakrzywiana przestrzeń wyrzucała na zewnątrz skupiska jeden gwiazdolot po drugim.

— Już czas! — nadałem sygnał do szturmu i nasze okręty runęły do przodu.

Siedzieliśmy w sterówce we trzech — Osima dowodził, a ja z Pawłem zajmowałem się obserwacją. Na osi lotu połyskiwała Pomarańczowa z widoczną w mnożniku kuleczką jej samotnej planety. Jeżeli tam rzeczywiście były Zływrogi, to powinny przedsięwziąć jakieś kroki obronne, chociażby nieskuteczne, lecz niezwłoczne. Lecieliśmy z ciągle wzrastającą szybkością nie napotykając żadnych przeszkód. Nic nie wskazywało na to, że zostaliśmy wykryci. Trzy gwiazdoloty wtargnęły do wnętrza skupiska.

— Jest zbyt dobrze, aby było naprawdę dobrze przerwał milczenie Romero. — Pomarańczowa jest podejrzanie spokojna!

Jeżeli Zływrogi zamierzały zrobić nam jakiś paskudny kawał, to na razie się z tym nie zdradzały. Nadal lecieliśmy do przodu w nienaruszonej przestrzeni.

— Wśród wielu wariantów omawialiśmy również i taką sytuację, kiedy Niszczyciele będą starali się zwabić nas w pułapkę — odezwał się Osima. — Czy nie wydaje się panu, admirale, że mamy do czynienia z tym właśnie wariantem?

Allan przekazał mi wiadomość, że Pomarańczowa działa nader energicznie i jedynie na naszym kursie nie ma żadnych oznak jej aktywności. Przypuszczenie Osimy stawało się bardzo prawdopodobne. A jednak nie mogłem w nie uwierzyć. Trzeba było dysponować potęgą większą od naszej, odwagą graniczącą z szaleństwem, aby bez oporu wpuścić na swe terytorium trzy gwiazdoloty po tym, czego tam dokonał samotny „Pożeracz Przestrzeni”.

— Na razie wszystko idzie zgodnie z planem odpowiedziałem Osimie. — Niszczyciele zostali zaskoczeni.

Przemknęliśmy obok samotnych, peryferyjnych gwiazd i nareszcie znaleźliśmy się w centrum Perseusza. Na ekranach odbiorników fal przestrzennych ujrzeliśmy mnóstwo świetlnych punkcików, które przybliżały się, mnożyły i rosły. To statki Leonida nie czekając na rozkaz spieszyły w rejon dokonanego przez nas wyłomu. Przestrzeń nadal była spokojna i bez śladu zakłóceń.

— Wygląda na to, że przeciwnik stracił głowę i przegapił ostatnią szansę na skuteczne przeciwdziałanie — powiedział Romero, a Osima tylko ze zdumieniem pokiwał głową.

Wyczerpany napięciem ostatnich godzin zdrzemnąłem się w fotelu. Przyśnił mi się koszmarny sen, pierwszy z serii zadziwiających widziadeł, które tak często później mnie nawiedzały.

Znalazłem się w ogromnej sali, pokrytej kopułą usianą gwiazdami. Ale to był ekran. Doskonale wiedziałem, że oglądam projekcję gwiazd na suficie, a nie same gwiazdy. Stałem pod ścianą sali, potem zacząłem wzdłuż niej iść, później biec. Biegłem po okręgu, którego średnica ciągle się zmniejszała, i po spirali zbliżałem się ku środkowi hali, dokąd nie chciałem iść, bo tam między podłogą a stropem unosiła się w powietrzu półprzezroczysta kula. Nie wiadomo dlaczego bałem się tej kuli, a jednocześnie coś mnie z nieodpartą siłą ku niej popychało. Aby tylko na kulę nie patrzeć, wzniosłem oczy ku sufitowi i ujrzałem na nim wśród jaskrawych gwiazd jaśniejsze od nich punkty, nerwowo miotające się w przestrzeni. Wiedziałem, że były to statki naszej floty. Allan uparcie szturmował skupiska i z równym uporem odrzucano go na zewnątrz.

— Zdaje się, że trafiłem we śnie do sali obserwacyjnej Zływrogów — powiedziałem po przebudzeniu do towarzyszy. — Pawle, pan jako kronikarz wyprawy powinien zainteresować się idiotycznymi widziadłami, które nawiedzają jej dowódcę.

— Rzeczywistość jest gorsza od koszmarnego snu — odparł ponurym głosem Osima. — Proszę zapoznać się z depeszą Allana.

MUK przekazał, że statki Allana, które przebyły już większość przetartej przez nas trasy, natknęły się nagle na metrykę nieeuklidesową i zostały zmuszone do powrotu. Wrota rozwarte dla trzech gwiazdolotów zatrzasnęły się przed pozostałymi statkami floty...

— Druga nowina jest jeszcze ciekawsza-mruknął Romero. — Proszę spojrzeć na ekran.

Spojrzałem i serce we mnie zamarło. Krążowniki wroga błyskawicznie brały nas w szyk sferyczny.

— Około dwustu okrętów przeciwko trzem — powiedział Osima. — Mają przed nami respekt, admirale! — Jeszcze raz się przekonają, że gołymi rękami nie sposób nas wziąć. Alarm bojowy dla „Cielca”, „Psa Gończego” i „Woźnicy”!

Pomknęliśmy na spotkanie eskadr przeciwnika.

12

— Paskudna historia — powiedział Romero ziewając. A co najgorsze, nie widzę żadnego wyjścia z sytuacji.

Minęło już wiele dni od chwili, kiedy rzuciliśmy się na przeciwnika, a do starcia ciągle nie dochodziło. Atakowane statki uciekały, a nas z kolei dopędzały te, od których staraliśmy się oddalić. Kiedy zwracaliśmy się ku nim, uciekały i one. Taktyka wroga była oczywista: nie wypuszczali nas, ale do walki nie chcieli dopuścić.

— Gdyby choć jedna nieaktywna gwiazda się odezwała! — wykrzyknąłem ze złością. — Czyżby w skupisku nie było już żadnego słońca zamieszkanego przez Galaktów?

Romero milczał, ale wiedziałem, o czym myśli: przybyliśmy tu nie jako turyści, lecz oswobodziciele pokrewnych narodów, którym przydarzyło się nieszczęście. Teraz sami byliśmy w trudnej sytuacji, a osłabłe cywilizacje nie mogły nam pomóc.

Coraz bardziej przygnębiała nas różnica między tym, co działo się w czasie lotu „Pożeracza Przestrzeni” a tym, z czym spotkaliśmy się obecnie. Wtedy nieaktywne gwiazdy, które nie potrafiły zmieniać metryki przestrzeni, uporczywie przestrzegały nas przed niebezpieczeństwem, cieszyły się z naszych sukcesów. Teraz przestrzeń była martwa. Nieustannie, całą mocą naszych generatorów, poszukiwaliśmy przyjaciół, ale przyjaciele nie chcieli się odezwać, powiedzieć, gdzie ich szukać.

— Za sferą krążowników wroga widać ciemnego karła — zameldował Osima. — Jeżeli go zdobędziemy, zyskamy swobodę manewru.

— Proszę wezwać dowódców statków. Naradzimy się — rozkazałem.

Osima rozkazał statkom wyhamować się w przestrzeń einsteinowską. Wkrótce „Woźnica” i „Pies Gończy” pojawiły się na ekranach urządzeń optycznych. Zatrzymaliśmy się w swym ponadświetlnym biegu, a wraz z nami zamarły w oddali krążowniki wroga.

— Musimy podjąć ważne decyzje — powiedziałem na naradzie kapitanów. — Nie ma sensu dłużej miotać się wokół Pomarańczowej.

— Mam zastrzeżenia do nowego planu — oświadczył Kamagin, kiedy skończyłem mówić. — Nasze zapasy substancji aktywnej są zbyt małe, aby udało się nam pojedynczo zniszczyć wszystkie statki przeciwnika. Wątpię, żeby zdobycie wędrownego karła coś w tej sytuacji pomogło.

— Nie zgadza się pan na to?

— Nie. Jestem przeciwny temu, aby gwiazdkę spożytkować jako odskocznię do nowej pogoni za krążownikami wroga.

— A jeżeli zużyjemy ją na podróż do przyjaznej gwiazdy?

— Może pan podać współrzędne takiej gwiazdy? Nie? Wobec tego powiem, że przebijanie się na oślep jest równie złe, jak zwyczajne błądzenie.

— Po cóż więc mamy zdobywać karła?

— Aby uciec do swoich — odparł spokojnie Kamagin.

— Nie chce pan wykorzystać faktu, że pomyślnie wtargnęliśmy do wnętrza skupiska? — zapytał niemal wrogo Osima, najbardziej wojowniczy z nas.

Kamagin obrócił się ku niemu:

— Wcale nie uważam tego wtargnięcia za pomyślne. Moim zdaniem atak zakończył się fiaskiem. Plan przewidywał przecież, że najpierw przedrą się trzy statki, a za nimi cała flota. A co osiągnęliśmy? Flota została odrzucona do tyłu, my zaś miotamy się niczym zwierzę zagnane w pułapkę. Trzeba uciekać!

— Uciekać? — powtórzył Romero z uśmieszkiem. — Sądzi pan, drogi kapitanie, że mamy dokąd uciekać? A może pan chce powtórzyć eksperyment Olgi?

— Powtórzyłbym go, gdyby była jakaś szansa na powodzenie. Ale od tego czasu Niszczyciele zmądrzeli i nie pozwolą nam zbliżyć się do swoich planet. Dlatego głosuję za próbą zdobycia wędrownego karła.

— O czym z takim napięciem myśli nasz szanowny admirał? — zapytał mnie Romero.

— Wasz szanowny admirał — odparłem tym samym tonem — zgadza się z kapitanem Kamaginem. Mamy zbyt mało sił, aby opanować skupisko. Inwazja nie udała się, pora wracać. Ale tak czy inaczej musimy najpierw zdobyć tę ciemną gwiazdkę.

13

Nie przypuszczałem oczywiście, że Niszczyciele oddadzą nam bez boju gwiazdkę, która mknęła między ich okrętami jak przywiązana. W kronice Romera znajdziecie dokładne obliczenia naszego manewru i opis tego, jak nasze trzy gwiazdoloty lecące dotąd w zwartej grupce rozprysnęły się nagle każdy w swoją stronę, rozbiły precyzyjny szyk Zływrogów, a kiedy znów wzięły kurs na zbliżenie, co najmniej dziesięć krążowników przeciwnika wraz z ciemnym karłem znalazło się z trzech stron na osi naszego marszu.

Dodam tu tylko, że widowisko panicznej ucieczki wroga było bardzo malownicze. Ani Osima, ani Petri nie ścigali uciekinierów, ale Kamagin wziął odwet za podstępny napad na „Mendelejewa” w Plejadach. Jeden z krążowników znalazł się w stożku skutecznego ognia „Woźnicy” i już z niego nie wyszedł. Słońce zapalone przez Kamagina płonęło tylko kilka chwil, lecz jego złowieszczy blask napędził wrogom jeszcze większego strachu.

Później nasze gwiazdoloty zawisły nad powierzchnią karła, oświetlając go dalekosiężnymi reflektorami. Ten kamienisty glob nie przedstawiał dla nikogo żadnej wartości i można go było bez żalu zniszczyć.

Karzeł tajał, rozlewając wokół siebie przestrzeń, „parował przestrzenią” według celnego określenia Pawła. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Staliśmy się niezależni od zakłóceń metryki wytwarzanych przez Zływrogów. Zakłócenia metryki to zmiana struktury przestrzeni już istniejącej, a tu przestrzeń dopiero powstawała i trzeba było dopiero nadać jej taką lub inną strukturę. Przestrzeń rosła, rozszerzała się, a my pędziliśmy w tym własnym, nieustannie generowanym pęcherzu ochronnym, pewni siebie i bezpieczni.

Powiedziałem, że wszystko przebiegało zgodnie z planem. Wszystko, poza jednym. Nie zdołaliśmy wyrwać się na zewnątrz. Pęcherz autonomicznej przestrzeni był tylko pęcherzem. Rozszerzyliśmy jedynie objętość skupiska Chi, wytworzyliśmy w nim malutką opuchliznę, podczas gdy należało rozsadzić gigantyczną sferę zamkniętą wokół Pomarańczowej. Teraz doskonale to rozumiemy. Człowiek jest mądry po szkodzie...

Dzień za dniem oddalaliśmy się od Pomarańczowej, warstwa przestrzeni zwiniętej w nieeuklidesowego ślimaka stawała się coraz cieńsza, widzieliśmy już nawet statki Allana znajdujące się po drugiej stronie zapory i odbieraliśmy ich depesze. Wydawało się nam, że wystarczy jedno silniejsze uderzenie, aby wyrwać się na wolność. Kiedy więc zaczęły tajać ostatnie megatony zdobytej przez nas substancji gwiezdnej, bez wahania rozkazałem przygotować „Woźnicę” i „Psa Gończego” do anihilacji.

— Lepiej poświęcić dwa gwiazdoloty niż narazić całą wyprawę na klęskę! — przeciąłem nieśmiałe protesty Osimy. — Proszę rozpocząć ewakuację załóg obu statków na „Cielca”. Niech maszyny pokładowe przeanalizują nasze szanse.

Wszystkie trzy komputery potwierdziły zgodnie, że dodatkowej materii wystarczy na przebicie ostatniej warstwy metryki nieeuklidesowej. Nie przypuszczaliśmy jeszcze wtedy, że supermądry MUK także może się mylić...

14

Planetoloty zaczęły ewakuować na „Cielca” ludzi i cenny sprzęt ze skazanych na zagładę okrętów. Dowódcy statków naradzali się w mesie, a ja siedziałem z Mary i Astrem. Starożytni kapitanowie żaglowców byli mądrymi ludźmi i mieli rację nie chcąc zabierać swych rodzin na niebezpieczne wyprawy — teraz pojąłem to z całą jasnością.

Aster większość wolnego czasu spędzał w sali obserwacyjnej. Kiedy spotykaliśmy się, dawał mi zapalczywe rady nie gorsze od innych udzielanych mi rad lub moich własnych decyzji. Proszę mnie źle nie rozumieć: wcale nie chcę przez to powiedzieć, że syn był genialny. Po prostu wszyscy członkowie wyprawy byli zwykłymi ludźmi (o czym teraz zaczęto zapominać, kreując nas niemal na tytanów), do których poziomu nie było trudno dorosnąć.

— Niepotrzebnie anihilujesz dwa statki, ojcze! przekonywał mnie Aster. — Tak pochopnie zmniejszać naszą siłę uderzeniową! To nierozsądne...

— Trzy statki istotnie znaczą więcej niż jeden zgodziłem się — ale nie mamy innego wyjścia!

— Mamy! Trzeba zdobyć okręty wroga i zamienić je w przestrzeń.

— To bardzo dobry pomysł — rzekłem z westchnieniem. — Gdybyśmy jeszcze mogli się do nich zbliżyć... Idź na spacer, synku, muszę porozmawiać z mamą.

— Nie ukrywaj przede mną niczego! — powiedziała po jego odejściu Mary. — Grozi nam zguba, prawda? — Nastąpił kryzys — odparłem. — Po kryzysie następuje albo koniec, albo poprawa. Nie należy więc tracić nadziei, lecz trzeba również być gotowym na wszystko...

— A jeśli coś się stanie... — wyszeptała zmienionym głosem — nie wybaczysz mi nigdy, że zabrałam ze sobą Astra!

— Aster jest takim samym człowiekiem jak my i jeżeli trzeba będzie umierać, nie umrze wcześniej od nas. Wyszedłem. Na wewnętrznej „uliczce” podszedł do mnie Romero. Świetnie widać wyczuwał moje samopoczucie, bo chociaż słowa jego były pełne ironii, ani w głosie, ani w wyrazie twarzy tej ironii nie znalazłem.

— Drogi Eli, czy nie zazdrości pan swoim wojowniczym przodkom udającym się na wyprawy bez rodzin? Widzę, że tak. Proszę więc pamiętać, iż owi przodkowie często musieli walczyć w obronie swych dzieci i żon... I walczyli wówczas z samozaparciem, zaciekle, okrutnie i do końca!

— Niestety, muszę odpowiedzieć na to banałem rzuciłem suchym tonem. — Będziemy walczyć z samozaparciem, zaciekle i do końca, Pawle. Ale nie tylko w obronie swoich żon i dzieci, nie tylko w obronie całej ludzkości, lecz także wszystkich istot rozumnych, potrzebujących naszej pomocy!

W mesie przede wszystkim spojrzałem na ekran. Gwiezdne półkule płonęły jaskrawym, wielobarwnym blaskiem, od którego bolały oczy. Pomarańczowa, odległa od nas o tygodnie drogi światła, wyglądała jak ziarnko grochu. Zamyśliłem się. Trzeba zniszczyć gwiazdoloty, ale nie mogłem się na to zdecydować. Za nieeuklidesową barierą pozostała flota, którą nadal formalnie dowodziłem i której musiałem wydać ostatni rozkaz na wypadek niepowodzenia naszej próby przebicia się na zewnątrz. Powiedziałem o tym Pawłowi.

— O ile dobrze zrozumiałem, zamierza pan sporządzić testament? — zapytał. — Czy nie za wcześnie, admirale?

— Na testament istotnie jest za wcześnie. Ale czas już ocenić wyniki naszej wyprawy... Jeżeli zginiemy, nikt tego za nas nie zrobi.

— Naszkicowałem tekst depeszy — powiedział Romero. — Proszę posłuchać.

Admirał Wielkiej Floty Galaktycznej Eli Gamazin do Ludzkości*Atak trzech gwiazdolotów na skupisko Chi Perseusza może zakończyć się klęska. Dwa statki zostano zanihilowane przez nas samych, lot trzeciego ze wszystkimi załogami na pokładzie jest trudny do przewidzenia. Traktujcie tę wiadomość jako mój ostatni rozkaz wydany flocie.Odwoluję jako nierealny bezpośredni atak na Perseusza. Do skupiska należy przedostawać się stopniowo, uprzednio zniszczywszy nieeuklidesowa metrykę. Próba zagarnięcia samotnych gwiazd i planet na peryferiach skupiska nie powiodła się. Radzę wobec tego opanować pojedyncze ciała niebieskie znajdujące się z dala od skupiska i podciągnąć je do granic Perseusza. Dopiero po skoncentrowaniu dostatecznie wielkiej masy takich ciał przy barierze nieeuklidesowej przystąpić do kolejnego etapu szturmu — anihilacji. Po takim przygotowaniu, które może potrwać kilkadziesiąt lat ziemskich, można liczyć na sukces ataku.*Proszę potwierdzić odbiór.

Trzykrotnie nadaliśmy ten tekst na falach przestrzennych. Nie wątpiliśmy, że wrogowie przechwycą naszą transmisję, ale nie chcieliśmy trzymać jej w tajemnicy, bowiem nowy nasz plan opierał się nie na podstępie, lecz na potędze.

Po chwili otrzymaliśmy odpowiedź Altana: „Rozkaz admirała odebraliśmy”.

— Przystąpić do anihilacji gwiazdolotów! — rozkazałem.

15

I znów „Cielec” pędził w pęcherzu autonomicznej przestrzeni, rodzącej się tym razem z niszczonego statku. W sterówce znajdował się tylko Osima, któremu powierzyłem dowództwo w próbie przebicia się na zewnątrz. Ja wraz z innymi siedziałem w mesie, bowiem sala obserwacyjna została zajęta przez ewakuowane załogi anihilowanych statków. Nie patrzyłem na ekrany, pozostawiając obserwację Romerowi.

Paweł powiedział w pewnej chwili:

— Zakrzywiona metryka cofa się trzykrotnie wolniej, niż to jest konieczne do przebicia się na zewnątrz. Flotylla wroga przeszła w obszar nadświetlny... Niech pan zajrzy do sterówki, Eli.

Udał się tam wraz ze mną. Siedzieliśmy obok milczącego Osimy. Na ekranie rozpadał się ostatni fragment „Woźnicy”. Ostatnia szansa, myślałem, ostatnia szansa!

— „Woźnica” przestał istnieć, admirale! — powiedział wibrującym głosem Osima. — MUK donosi, że przebyliśmy najwyżej jedną czwartą drogi na zewnątrz. Czy kontynuować anihilację?

— Oczywiście — odrzekłem spokojnie. — Teraz kolej na „Psa Gończego”. Nie rozumiem pańskiego pytania, Osimo.

Kapitan już się opanował.

— MUK radzi przyspieszyć anihilację drugiego statku.

— Wprawdzie na obliczeniach komputera nie bardzo można polegać, ale nie mamy innego wyjścia — odparłem.

Tym razem nie udało się uniknąć rozbłysku. Ognista kula rozlała się na miejscu zniszczonego gwiazdolotu, a my pomknęliśmy ku centrum eksplozji. Po chwili okazało się, że ofiara była daremna.

— Koniec, admirale — wykrztusił martwym głosem Osima. — Nie zdołaliśmy przebić bariery. Przeciwnik zbliża się do statku. Czekamy na rozkazy — zakończył spokojnie.

— Ogłosić alarm bojowy — rzuciłem i wyszedłem ze sterówki.

16

Za drzwiami zatrzymałem się i bezsilnie oparłem o ścianę. Korytarz przy wejściu do sterówki był pusty i mogłem być przez chwilę sam. Postałem tak chwilę, zbierając myśli, a potem ruszyłem przed siebie. Szedłem krętymi tunelami i przede mną bezszelestnie rozsuwały się drzwi, bo wszystkie mechanizmy ochronne i blokujące były nastrojone na moje indywidualne pole, na pole admirała Wielkiej Floty Galaktycznej. Admirała! „Jeszcze jesteś admirałem, Eli! — powiedziałem do siebie z gniewem. — Walka jeszcze trwa!”

Wszedłem do pomieszczenia MUK, które jedynie ja mogłem odwiedzać bez zezwolenia kapitana statku. Pośrodku pokoju stał fotel. Usiadłem w nim. Przede mną na stoliku, przez który biegły tysiące przewodów do czujników i analizatorów, wznosiła się niewielka skrzyneczka — krystaliczny mózg naszego pokładowego komputera, jednego z setek identycznych egzemplarzy maszyn typu MUK rozsianych po wielu planetach, zamontowanych na wielu statkach.

— Powiedz supermądry, nieomylny mózgu — rzekłem na głos — powiedz, intelekcie absolutny, co czeka nas w wyniku rozgrywanej obecnie na zewnątrz kombinacji: dwieście okrętów wroga przeciwko jednemu naszemu?

„Klęska! — zapłonęła w moim mózgu beznamiętna odpowiedź komputera, który po chwili uściślił: — Zguba «Cielca» po zniszczeniu wielu atakujących statków wroga”.

— A więc i twoja zguba?

„Moja przede wszystkim. Jeśli wpadnę w ręce wroga, ludzkość będzie zgubiona, bo zbyt wiele wiem. Dla dobra człowieka powinienem zostać zdemontowany jeszcze przed ostateczną klęską”.

— To ci obiecuję, ty tępa imitacjo ludzkiego rozumu!

Zerwałem się i wyszedłem. Pobiegłem na oślep przed siebie i nieoczekiwanie znalazłem się w pomieszczeniu Aniołów. Trub radośnie objął mnie skrzydłami. Odprowadziłem go na bok.

— Jest bardzo źle — powiedziałem.

— Gorzej niż było w Plejadach, kiedy napadły nas Zływrogi? — zapytał. Wydarzenia owych dni stanowiły dla niego coś w rodzaju wzorca właściwego postępowania.

— Znacznie gorzej. Chodzi o nasze życie, a MUK dał ujemną prognozę...

— Chcesz powiedzieć, że zginiemy w oczekującym nas starciu, Eli?...

— Tak. Wiem, że trudno jest umierać, ale historia nie kończy się na nas...

Od Aniołów poszedłem do Lusina, który właśnie uczył skrzydlatego smoka walki powietrznej. Na Gromowładnego napadło stado pegazów, a jaszczur odpędzał wojownicze konie.

— Jak tam na zewnątrz? — zapytał Lusin. — Jesteśmy ścigani?

Opisałem mu naszą sytuację.

— Wszyscy zginą, Eli?

— Czyżbyś się spodziewał, że któryś z twoich tworów ocaleje z tego kataklizmu?

— Tylko Gromowładny, trzeba go uratować! Nas jest wielu, a on jeden jedyny. Pegazy też. Wysadź je na jakiejś planecie, niech się rozmnażają...

— Gdyby to było możliwe — odparłem — to razem z pegazami wysadziłbym na jakiejś bezpiecznej planecie również Astra i Mary!

Nagle się uspokoiłem. Rozpacz dławiąca mnie jeszcze kilka minut temu zniknęła, uspokoiłem się. Wiedziałem już, czego chcę, wiedziałem też, że będzie mi trudno obronić ten mój nowy plan przed dowódcami i załogami trzech gwiazdolotów, ale że tego dokonam. Moje miejsce było w sterówce, poszedłem więc tam niezwłocznie.

— Nareszcie pan jest, admirale! — wykrzyknął.

Osima rozdrażnionym tonem. — Dowódca floty wroga nadal bezczelne ultimatum, na które musimy godnie odpowiedzieć.

17

Przed zapoznaniem się z depeszą Niszczycieli spojrzałem na stereoekran. Zielone ogniki krążowników zbierały się w grupki. Coś się zmieniło — statki Zływrogów przekroczyły dystans bezpieczeństwa, do niedawna tak ściśle przeze mnie przestrzegany.

— Czemu oni nagle przestali się nas obawiać? powiedziałem nieświadomie na głos.

— Jeden gwiazdolot jest dokładnie trzy razy słabszy od trzech — odparł chmurnie Kamagin.

Puściłem to mimo uszu i rozkazałem komputerowi: — Odczytaj ultimatum przeciwnika!

MUK włączył się natychmiast:

„Do statku galaktycznego, który wtargnął do naszego skupiska gwiezdnego. Wasza próba przedarcia się na zewnątrz nie powiodła się. Nie uda się też wam zniszczyć jakiegokolwiek z naszych okrętów. Jesteście skazani na zagładę. Proponujemy kapitulację. Gwarantujemy zachowanie życia. Orlan Niszczyciel Pierwszej Kategorii Imperialnej”.

Spojrzałem na swych pomocników.

Romero odwrócił twarz, Osima spokojnie czekał na rozkazy, aby natychmiast wcielić je w życie.

— Kapitulujemy — rzekłem sucho.

Obecni w sterówce najpierw zmartwieli, a potem zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego, zarzucając mi tchórzostwo, szaleństwo, obłęd. Przeczekałem to. Pierwszy odzyskał spokój Osima.

— Proszę pomyśleć, admirale. Chodzi przecież nie tylko o nasze życie. Będziemy musieli oddać wrogowi sprawne anihilatory bojowe i napędowe oraz MUK, a to oznacza zagrożenie dla całej ludzkości!

— Oddać, tak, lecz niesprawne. MUK zostanie zniszczony, a urządzenia sterujące anihilatorów zdemontowane. Zrobi to Kamagin i pan, Osimo.

Po chwili milczenia odezwał się Romero:

— Widzę, że pan to wszystko dokładnie przemyślał, Eli. Czy nie zechce pan wobec tego być tak uprzejmy i oświecić nas, czemu mamy iść do niewoli razem ze statkiem? Czy życie w kajdanach wroga jest lepsze od honorowej śmierci? I czy przypadkiem na decyzję szanownego admirała nie wpływa ta okoliczność, że na pokładzie statku znajduje się jego rodzina?

— Tak, wpływa. Gdyby na statku nie znajdowała się moja rodzina, decyzję kapitulacji podjąłbym znacznie wcześniej i bez tak wielkich oporów.

— Powiedział pan: decyzję? — obojętnie zapytał Kamagin. — A nam się zdawało, że to na razie tylko propozycja...

— Proszę mnie wysłuchać — powiedziałem — i dopiero wtedy osądzać. Gdyby chodziło tylko o nas, to istotnie uczciwa śmierć w nierównej walce byłaby znacznie lepsza od niewoli Zływrogów. Ale nie mamy prawa myśleć tylko o sobie. Jesteśmy wszak pierwszymi przedstawicielami ludzkości i jej gwiezdnych przyjaciół, którzy znaleźli się w legowisku wroga, i musimy zachowywać się z godnością. Umrzeć potrafi każdy, a życie w trudnych warunkach jest bohaterstwem. Nie zależy mi na własnym życiu i nawet nie na tym, aby lepiej poznać przeciwnika, choć to może okazać się cenne po naszym ewentualnym uwolnieniu. Najważniejsze jest to, żeby Niszczyciele nas poznali. Wielkie idee, które popchnęły nas ku wyprawie do Perseusza, nie umarły, dopóki my żyjemy. Nasi przeciwnicy muszą dowiedzieć się, o co nam chodzi. Wtedy jedni z nich poczują do nas jeszcze większą nienawiść, drudzy zawahają się, a inni jeszcze, na pewno nieliczni, staną się naszymi sprzymierzeńcami: przecież Niszczyciele są nie tylko okrutni, lecz także bez wątpienia mądrzy, nikt ich inteligencji nie neguje... Nie, walka ze Zływrogami nie kończy się z chwilą naszego uwięzienia! Będzie trwać nadal, tylko w innej formie. W starożytności nazywano to wojną ideologiczną. Wierzę, iż w tej wojnie zwyciężymy!

Skończyłem i zamknąłem oczy. Przez kilka chwil panowała cisza. Ludzie zastanawiali się nad mymi słowami. Nagle rozległ się okrzyk Kamagina:

— Spójrzcie na ekran! Spójrzcie na ekran!...

Na ekranie szalał płomień. Wrażenie było takie, jak gdybyśmy znaleźli się w epicentrum wybuchu, który rozrzucił na wszystkie strony krążowniki przeciwnika. Pomarańczowa rozprzestrzeniła się na cały horyzont, zajęła całe niebo.

— Admirale, Niszczyciele giną! — wykrzyknął radośnie Osima.

— Ale my zginiemy wraz z nimi, drogi kapitanie ostudził jego zapały Romero, który nawet w owej strasznej chwili nie stracił swego poczucia humoru.

Później gwałtowny rozbłysk światła rozjaśnił mroczną sterówkę i wszyscy naraz straciliśmy przytomność.

18

Odzyskaliśmy przytomność również jednocześnie. Sterówka była jasno oświetlona, a na białych ekranach przesuwały się wizerunki gwiazd. Uniosłem głowę i stwierdziłem z ulgą, że wszyscy moi towarzysze żyją. Później spojrzałem na wejście do sali.

Przy drzwiach stały trzy dziwaczne istoty podobne do ludzi. Były też podobne do ujętego przez nas Niewidzialnego, ale różniły się od niego zasadniczo: tam była goła konstrukcja sporządzona według suchych obliczeń, tu zaś mieliśmy przed oczami coś w rodzaju prawdziwego ciała.

Jeden z Niszczycieli wysunął się do przodu i powiedział nienaganną ziemszczyzną:

— Admirale Eli, proszę rozkazać otworzyć luki pańskiego statku. Jestem Orlan i ja teraz będę dowodził „Cielcem”!

Osima rzucił się ku Orlanowi i uderzył go ręką w pierś. Jego dłoń swobodnie przeszła przez ciało Niszczyciela, jakby niczego w tym miejscu nie było.

## 5. Wielki Niszczyciel

1

— Zjawa! — wykrzyknął Osima. — Admirale, to jest widziadło!...

Znów uderzył pięścią w sylwetkę dziwacznej istoty stojącej przy wejściu i odskoczył z grymasem bólu na twarzy. Z rozbitych knykci trysnęła mu krew. Romero spojrzał na mnie porozumiewawczo. Milczałem. Byłem jak skamieniały. W głowie kłębiła się tylko jedna myśl: „MUK dostanie się w ręce wrogów”.

— Nie ruszać się! — powiedział Orlan. — Powtórnie rozkazuję otworzyć wejścia!

Gorączkowo próbowałem połączyć się z komputerem, który nie odpowiadał na wezwania. Wszystkie połączenia energetyczne statku zostały najwidoczniej uszkodzone w czasie zderzenia, które pozbawiło nas przytomności. Ale gwiazdolot był cały, luki miał zamknięte, my żyliśmy, chyba więc i MUK nie poniósł szwanku. Przerażenie wyzierające z oczu Romera mówiło, że i on pojmował ogrom klęski. Do niewoli dostały się bowiem nie tylko załogi trzech statków, których życie nie było w końcu tak wiele warte, wróg zdobył również najpilniej strzeżone tajemnice ludzkości. Nigdy jeszcze nie wytężałem tak umysłu w poszukiwaniu jakiegokolwiek rozwiązania i nigdy mój mózg nie był tak pusty.

— Otwórzcie luki, bo was unicestwimy — powiedział beznamiętnym tonem Niszczyciel.

Dłużej nie można było milczeć.

— Zamknięte luki nie stanowią przecież dla was przeszkody — odparłem.

— Dla mnie nie, lecz moi żołnierze nie potrafią przenikać przez bariery materialne.

— Wynoście się więc do diabła! — powiedziałem z nienawiścią. — Możecie nas unicestwić razem ze statkiem.

Żaden z Niszczycieli nawet nie drgnął. Orlan powiedział nieco łagodniejszym tonem:

— Potrafimy was zlikwidować bez zniszczenia statku. Odholujemy go na bazę z wami lub bez was.

Nie od razu znalazłem odpowiedź. Na pomoc przyszedł mi Romero:

— Pański rozkaz jest niewykonalny chociażby dlatego, że utraciliśmy możliwość dowodzenia mechanizmami wykonawczymi gwiazdolotu. Przywróćcie nam łączność z aparatami.

— Abyście spróbowali wysadzić statek? — W głosie Niszczyciela zabrzmiała niemal ludzka ironia. — Wasze anihilatory są skutecznie zablokowane przez nasze pola.

— Czego się więc obawiacie? W inny sposób nie można otworzyć luków gwiazdolotu. My przynajmniej tego nie potrafimy.

— A otworzymy je tylko w tym wypadku, jeżeli zagwarantujecie wszystkim poddającym się życie i wolność — dorzuciłem.

— Życie wam gwarantujemy, już to obiecałem. Co zaś do wolności, to nie jest w mojej mocy dawać ją lub odbierać. Za trzy minuty odzyskacie utraconą łączność.

Spojrzałem bezradnie na przyjaciół. Zapomniałem, że przy braku łączności z komputerem mogę skorzystać z miniaturowego, naręcznego deszyfratora DN-2, ostatniego wynalazku Andre. Moi pomocnicy wcześniej zdali sobie z tego sprawę. Usłyszałem rozlegający się w moim mózgu myślowy szept Osimy: „Admirale, zdaje się, że dadzą nam tę szansę. Pamiętam o pańskim rozkazie i spróbuję zdemontować MUK!” Zamknąłem oczy, aby Niszczyciele nie dojrzeli w nich błysku radości.

Łączność z komputerem wracała powoli, jakby niechętnie. MUK zdawał się budzić z głębokiego snu. Kiedy wreszcie komputer się ocknął i poczułem, że porwane dotychczas nici wiodące do maszynowego mózgu statku znów się zrosły, błyskawicznie spróbowałem wywołać anihilatory. Nic z tego jednak nie wyszło — anihilatory były dokładnie zablokowane. Najwidoczniej to samo usiłowali zrobić moi przyjaciele, gdyż Kamagin nagle jęknął, a Petri zaklął z pasją.

— Czemu tak długo? — zapytał Orlan.

— Zły kontakt — odparłem.

Osima miał senną twarz, a Kamagin otworzył w napięciu usta i nie widzącymi oczyma wpatrywał się w jakiś punkt na ekranie. „Może im się uda!” — pomyślałem z nadzieją.

Spośród miliardów możliwych kombinacji elementów tworzących MUK jedna tylko umożliwiała mu prawidłową pracę, teraz zaś komputer pod dyktando Osimy i Kamagina sam układał schemat nowych połączeń. Kiedy któryś z nich, Osima lub Kamagin, powie: „Koniec programu. Wykonuj!”, ta jedyna kombinacja zostanie zastąpiona dowolną inną, przypadkową, bezsensowną, jedną z miliardów bezsensownych kombinacji połączeń.

— Koniec! — wykrzyknął Osima z ulgą.

— Koniec! — powtórzył jak echo Kamagin. Poczułem w mózgu i całym ciele rozbłysk bólu. Nasz inteligentny MUK, magazynier i strażnik wiedzy całej ludzkości, przestał istnieć. Została bezużyteczna składanka kryształów oplątana gąszczem przewodów.

— Admirale! — powiedział uroczyście Osima. Rozkaz został wykonany.

— Petri, proszę otworzyć luki — zarządziłem. — Trzeba spełnić warunki kapitulacji. Potrafi pan chyba ręcznie uruchomić awaryjne urządzenia odryglowujące?

— Dam sobie radę — mruknął Petri kierując się ku wyjściu. Kiwnął palcem na Niszczycieli. — Może któryś z was pójdzie ze mną?

Jeden ze Zływrogów roztajał i zniknął. Dwaj pozostali tkwili nadal na starych miejscach.

Po pewnym czasie pilnujący drzwi Niszczyciele odsunęli się na boki, jakby przepuszczali kogoś do sterówki, ale nikt nowy w sali się nie pojawił. Jednocześnie instynktownie poczułem, że wokół nas zrobiło się ciaśniej.

— Niewidzialni! — rzucił ostrzegawczo Romero.

— Możecie iść do swoich towarzyszy — powiedział beznamiętnym głosem Orlan.

2

Paweł skierował się do parku. Ruszyliśmy za nim. Po drodze zobaczyliśmy całe kohorty pancernych żółwi, które niezgrabnie kołysząc zastępującymi im głowy peryskopami rozlewały się wzdłuż korytarzy biegnących do lądowiska i zajmowały jedno pomieszczenie za drugim. Zływrogi gnały przed sobą wypędzonych stamtąd ludzi. Na lądowisku stały lekkie statki podobne do naszych planetolotów. Z ich otwartych luków sypały się nowe zastępy głowookich. Nie pozwolono nam obserwować tej sceny. Nagle pojawił się Orlan i rozkazał odejść stamtąd.

— Sprawdźcie deszyfratory! — poradził Romero i po chwili, kiedyśmy uregulowali nasze DN-2, kontynuował już w myśli: „Zływrogi mają dobry słuch, ale naszego promieniowania mózgowego chyba nie odbierają, nie mówmy więc niczego na głos”.

Zgodziliśmy się z nim i każdemu napotkanemu człowiekowi polecaliśmy uruchomić deszyfrator. W alejach parku było pełno ludzi. Wokół każdego dowódcy tworzył się tłum złożony głównie z członków załogi jego statku. Mnie na razie pozostawiono w spokoju, usiadłem więc na ławce w towarzystwie Mary i Astra. Po chwili dołączył do nas Romero. W parku panowała ziemska jesień, między drzewami szumiał lekki wiatr, sypały się pożółkłe liście.

— Zabiją nas, ojcze? — zapytał Aster patrząc mi uważnie w oczy.

Uśmiechnąłem się z wysiłkiem i odwróciłem głowę.

— A to niby czemu? Nasze życie jest teraz bardziej potrzebne Niszczycielom niż nam samym.

Aster zamyślił się. Nad tłumem pojawił się Trub z Lusinem na barkach. Anioł wylądował obok naszej ławki i Lusin zeskoczył na grunt. Trub patrzył na mnie jak na zdrajcę.

— Eli, jak mogłeś poddać się bez walki? Anioły nigdy nie idą do niewoli, a ludzie...

— Przypomnij sobie, co mówiłem na statku — odparłem i poprosiłem, aby uruchomił deszyfrator. — Uważajcie się nie za jeńców, lecz za wywiadowców w jaskini wroga.

— Możemy się za takich uważać, ale co na to wrogowie, którzy pochwycili nas siłą? — zaoponował Lusin, wyrażając się nadspodziewanie jasno. Przekonałem się zresztą z czasem, że rozmawiając bez słów potrafi być bardzo precyzyjny w sądach i wymowny. Jeszcze teraz, spotykając się na Ziemi, włączamy nasze deszyfratory i wówczas porozumiewamy się bez przeszkód.

— No, zobaczymy — rzucił powściągliwie Romero. Żona w milczeniu tuliła się do mego ramienia. Rozumieliśmy się bez słów. Posmutniały Lusin rozmawiał półgłosem z Romerem, a Trub i Aster dołączyli do grupki otaczającej Kamagina. Liście spadały coraz obficiej przywodząc mi na myśl ów dzień na nieosiągalnie dalekiej Ziemi, kiedy to w alei Zielonego Prospektu spotkałem Mary. Teraz była obok mnie, wymęczona, cierpliwa, nieskończenie bliska, a ja z czułością myślałem o tamtej, niechętnej, pogardliwie odburkującej na moje pytania...

— Nie trzeba! — wyszeptała błagalnie Mary, której deszyfrator przekazał moje myśli.

— Masz rację! — powiedziałem z westchnieniem, dostrzegając idącego ku nam Orlam, któremu towarzyszyli ci sami dwaj widmowi Niszczyciele.

Później zrozumieliśmy, że ich widmowość jest pozorna, byli bowiem całkowicie materialni, tyle że bardzo „nieludzcy”. Odmienność Zływrogów od ludzi była szczególnie widoczna podczas ruchu. Nieruchomego Niszczyciela, zwłaszcza z daleka, można było z łatwością pomylić z człowiekiem. Chód jednak natychmiast ich zdradzał: nie kroczyli, lecz raczej lekko podskakiwali na sztywnych nogach wyrzucając je kolejno do przodu niczym szczudła. Kołysali przy tym całym tułowiem jak ziemscy „chodziarze”, bijący rekordy szybkości. Jeszcze mniej cech ludzkich miały ich twarze. Na głowach przypominających zarysem głowę człowieka mieli włosy, uszy, oczy, usta i podbródek, ale brak tam było nosa, zamiast którego widniał okrągły otwór zakryty płatem skóry przypominającym niewielki ryjek, wznoszący się i opadający przy oddychaniu. Twarze ich zmieniały barwę zależnie od nastroju: były raz białe, raz żółte to znów niebieskie. Zmiana koloru i blasku nie przypominała w niczym zadziwiającego języka barw mieszkańców Wegi, przywodziła na myśl raczej naszą bladość lub rumieńce, znacznie jednak silniejsze, wręcz złowieszcze.

Orlan uniósł głowę do góry-nie obrócił jej na szyi ku tyłowi jak my to czynimy podnosząc głowę, lecz właśnie uniósł: szyja nagle wydłużyła się i głowa zawisła o jakieś trzydzieści centymetrów nad ramionami. Później domyśliliśmy się, że jest to pozdrowienie przyjęte u Niszczycieli, którzy uprzejmie podnoszą głowy, jak nasi przodkowie uchylali kapelusza.

Orlan odezwał się nie opuszczając głowy:

— Żaden z mechanizmów napędowych statku nie działa. Coście z nimi zrobili?

— To nie nasza wina, zablokowaliście anihilatory gwiazdolotu.

— Odblokowaliśmy je, ale nie znamy schematów waszych urządzeń. Powiedzcie, jak je należy obsługiwać.

— Nie zrobimy tego — oświadczyłem. — Sterujący napędem komputer pokładowy został zniszczony. Ale gdybyście nawet wiedzieli, jak uruchomić anihilatory bez jego pomocy, i tak nie zdradzilibyśmy naszych sekretów.

Głowa Orlana opadła. Było to tak nieoczekiwane, że Mary krzyknęła z przestrachu. Szyja zniknęła całkowicie, a czaszka do połowy skryła się w klatce piersiowej, wydając przy tym dźwięk podobny do suchego wystrzału. Nad ramionami Niszczyciela wystawało teraz jedynie czoło i dwoje oczu. Te widoczne fragmenty Orlanowej twarzy rozbłysły niebieskim światłem. W ten sposób po raz pierwszy zobaczyliśmy, jak Zływrogi wyrażają swoje rozdrażnienie i dezaprobatę.

— Doniosę o tym Wielkiemu — dobiegł nas zmieniony głos Orlana.

— Proszę bardzo — odparłem. — Chciałem jednak najprzód zadać panu kilka pytań. Czy można?

— Słucham — jego głowa wróciła na miejsce.

— Co zamierzacie z nami zrobić? Kim jest Wielki Niszczyciel? Skąd wiecie, jak mam na imię i kim jestem? Jak nauczyliście się ludzkiego języka? Jak przedostaliście się do wnętrza naszego gwiazdolotu?

— Na żadne z tych pytań nie udzielę na razie odpowiedzi — oświadczył Orlan znów kryjąc głowę w piersi. Po chwili wydobył ją z powrotem i dodał: — A o tym, czy je kiedykolwiek uzyskacie, zdecyduje później Wielki.

— Niech mi pan wobec tego powie, co możemy i czego nam nie wolno robić.

— Możecie robić wszystko to, co dotychczas, z jednym wyjątkiem: nie wolno wam zbliżać się do urządzeń napędowych i sterujących statku.

— Odblokujcie nam przynajmniej stereoekrany w sali obserwacyjnej — poprosiłem. — Chyba wam nie zaszkodzi, jeżeli popatrzymy na słońca waszego malowniczego skupiska?

— Patrzeć na gwiazdy możecie — rzucił oddalając się w podskokach.

3

Kronika Romera dokładnie opisuje pierwsze dni naszej niewoli, nasze ówczesne niepokoje, zaskoczenia, rozpacz i wściekłość ogarniającą ludzi na widok Zływrogów szarogęsiących się na gwiazdolocie. Ja z owych dni zapamiętałem przede wszystkim dręczące mnie bezustannie pytania, na które nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi. Tylko z dwojgiem ludzi mogłem podzielić się swymi wątpliwościami. Mary widziała jedynie katastrofalny w skutkach zbieg okoliczności, Romero natomiast utrzymywał, że ocenę winy za to, co się stało, należy pozostawić historykom, a moim obowiązkiem jest trzeźwa analiza sytuacji. Dyskusje z nimi nie przyniosły mi żadnej ulgi, data mi ją dopiero rozmowa z malutkim kosmonautą i Astrem. Kamagin zatrzymał mnie kiedyś u drzwi do sali obserwacyjnej.

— Admirale — powiedział ze wzruszeniem w głosie — ma pan wszelkie powody być niezadowolonym ze mnie...

— Pan ma ich znacznie więcej, aby być niezadowolonym ze mnie! — zaoponowałem.

— Nie i jeszcze raz nie! — wykrzyknął. — Nawet MUK nie przewidział tego, co się stało, a człowiek jest tylko człowiekiem.

Odszedłem usiłując ukryć wzruszenie.

Tego samego dnia Aster powiedział do mnie: — Bardzo mi cię żal, ojcze!

Synek siedział w moim pokoju i oglądał stereofilm z widokami Ziemi, zachwycając się Himalajami, Saharą, Oceanem Spokojnym i stupiętrowymi gmachami Stolicy.

— Dlaczego? — zapytałem nieuważnie, bo wydawało mi się, iż jego słowa odnoszą się do filmu.

— Wyobraziłem sobie, że to ja jestem admirałem, że spaliłem dwa swoje statki, a trzeci poddałem wrogom... I odechciało mi się żyć. A tobie jest przecież znacznie gorzej, bo ty nie bawisz się w admirała...

— Baw się w gry na poziomie nie wyższym od żołnierza lub inżyniera — poradziłem mu i wyszedłem z pokoju. Długo potem nie mogłem się opanować.

Na ekranach sali obserwacyjnej widzieliśmy co dnia to samo: jaskrawe gwiazdy i płynące między nimi zielone punkciki eskadry Niszczycieli.

Trudno powiedzieć, czy przeciwnik nie chce, abyśmy zorientowali się, w jakim kierunku lecimy, czy też urządzenia gwiazdolotu były niesprawne, w każdym razie trudno było dociec, jakim kursem i z jaką prędkością porusza się eskadra. Jasne było jedynie to, że nasz statek znajduje się w centrum szyku, gdyż na wszystkich ekranach lśniły krążowniki Niszczycieli.

Osima przypuszczał, że wzięli nas w szyk kulisty po prostu dlatego, że ich statkom łatwiej było w ten sposób holować „Cielca” swoimi polami, bo nasz statek pozbawi0ny napędu nie mógł przecież uciec i nie trzeba go było pilnować tak pieczołowicie.

Pomarańczowa z wolna odchylała się od osi lotu. W zenicie pojawiła się inna gwiazda, niemal błękitna, ale niezbyt jasna. Po jakimś czasie i ona pozostała z boku, a przyrządy wykazały, iż eskadra wyhamowuje się w przestrzeń einsteinowską.

I znów ujrzeliśmy, tym razem w lornetkach mnożników optycznych, niepozorną błękitną gwiazdkę i ciemną kulkę jej planety.

— Dobrze ukryli swą bazę — zauważył z uznaniem Kamagin. — Błękitnego karła trudno znaleźć w tym rojowisku olbrzymów i superolbrzymów, a zagubiony w ciemności satelita jest po prostu niewidoczny.

4

Krążowniki wrogów jeden za drugim znikały w ciemności, a ich przenikliwe światła stopniowo bladły. Kiedy „Cielec” zaczął podchodzić do lądowania, towarzyszyło mu zaledwie około dziesięciu statków.

Ten dzień na zawsze utrwalił się w mojej pamięci. Nasze statki galaktyczne nie potrafią lądować na planetach, a gigantyczne krążowniki Niszczycieli opadły na powierzchnię globu z lekkością awionetek. Na płaskiej równinie w ciągu niewielu godzin wyrosły ogromne „wzgórza”, a w jednej z dolinek pomiędzy nimi miękko przycumował „Cielec”.

— Wychodzić! — rozkazał Orlan pojawiając się nieoczekiwanie w sali obserwacyjnej, skąd przyglądaliśmy się lądowaniu.

Poleciłem założyć skafandry. Orlan odwołał mój rozkaz:

— To zbyteczne, admirale Eli. W bazie stworzyliśmy warunki, jakich potrzebujecie: atmosfera z azotem i tlenem, woda, odpowiednie ciążenie i temperatura, a nawet wasz ulubiony zielony kolor. Co zaś do promieniowania — wskazał ręką na niebieskawe słońce — to nie jest ono groźne.

Z luku ładunkowego „Cielca” wysunęła się platforma cumownicza. Wyszliśmy na zewnątrz. Aster powiedział radośnie:

— Ojcze, prawda, że ta planeta jest podobna do Ziemi? Mama mówi, że nie, ale moim zdaniem jest podobna!

Planeta istotnie przypominała Ziemię, ale w ten sposób, w jaki Niszczyciele kopiowali ludzi. Było to podobieństwo karykaturalne i widmowe. Nie potrafiłem wytłumaczyć tego Astrowi, który widział Ziemię jedynie na stereoekranie.

Malutkie błękitnawe słońce dawało wystarczającą ilość światła, ale zupełnie nie grzało. Tutejsze południe bardziej przypominało ziemskie księżycowe noce niż najpochmurniejsze dni. Na szarym niebie planety mętnie połyskiwały gwiazdy. Planeta była zielona, jak to obiecywał Orlam lecz była to zieleń martwa, z metalicznym połyskiem. W górze, zasłaniając gwiazdy, kłębiły się chmurki, również jadowicie zielone.

— Metalowa! — powiedział ze smutkiem Lusin. Nieznany metal, Eli.

— Doskonale znany metal: nikiel — poprawił go Kamagin. — Za moich czasów nikiel był drugim co do ważności po stali materiałem konstrukcyjnym. Zaręczam, że te wszystkie zieloności to sole i tlenki niklu.

Jedynie nasz absolutnie czarny statek naruszał monotonny koloryt planety. Na jej zielonej powierzchni toczyły się zielone rzeki, wpadające do zielonych jezior otoczonych zielonymi wzgórzami. Dotknąłem ręką jednej z zielonych roślin i przekonałem się, że to po prostu druzy mętnych. śliskich w dotyku kryształów. Zaczerpnąłem dłońmi ptynu ze strumyka: to również były roztwory soli niklowych o nieprzyjemnym ostrym zapachu. Ciecz zabarwiła mi ręce tak silnie i równomiernie, jakbym założył zielone rękawiczki.

Później szliśmy aleją metalowych drzew z błękitnawobiałymi pniami i koronami pokrytymi zielonym nalotem. Metalowe gałęzie kołysały się w podmuchach wiatru i strącały na ziemię wielkie grona dojrzałych kryształów. Nieprzyjemny zapach związków niklu, wypełniający ten metalowy las, stawał się nie do zniesienia.

Po wyjściu z gwiazdolotu znów ujrzeliśmy swoich strażników — głowooki. Na statku Zływrogi pilnowały urządzeń i starały się nie wchodzić nam w drogę. Tutaj były wszędzie: na platformie cumowniczej, przy grawitacyjnym eskalatorze, wokół statku. Zanim trafiliśmy do metalowego lasu, nad brzegi rzeczek wypełnionych roztworami soli niklu, musieliśmy przedefilować między szpalerami strażników, pilnujących czujnie, abyśmy nie zbliżali się do ich statków. Jeżeli jeniec zbytnio zbaczał z wyznaczonej drogi, zawracano go na trasę solidnymi pchnięciami pól grawitacyjnych. Mnie pierwszego dosięgnął taki bicz. Później nie próbowałem się już opierać. Pozostali ludzie zachowywali się podobnie, ale z Aniołami głowooki miały wiele kłopotu.

Truba i jego współplemieńców wyssał ten sam transporter siłowy, z którego i my skorzystaliśmy. Trub wzleciał, a za nim z hałasem poderwały się do lotu pozostałe Anioły. Głowooki wpadły w popłoch, ich peryskopy straszliwie się rozjarzyły, ale siła ciosów grawitacyjnych malała proporcjonalnie do odległości i Anioły szybko pojęły ten prosty fakt. Wzlatywały więc wysoko i tam, nieosiągalne dla ciosów, szalały w powietrzu.

Wkrótce w ich pstry tłum hałaśliwie wtargnęły pegazy, a za nimi uniósł się ogromny i majestatyczny Gromowładny z Lusinem na grzbiecie. Drobniejsze smoki popędziły za swym wodzem. Wkrótce w powietrzu utworzyła się trójwarstwowa piramida. Najwyżej, całkowicie nieosiągalne dla głowooków, szybowały skrzydlate smoki, pośrodku miotały się Anioły, a na samym dole pod nimi szalały latające konie, które zupełnie potraciły głowy na widok wolnej przestrzeni. Trudno się im dziwić: tyle czasu w ciasnych stajniach gwiazdolotu... Zływrogom udało się strącić kilka pegazów, ale i te pobiegawszy chwilę po gruncie z radosnym rżeniem podrywały się do góry.

Stojący w pobliżu mnie Kamagin i Osima wymienili spojrzenia.

— Tylko bez słów! — ostrzegłem ich w myśli. Również bez milczących rozważań. Nie wiemy, jaką techniką podsłuchu dysponują Niszczyciele w swej bazie. Spróbujcie też z łaski swojej nie gestykulować...

Koniec pierwszego zamieszania był szybki i nieoczekiwany. Na pancerzu jednego ze statków rozjarzył się żółty krąg i konie, Anioły, wreszcie Lusin wierzchem na Gromowładnym runęli w dół. Gdybym mógł na to patrzeć okiem postronnego obserwatora, widowisko pewnie wydałoby mi się zabawne. Powietrzni akrobaci nadal energicznie wymachiwali skrzydłami, ale pędzili w dół niczym lądujące samoloty.

— No cóż, krążowniki! — mruknął w myśli Kamagin. — Ale te diabelskie maszyny bywają przecież nie wszędzie!...

Pierwsze szeregi ludzkiej procesji zagłębiły się w las. Po chwili dotarli do nas Trub i Lusin. Anioł był zawstydzony niefortunnym wybrykiem, a Lusin promieniał. Gromowładny pokazał, że potrafi wspaniale latać, a to było dla niego ważniejsze niż niewola.

— Świetny, co? — pochwalił się na głos.

Nie odezwałem się, a Kamagin powiedział przez deszyfrator:

— Doskonale. Twoi skrzydlaci przyjaciele pomogą nam przeżyć niewolę.

Zwróciłem się do Truba, który wlókł się ze smętnie opuszczonymi skrzydłami.

— Jak się lata w górze? Odpowiedz przez aparat. W przeciwieństwie do Lusina Trub zupełnie gubił się przy bezpośrednim przekazie myśli i nie potrafił sklecić zdania.

— Latało się... — jąkał Trub — jak na Ziemi! Lepiej od Ory... Wyżej było trudniej... Szybkie rozrzedzenie w górę...

Z tych mętnych wyjaśnień trudno było cokolwiek zrozumieć, w każdym razie nie więcej niż to, że pole ciążenia planety miało strukturę nienewtonowską.

Za zakrętem metalowej alei ukazała się metalowa budowla pokryta zieloną łuską tlenków i narostami kryształów. Do wnętrza budynku prowadził tunel. Zatrzymałem się i obróciłem do tyłu.

Za mną szły załogi wszystkich trzech statków, dalej polatywały Anioły, a na samym końcu dreptały pegazy i smoki. Trudno było nawet pomyśleć, że taki tłum jeńców można wcisnąć do niziutkiego budynku.

— Zapraszają nas i to na razie dosyć uprzejmie — Romero wskazał strażników usilnie wymachujących połyskującymi peryskopami w kierunku wejścia do tunelu.

— Poczekajmy na Orlana — zdecydowałem. Tymczasem zielona chmurka pełznąca w zenicie zaczęła kropić zielonym roztworem soli niklu. Pojedyncze krople złączyły się wkrótce w ulewę, podobną do tych, jakie urządza się na Ziemi w dniach letnich burz. Pociemniałe niebo rozbłysło ciemnoczerwonymi, mętnymi błyskawicami.

Odszukałem żonę i syna i okryłem ich swoim płaszczem. Mary drżała, a syn z oburzeniem przekonywał mnie, że potrafi znieść wszystko to, co inni mężczyźni.

— Niewątpliwie — zgodziłem się z nim. — I gdyby ta ulewa zmuszała do wysiłków duchowych lub fizycznych, sam bym cię do tych wysiłków namawiał! Ale ona tylko brudzi, a brud nie jest dowodem męskości...

Ulewa ustała równie nagle, jak się rozpoczęła i na niebie znów pojawiło się mętne słońce zbliżające się już ku horyzontowi. Byliśmy mokrzy i brudni. Ludzie zamienili się w zielone posągi, Anioły stroszyły namokłe zielone skrzydła, a Trub otrząsał się jak pies po przymusowej kąpieli.

— Pojawił się Orlan.

— Nie mogliście wybrać dla nas mniej brudnej planety? — zapytałem ze złością.

— Na innych panują ciężkie warunki, a Wielki chce zachować was przy życiu.

— Skoro tak się o nas troszczycie, to czemu wpędzacie nas do tej ciasnej nory?

— Miejsca starczy dla wszystkich.

Tunel prowadził do obszernego hallu, z którego rozbiegały się szerokie korytarze ze świecącymi ścianami. Pod niepozornym domkiem krył się wielki zespół pomieszczeń. Nikiel utracił w tych podziemiach monotonną zieleń i występując w swej czystej metalicznej postaci pobłyskiwał srebrzyście i niebieskawo.

— Na prawo ludzie, prosto i na lewo wasi sprzymierzeńcy — zarządził Orlan.

Zapytałem, czy będziemy mogli komunikować się ze swymi przyjaciółmi. Uzyskałem odpowiedź twierdzącą. Anioły ruszyły prosto przed siebie, pegazy i smoki popędziły w lewo, a my, poprzedzani przez Orlana, skręciliśmy w prawo.

Świecący korytarz doprowadził nas do ogromnej, czworokątnej sali. Wzdłuż ścian ciągnęły się szeregi dziwnych, podobnych do żłobów konstrukcji. W takim więzieniu można było więzić załogi całej floty galaktycznej...

— Prycze — powiedział Romero wskazując na żłoby.

— Urządzajcie się! — rzucił Orlan i obrócił się do mnie. — Pan pójdzie ze mną, admirale.

W jednej chwili podbiegli do mnie Osima, Kamagin i Romero.

— Nie puścimy admirała samego! — powiedział Osima.

— Admirał pójdzie sam. Wy nie jesteście potrzebni — odparł sucho Orlan.

— Pozwoli pan zwrócić sobie uwagę na fakt, że panu towarzyszą adiutanci — wtrącił Paweł wskazując na „opiekunów” Orlam. — Admirałowi ze względu na stanowisko również należy się asysta!

— Admirał pójdzie sam! — powtórzył z naciskiem Orlan.

— Nie denerwujcie się — uspokoiłem przyjaciół. — To nie ma żadnego znaczenia, gdyż i tak znajdujemy się całkowicie w ich władzy.

5

Ledwie nadążałem za swymi przewodnikami: ich płynne skoki przypominające raczej taniec były szybsze nawet od mojego biegu. Czasami zatrzymywali się i czekali na mnie. Nie obracali się przy tym do tyłu, jakby widzieli plecami równie dobrze jak oczami. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że dokoła pełno jest niewidzialnych. Korytarzem mogło swobodnie iść dziesięć osób obok siebie, a mnie brakowało przestrzeni. Udając, że tracę równowagę, ze trzy razy zataczałem się na boki, ale wszędzie było pusto. Nie udało mi się zderzyć z niewidzialnymi.

W pomieszczeniu, do którego weszliśmy, małym i skąpo oświetlonym, Orlan kazał mi się zatrzymać. Stanąłem pośrodku, Orlan z asystą podszedł do znajdujących się w głębi drzwi, które otwarły się przed nim.

Do środka wbiegł w podskokach człowiek, którego natychmiast poznałem.

To był Andre.

Poruszał się nie jak Andre, miał starczo przygarbioną sylwetkę, głowa mu się trzęsła, wymachiwał rękoma i coś mamrotał skrzekliwym głosem. W niczym nie przypominał przyjaciela, wszystko w nim było inne, obce, nieznane i przerażające...

Ale to mógł być tylko Andre.

— Andre! — krzyknąłem i rzuciłem się ku niemu. Uniósł głowę. Zobaczyłem jego twarz, postarzałą, wynędzniałą i tak okropnie zmienioną, że radość ze spotkania momentalnie zmieniła się w strach. Chwyciłem przyjaciela, objąłem go, ale już w owej pierwszej chwili zrozumiałem, że powrót Andre z niebytu przyniesie nie tylko radość, a może właśnie najmniej radości.

Andre odepchnął mnie. Nie poznał.

— Andre — błagałem. — Spójrz, przecież to ja, Eli! Twój przyjaciel Eli! Andre, Andre, Andre!

Nadal z niechęcią się odwracał. Mój strach zamienił się w przerażenie. Szarpnąłem go ku sobie. Patrzył na mnie i nie widział. Takie oczy miewają ludzie pochłonięci jakimiś ciężkimi myślami. Odzyskałem przyjaciela, ale odzyskałem go jedynie fizycznie, bo nie opuścił dla mnie jakiegoś swojego dalekiego świata. Andre był już obecny, ale go nie było!

— Andre! — krzyczałem rozpaczliwie. — To przecież ja, Eli!...

Zdołał się wyrwać i zaczął uciekać. Dopędziłem go i potrząsnąłem jeszcze silniej. Andre bezsilnie przelewał mi się przez ręce. Nagle zamknął oczy, pobladł, a ogniste kędziory — jedyne, co przypominało dawnego Andre zakryły mu twarz.

Orlan i dwaj jego adiutanci w milczeniu obserwowali tę scenę. Zostawiłem Andre w spokoju i podskoczyłem do Orlam. Byłem gotów rzucić się na niego z pięściami. Nawet się nie poruszył.

— Wstrętne potwory! — krzyknąłem. — Coście z nim zrobili? Czemu pozbawiliście go rozumu?

Odpowiedź Orlana zabrzmiała tak uroczyście i poważnie, że chyba tylko to powstrzymało mnie od bójki:

— Wielki nie chciał pozbawić go rozumu.

Nagle dobiegł mnie cichy głos Andre, który monotonnie śpiewał kołysząc w takt całym ciałem:

Była babuleńka z rodu bogatego,

Miała babuleńka kozła rogatego...

Śpiewał głosem cieniutkim i żałosnym. Nigdy przedtem nie słyszałem u niego takiego głosu.

Obróciłem się ku Orlanowi.

— Czego więc ode mnie chcecie?

— Człowiek Andre jest do pańskiej dyspozycji, admirale Eli — odparł Orlan.

— Chodźmy, Andre — powiedziałem i pociągnąłem go za rękaw.

6

Do sali, w której rozkwaterowano mych przyjaciół, wszedłem już zewnętrznie spokojny. Rzucił się ku nam Kamagin i z przerażeniem odskoczył. Rzadko widywał Andre, ale poznał go od razu. Paweł śmiertelnie zbladł, a jego laseczka, z którą nawet w niewoli nie rozstawał się ani na chwilę, upadła z łoskotem na podłogę.

— Andre! — wyszeptał Paweł zduszonym głosem. — Eli!... Rozumie pan, co się stało?

— Tak — odparłem z goryczą. — Powłoka cielesna została, a duszy nie ma.

Romero wziął Andre za rękę i przemówił tak spokojnym głosem, jakby spotkał go po paru dniach niewidzenia i nic przez ten czas szczególnego nie zaszło:

— Witaj, Andre. Będzie ci u nas dobrze, jesteśmy twoimi starymi przyjaciółmi. Chodź!

Poprowadził Andre pod rękę ku posłaniom, a ten szedł, bezwolnie kołysząc głową, szedł obojętnie, niechętnie i bez oporu... Spazm ścisnął mi gardło. Chciałem westchnąć i nie mogłem. Krew uderzyła mi do głowy. Mary położyła mi rękę na ramieniu i dopiero wtedy zdołałem wciągnąć powietrze.

— Zabawne uczucie — powiedziałem uśmiechając się z wysiłkiem. — Coś w rodzaju chwilowego paraliżu. — Usiądź — powiedziała żona.

Siadłem na pryczy obok syna. Starałem się nie patrzeć w tę stronę, gdzie siedział Andre otoczony przez przyjaciół. Posłania przypominające żłoby nieoczekiwanie okazały się bardzo wygodne, można się było w nich kołysać jak w hamakach. Aster patrzył na mnie ze strachem. Opanowałem się wreszcie.

— Nasze legowiska spoczywają chyba na polach sitowych — powiedziałem, dopiero teraz spostrzegając, że prycze wiszą w powietrzu. — Czemu się nie bawisz, Astrze? Widziałem, że Anioły pomagały ci nieść zabawki, a jednego pegaza objuczyłeś jak wielbłąda.

— Nie w głowie mi zabawa, ojcze — odparł smutnym głosem.

Nie potrafiłem znaleźć na to odpowiedzi. Aster był jeszcze zbyt mały, aby znać smak prawdziwej ludzkiej wolności, ale niewolę poznał wcześnie.

— Baw się! — powiedziałem stanowczym tonem. — Baw się, wesel, psoć. Świeć im w oczy wesołością, rozgniewaj beztroską, gdyż nie ma rzeczy bardziej dla nich przyjemnej niż nasz smutek. Pozbaw ich tej ponurej satysfakcji!

— Będę się bawił, ojcze — obiecał Aster, któremu moje słowa przemówiły do przekonania. — Będziesz ze mnie zadowolony! — Poderwał się z posłania i odszedł.

Nie wiem, jak długo siedziałem w milczeniu obok milczącej Mary, póki znów nie poczułem tłoku, jakby wokół mnie zaczęła znikać przestrzeń. Uniosłem głowę i zderzyłem się z zimnym wzrokiem szeroko otwartych oczu Orlana.

— Wielki cię wzywa — oświadczył Orlan. Wokół mnie zaczęli gromadzić się jeńcy.

— Po cóż jestem potrzebny twojemu władcy?

— Sam ci to powie.

— A jednak? Może to nie taka znów wielka tajemnica, żeby nie mogli dowiedzieć się o niej moi przyjaciele?

— Nie ma tajemnicy. Wielki proponuje ludzkości zawarcie sojuszu.

Byłbym mniej zaskoczony, gdyby Orlan powiedział, iż Niszczyciele zamierzają nas uwolnić. Ochłonąwszy, zwróciłem się o Orlam:

— Wygląda na to, że u was decyzje podejmuje sam władca, u nas natomiast uprawniony jest do tego ogół. Odejdź, abyśmy mogli się naradzić. Nie jest wykluczone, że koledzy nie pozwolą mi pójść do twego władcy.

— Nie możesz nie pójść.

— Co innego iść z własnej woli, a co innego zmuszony do tego siłą. Ale przemoc nie jest najlepszą przesłanką dla projektowanego przez was paktu...

Niszczyciele odeszli. Poprosiłem kolegów o nastrojenie deszyfratorów na moje promieniowanie mózgowe, abyśmy mogli naradzać się bez słów.

Zacząłem od tego, że tytuł „Wielkiego Niszczyciela”, którym posługuje się władca Zływrogów, świadczy o jego ograniczeniu i zadufaniu w sobie. Władca przeciwników — mówiłem dalej — zaproponował sojusz nie Eliemu Gamazinowi, admirałowi Wielkiej Floty Galaktycznej szturmującej jego międzygwiezdne szańce, choć nic nie stało temu na przeszkodzie, lecz usiłuje nawiązać rokowania z jeńcem, którego życie ma w swoich rękach. Można więc wątpić w jego dobrą wolę. Na jakich zresztą zasadach oprzeć sojusz człowieka, twórcy i opiekuna potrzebujących, z niszczycielem i tyranem? Razem pognębiać wolne jeszcze narody? Wspólnie unicestwiać jeszcze nie unicestwione, niszczyć jeszcze nie zniszczone? Zrezygnować z sojuszu z nie znanymi nam jeszcze Galaktami, którzy tak bardzo są do nas podobni i z wyglądu, i ze swego stosunku do innych rozumnych istot?

Ledwie skończyłem, posypały się rozgorączkowane myśli uczestników narady. Pierwszy jak zwykle był Kamagin:

— Żadnych pertraktacji ze zbrodniarzami! Ze wszystkich sił, całą bronią, jaka nam jeszcze została!... — Jedyne, czym jeszcze dysponujemy, to nasze niezbyt ważne życie — wtrącił Romero.

— A więc oddać nasze nieważne życie! — poderwał się wzburzony Kamagin, który ledwie się opanował, aby nie wykrzyknąć tego na głos.

— Jestem za pertraktacjami! — oświadczył rozsądny Osima. — Umrzeć zawsze zdążymy. Ale skoro admirał będzie mówił w imieniu ludzkości, niechaj nie zapomina, że stoi za nim cała ludzka potęga. Jesteśmy w niewoli, ale ludzkość jest wolna!

— Zagrozić Wielkiemu krachem jego imperium! podtrzymał Osunę Petri. — Uderzyć pięścią w stół! Niechaj zdejmie zapory na gwiezdnych rogatkach i całkowicie zaprzestanie kosmicznych rozbojów. To niezbędny warunek porozumienia.

— Niech nas uwolni i zwróci gwiazdolot — dodała Mary.

— Krótko mówiąc, Niszczyciele powinni skapitulować — podsumował Romero. — Wprawdzie nie wierzę, aby admirał osiągnął perswazją to, czego nie potrafiliśmy zdobyć siłą, ale popieram cały plan.

Zawiadomiłem Orlana, że godzę się na spotkanie. Wychodząc, usłyszałem dźwięczny głosik Astra:

— Wracaj szybko, ojcze!

Uśmiechnąłem się do niego.

7

Wielki Niszczyciel był jeszcze bardziej podobny do człowieka niż Orlan i jednocześnie bardziej nieludzki.

Miał niemal cztery metry wzrostu i maleńką główkę wznoszącą się na nieproporcjonalnie długiej szyi. Beznosa twarz z wielkimi ustami i ogromnymi oczyma przypominała pysk żmii.

Władca spoczywał na pomoście podobnym do tronu. Dla mnie siedzenia nie przygotowano. Usiadłem więc na podłodze i skrzyżowałem nogi. Poza nami w ogromnej sali nikogo nie było.

— Wiesz, że chcę wam zaproponować sojusz? — powiedział Wielki Niszczyciel na poły pytająco znośną ziemszczyzną.

— Wiem, ale zanim będziemy mówić o sojuszu, muszę zadać kilka pytań.

— Pytaj — tak samo jak Orlan nie uznawał grzecznościowych zwrotów.

— Podobny jest pan do człowieka i mówi ziemskim językiem. Ale nie ma między nami nawet odległego pokrewieństwa.

— Przybieram wedle woli dowolną postać, byle była biologicznie możliwa. Upodobniłem się do człowieka, aby ci było łatwiej ze mną rozmawiać.

— Wolałbym pański rzeczywisty wygląd. Byłoby mi przyjemniej, gdyby pan nie był do mnie podobny. Odparł na to, że zmiana postaci jest sprawą dosyć trudną i czasochłonną i że nie nadużywa bez potrzeby swoich zdolności transformacyjnych. Bardzo mnie to uradowało: skoro zmiana wyglądu nawet dla władcy nie jest rzeczą prostą, to pojawienie się wśród nas pseudoludzi w najbliższym czasie nam nie grozi. Było kilka drobiazgów, które mnie niepokoiły, i zanim przeszedłem do spraw podstawowych, zapytałem o nie:

— Nasz gwiazdolot był szczelnie zamknięty, a jednak Orlan przedostał się do wnętrza. Jak to zrobił?

— Przedostał się nie on, lecz jego projekcja zogniskowana w statku. Czyżbyście nie przekazywali obrazów na odległość?

— Oczywiście, że przekazujemy, ale tylko obrazy zewnętrzne... A Osima pokaleczył sobie palce o wizerunek Orlana.

— Najwidoczniej przekazujecie jedynie charakterystykę optyczną obiektu, my zaś przesyłamy także inne jego właściwości — masę, ciepłotę, a nawet potencjał elektryczny. To bardzo proste.

Musiałem się z nim zgodzić.

— Są jeszcze pytania?

— Tak. Pytania i wyjaśnienia.

Zawiadomiłem naczelnego Zływroga, że posiadam pełnomocnictwa do prowadzenia wojny, niewładny jestem natomiast zawierać sojusze. Jeśli więc zamierza poruszać problemy interesujące całą ludzkość, to przynajmniej ta część ludzkości, która znajduje się w pobliżu, a więc moi towarzysze, winna uczestniczyć w pertraktacjach. Odparł na to, że jeżeli będziemy transmitować naszą rozmowę, to usłyszą ją także jego poddani. Mnie to nie przeszkadzało. Wielki Niszczyciel zauważył, iż rozmawiam tonem zwycięzcy, a nie pokonanego. Zwróciłem wobec tego uwagę, że należy odróżnić rozmowę od pertraktacji: rozmawia ze swoim jeńcem, ale pertraktuje z przedstawicielem całej ludzkości, musi więc przywyknąć do tonu, jaki wolna ludzkość do tych pertraktacji wybierze. Oświadczył na to, że na początek zadowoli się porozumieniem ze mną. Zapytałem więc, czy ma na myśli również moich towarzyszy. Potwierdził. W takim razie upierałem się, aby informacje zostały przekazane wszystkim.

Niszczyciel milczał przez dłuższy czas. Wreszcie powiedział niechętnie:

— Zgoda. Nasza rozmowa będzie transmitowana. Ale jeśli się z wami nie dogadam, będę musiał później pokazać swoim poddanym, jak rozprawiam się z niepokornymi.

— Doskonale zdaję sobie z tego sprawę — odparłem spokojnym głosem, choć bardzo się denerwowałem.

W tej samej chwili mój deszyfrator odezwał się podnieconymi głosami przyjaciół. Ludzie zapominając 0 ostrożności na głos omawiali moją sytuację. Przerwałem ich wielogłosowy chór i zaproponowałem, aby wysłuchali mojej rozmowy z Wielkim Niszczycielem. Nastąpiła pełna zaskoczenia cisza, w której rozległ się gromki głos Wielkiego Niszczyciela:

— Zaczynamy!

Zływróg przybrał postać człowieka, ale nie przyswoił sobie ludzkiego sposobu bycia i ryknął te swoje zaproszenie do „przyjacielskiej rozmowy” niczym właściciel karcący niewolnika.

8

Wielki nie negował naszych osiągnięć. Przypominamy wyglądem starych jego przeciwników, Galaktów — mówił. Niszczyciele, którzy zetknęli się z nami w Plejadach, zameldowali: „Widzimy Galaktów, weźmiemy ich do niewoli”. Wojna z Galaktami trwająca od niepamiętnych czasów zbliża się ku końcowi. Galaktowie zostali zablokowani na ich ostatnich planetach. Mogą liczyć jedynie na to, że zostawi się ich w spokoju, ale jest to płonna nadzieja powiedział twardo.

Ludzie jednak nieoczekiwanie okazali się zupełnie inni. Zdołali rozproszyć w Plejadach flotyllę Niszczycieli, a w Perseuszu zniszczyli jedną z potężnie uzbrojonych planet. On, Wielki Niszczyciel, musiał zakazać swoim okrętom pojawiania się na trasach galaktycznych opanowanych przez ludzi. Tym trwałej okopał się w swoim skupisku gwiezdnym. Tutaj jego potęga bazuje na sześciu warownych planetach wyposażonych w urządzenia o wielkiej mocy do zakrzywiania wewnętrznej przestrzeni międzygwiezdnej. Nie ma na świecie siły zdolnej przebić wzniesione przez niego zapory.

— Myśmy je przebili — zaoponowałem. — Mówię o rajdzie trzech naszych okrętów.

— Udało się wam: w momencie wtargnięcia niespodziewanie osłabły mechanizmy obronne Trzeciej Planety. Więcej się to nie powtórzy.

— Jeżeli nie chcieliście naszej obecności, to czemu nie wypuściliście nas z powrotem? — zapytałem natychmiast.

— Ta sprawa nie dotyczy naszych pertraktacji ryknął. — Ważne, że zostaliście pojmani, a nie zwyciężyliście.

Wielki Niszczyciel powiedział dalej, że pod pewnymi względami przewyższyliśmy ich, natomiast wiele rzeczy mamy tak niedoskonałych, jakbyśmy znajdowali się u zarania cywilizacji. Jeżeli obie nasze cywilizacje się zjednoczą, to nikt nie potrafi się im oprzeć.

Byłem zaskoczony jego prymitywizmem.

— Doprawdy? Zływrogi... Przepraszam, Niszczyciele władają zaledwie niewielkim wycinkiem Galaktyki, a posiadłości gwiezdne Ziemian są jeszcze mniejsze. Czy można więc mówić o powszechnym panowaniu?

Odpowiedź Wielkiego Niszczyciela była jednak nieoczekiwana, od razu oceniłem jej wagę.

— Rozumiem twoje aluzje. Potęga Ramirów jest oczywiście nieporównywalna z naszą i waszą. Ale Ramirowie dawno opuścili skupisko Perseusza i zajęli się przebudową jądra Galaktyki. Nie będą więc sobie zawracać głowy Niszczycielami lub Ziemianami, a tym bardziej tchórzliwymi Galaktami.

Wysłuchałem władcy tak, jakbym wiedział o Ramirach znacznie więcej od niego. Przyjaciele natomiast nie potrafili się opanować i deszyfrator przekazał ich pełne podniecenia szepty, wywołane nowiną o nie znanej nam cywilizacji gwiezdnej.

— Zostawmy Ramirów w spokoju, mają dość własnych kłopotów — powiedziałem. — Pomówmy lepiej o zasadach proponowanego przez was sojuszu ludzi i Niszczycieli.

— Zasada jest prosta: zewrzeć w jedną pięść nasze podzielone obecnie potęgi.

— To nie jest cel, ale środek do jego osiągnięcia. — Mogę przedstawić również i cel.

— Bardzo proszę!

Mówił chętnie i głośno, zbyt głośno. Nie było w tej mowie niczego nowego — te same podłe zasady wyzysku słabszego przez silnego, kosmiczne barbarzyństwo i rozbój. Proponował nam „współwrogość”, nienawiść do wszystkiego, co nie będzie „nami”. Trzeba było być bardzo zaślepionym i zadufanym w sobie, aby zwrócić się do ludzi z takim projektem.

W odpowiedzi wygłosiłem z pamięci deklarację uchwaloną na Orze i przyjętą przez konstytucję Sojuszu Międzygwiezdnego.

Usłyszałem okrzyki kolegów i tym razem nie rozgniewałem się, że tak burzliwie wyrażają mi swoje poparcie.

Mój program rozwścieczył naczelnego Zływroga. — Zapominasz, gdzie jesteś! — ryknął.

— Doskonale pamiętam! — odparłem ze spokojem, który bardzo wiele mnie kosztował. Ale to ja jego, nie on mnie powinien przywoływać do porządku. — Znajduję się we władzy okrutnych wrogów, panów mojego życia i śmierci.

— I ty masz czelność proponować mi wyzwolenie ujarzmionych narodów i wprowadzić obrzydliwą pomoc wzajemną?!

— Bez tego nie do pomyślenia jest twórcze istnienie. Chcecie tego lub nie, z wami lub bez was, ale ta zasada zwycięży we wzajemnych stosunkach rozumnych Niebian.

Wydało mu się, że wykrył moją słabą stronę i łatwo weźmie nade mną górę w dyskusji.

— Powiedziałeś „twórcze istnienie”? Bzdura! Na świecie istnieje jeden tylko realny proces — niszczenie, zgładzanie. I my, Niszczyciele, swoją rozumną działalnością przyspieszamy ten samoistny proces.

— Działalność ludzi jest inna.

— A więc jest nierozumna. Wszechświat dąży do chaosu. Rozumne i majestatyczne jest tylko sprzyjanie rozpowszechnieniu tego chaosu. Jedynie w chaosie można znaleźć pełne wyzwolenie od nierówności i niewoli.

— Istoty żywe starają się zastąpić chaos organizacją.

— Dążenie do likwidacji chaosu to błąd początkowych stadiów rozwoju, kiedy nierówności i komplikacje są jeszcze powszechne. Ale najwyższym wykwitem rozwoju jest upajająca monotonność wszystkiego, zachwycająca niwelacja różnic!

— Pańskim zdaniem dążenie do pokonania żywiołu samo jest żywiołem? Wy, Niszczyciele, stworzyliście najpotężniejszą organizację, jaką zna świat...

— Zapomniałeś o Ramirach, człowieku.

— Ramirowie są daleko, nie mówmy więc o nich. Wasza organizacja, wasz surowy porządek, wasz potworny brak wolności dla wszystkich...

— Organizacja została stworzona dla zwiększenia dezorganizacji, porządek służy rozpowszechnianiu nieporządku, a powszechny brak wolności jest tylko niezbędnym pośrednim etapem na drodze absolutnego wyzwolenia wszystkich ze wszystkiego... Sprzyjamy, a nie przeciwdziałamy najgłębszym tendencjom natury.

Dyskutował z zadufaniem półgłówka, przekonanego, że świat jest skończony i ogranicza się do jego najbliższego sąsiedztwa, z pewnością siebie nieuka, który podniósł swoją niewiedzę do godności filozofii. Mogłem pokonać go bez trudu, ale nie wiedziałem, czy zdoła pojąć, że został pokonany.

— Milczysz, a więc uznajesz się za zwyciężonego! — ryknął triumfalnie.

— Przeczy pan sam sobie — odparłem.

— Tego trzeba dowieść.

— Naturalnie. Proszę uzasadnić swój światopogląd, a ja dowiodę, że z każdej pańskiej tezy wynika wniosek odwrotny do tego, jaki pan sam z niej wyciąga.

— Można i tak — zgodził się. — Będzie z pożytkiem dla moich poddanych, jeżeli raz jeszcze utwierdzą się w zasadach naszej filozofii, chociaż i tak nie budzi ona w nich nawet cienia wątpliwości.

— Ludzie i nasi gwiezdni przyjaciele także odniosą korzyść z wykładu waszej filozofii — odparłem, ale nie zrozumiał groźby kryjącej się w moich słowach.

Zaczął oryginalnie, trzeba mu to przyznać. Wszechświat narodził się kiedyś — mówił — jako otchłań wszelakich różnic i gniazdo niepodobnych do siebie nawzajem najróżnorodniejszych form. Pusta przestrzeń i gwiezdne olbrzymy, skomplikowane życie biologiczne i bezpostaciowa plazma; na jednym biegunie zawsze zindywidualizowany myślący rozum, na drugim ubóstwo rozproszonych atomów. Nierównomierność i niejednakowość, wstrętna swoistość wszystkiego i we wszystkim, barbarzyństwo zorganizowanych wspólnot, tyrania porządku, niewola wszelkich struktur hierarchicznych — oto jaki był początek świata i jak, mimo wielkiego postępu, świat w znacznym stopniu wygląda do dzisiaj.

— Ale wszystko tylko zaczyna się od komplikacji — grzmiał Niszczyciel — a idzie ku prostocie. Czyż rozwiązując zadanie nie posuwamy się od złożoności do składających się nań elementów? Czyż wykrywanie prostoty wewnętrznej nie jest najwyższym celem poznania? O ile więc szlachetniejsze jest nie wykrycie, lecz tworzenie prostoty, wzbogacanie świata w prostotę! A jaka prostota jest najdoskonalsza? Oczywiście prymityw. Trzeba więc rozpowszechniać prymityw w jego najwyższej postaci, w postaci chaosu!...

W przestrzeni, kontynuował; istnieje sześć kierunków, w czasie natomiast tylko jeden: do przodu, wyłącznie do przodu! Naprzód ku najwyższej formie istnienia monotonii. Taki jest kierunek rozwoju natury i takiż cel postawili przed sobą Niszczyciele! Wypowiedziawszy śmiertelną walkę wszelkiej odrębności, a w pierwszym rzędzie oczywiście każdej formie życia biologicznego, jako najbardziej swoistej.

— Teraz rozumiem, dlaczego nazywacie siebie Niszczycielami — powiedziałem.

— Właśnie dlatego — wykrzyknął z dumą — że niczego nie stworzyliśmy, lecz potrafimy wszystko zniszczyć! Mam nadzieję, że przekonałem cię człowieku, o historycznej wadze naszej misji?

Wtedy zacząłem mówić ja:

— Władca Niszczycieli twierdzi, że niczego nie stworzył, ale może wszystko unicestwić. Gdyby to było prawdą, to w oczach ludzi wywołałoby jedynie odrazę. Na szczęście nie jest to zgodne z rzeczywistością. Wiele jest rzeczy, których zniszczyć nie potrafi, a sama jego niszczycielska działalność niesie w sobie elementy tworzenia, że wspomnę tylko o budowanych przez niego miastach, fabrykach, warowniach gwiezdnych...

Wydaje się mu, że niweluje odrębności, a w gruncie rzeczy powołuje do życia nowe. Swoistość obiektów naturalnych stanowi o harmonii Wszechświata, a proporcji różniących się od siebie struktur nie da się zmienić według czyjegoś widzimisię. Wielki Niszczyciel utrzymuje, że Wszechświat idzie od złożoności ku prostocie. Ja twierdzę natomiast, że równolegle zachodzi w nim proces odwrotny i co za tym idzie, starania Niszczycieli skazane są na niepowodzenie. Już chociażby z tego powodu ludzie, jako istoty rozumne, nie będą brać udziału w bezsensownych działaniach. Ale to tylko margines: ludzie nie mogą zgodzić się na sojusz, którego celem jest niszczenie wszystkiego, co żywe! Wobec tego w imieniu wszystkich narodów gwiezdnych wypowiadam wam wojnę! Niszczyciele zostaną zniszczeni!

Władca długo milczał, a kiedy wreszcie się odezwał, w jego głosie brzmiała groźba:

— Ludzie i ich przyjaciele są istotami żywymi, prawda?

— Tak samo jak Niszczyciele.

— Instynkt samozachowawczy jest najważniejszą chyba cechą wszystkich żywych. Strach przed śmiercią jednoczy żyjących. Zgadzasz się ze mną, człowieku?

Zrozumiałem, że skazuje nas na śmierć. To zadufane w sobie bydlę oczekiwało naszej rozpaczy. Wiedziałem, że nikt z nas nie sprawi mu tej przyjemności.

— Strach przed śmiercią istotnie jednoczy żyjących. Ale ludzi bardziej jednoczy honor i duma, przekos panie o własnej prawdzie. To jest dla nas ważniejsze od fizycznego istnienia.

— Ale śmierć nie jest waszym pragnieniem, celem, do którego dążycie?

— Oczywiście, że nikomu ona nie sprawia radości...

— Będziesz więc czekał śmierci jak wybawienia, jak najwyższej rozkoszy. A śmierć nie nadejdzie... — powiedział władca głosem maszyny i zniknął.

Zostałem sam w ogromnej sali.

9

Niezmiennie obojętny Orlan odprowadził mnie z powrotem do naszych „koszar”. Petri uścisnął mi rękę, Kamagin rzucił się na szyję. Wszyscy byli pod wrażeniem mojego przemówienia i serdecznie mi gratulowali.

— Trzeba przygotować się na represje! — powiedział rzeczowo Osima i zaczął się energicznie krzątać między legowiskami, jakby natychmiast zamierzał odeprzeć przewidziany atak.

Romero natomiast odezwał się ze smutkiem w głosie:

— Niewątpliwie zachował się pan jak należy. Co innego jednak deklaracje, a co innego ich realizacja. Ponieważ obiecano zachować nas przy życiu...

— ...to zostaniemy poddani torturom. Pokażemy więc, że torturami nie można człowieka złamać!

Spojrzał na mnie z pełną współczucia czułością.

— Wydaje mi się, admirale, że oczekuje pan tortur z równą niecierpliwością jak niedawnej bitwy. Jest pan zadziwiającym człowiekiem, przyjacielu. Zresztą, gdyby pan był inny, nie wybrano by pana na dowódcę naszej armii...

— Nie mówmy o tym. Jak pan przyjął wiadomość o Ramirach, Pawle?

Romero zgodził się, że największą korzyścią z mojej dyskusji z Wielkim Niszczycielem jest nowina o istnieniu jeszcze jednej wysoko rozwiniętej cywilizacji galaktycznej. Niestety, Ramirowie są zbyt daleko, aby ich można było poprosić o pomoc.

— Niech pan odpocznie, Eli — poradził Paweł. Nie wiadomo, co czeka nas za chwilę.

Położyłem się przy Mary, obok przysiadł Lusin, którym miotały sprzeczne uczucia: jednocześnie zachwycał się moją odwagą i bał się, że zostanę okrutnie za nią ukarany. Aster stał w pobliżu i patrzył na mnie oczami tak pełnymi przestrachu, że poprosiłem Mary, aby go czymś zajęła. Żona odesłała syna do Aniołów, a potem rzekła do mnie z wyrzutem:

— Przeceniasz rozum i wiedzę malca, ale nie doceniasz jego uczuciowości. Kiedy dyskutowałeś ze Zływrogami, nie miałeś lepszego słuchacza niż Aster.

— Andre, Eli. Deszyfrator też — powiedział Lusin z westchnieniem.

— Mów samymi myślami — poprosiłem. — Łatwiej mi rozumieć twoje myśli niż słowa.

Posłuchał mnie i wyjaśnił, że założył na rękę Andre deszyfrator, ale myśli tego biedaka też są zupełnie poplątane. Nastroiłem deszyfrator na promieniowanie mózgowe Andre, który siedział opodal kołysząc nieustannie głową. Dobiegało mnie jedno tylko nieustannie powtarzane zdanie: „Miała babuleńka kozła rogatego, kozła rogatego...”

— Jak bardzo musieli go torturować, aby świat zawęził się mu do jakiegoś nędznego kozła! — powiedziałem.

— Tortury były, Eli — odparł Lusin myślami. A ile ich jeszcze będzie!

Lusin odszedł i pozostałem we dwójkę z Mary. Żona milczała, jej myśli do mnie nie dochodziły, ale i bez tego wiedziałem, co ją dręczy. Powiedziałem więc:

— Nie trzeba, Mary. Będzie, co ma być. Nieco pierwotnego fatalizmu teraz nam nie zaszkodzi.

— Nie o to chodzi, Eli — odparła. — Liczyliśmy się przecież z możliwością tragicznych niepowodzeń, klęsk. Słuchałam cię dziś i myślałam, że byłam egoistką. Chciałam dzielić twój los, ale okazało się, że nań oddziałuję i pogarszam. Wiem, że czułbyś się pewniej, gdyby mnie i Astra tu nie było. Muszę naprawić swój błąd. Póki jesteśmy w niewoli, nie traktuj mnie jak żony i Astra jak syna. Będziemy takimi samymi członkami załogi, takimi samymi więźniami jak pozostali... Nie, nie oponuj!... Nic nie mów. Pocałuj mnie. To będzie nasz ostatni pocałunek. Uwalniam cię od nas!

Pocałowałem ją i objąłem, ale natychmiast mnie odepchnęła. Zdenerwowany tą sceną postanowiłem się przejść i może porozmawiać z kimś bardziej zrównoważonym. Szukałem Romera, ale natknąłem się na Astra prowadzącego za rękę Andre.

— Rozmawiam z nim, ale on nic nie rozumie — powiedział ze smutkiem Aster. — Słucha i nie rozumie. Chciałem coś na to odpowiedzieć, ale w tej samej chwili jakaś potężna siła odrzuciła mnie od syna. Wszystko dokoła mnie najpierw zawirowało, a potem zacząłem zapadać się w mętną otchłań. Wydawało mi się, że trwa to wieki całe, że zdążyłem się w czasie spadania zestarzeć i umrzeć, zeschnąć i zbutwieć... Kiedy się jednak ocknąłem, znajdowałem się w tym samym miejscu, w tej samej sali. Ujrzałem okropnie zmienioną twarz Romera, zapłakaną Mary, przerażonego syna. Wołali do mnie, wyciągali ręce, próbowali się do mnie przebić. Ale byłem dla nich bardziej niedostępny, niż gdybym przeniósł się do innej galaktyki.

Wielki Niszczyciel zamknął mnie w klatce z pól siłowych.

10

— Eli, co się stało? — krzyczała Mary. — Eli!

Obijała się o niewidzialną ścianę stojącą na jej drodze. Inni też starali się do mnie przebić, jak gdyby to mogło cokolwiek pomóc. Osima, który zachował rozsądek, podniesionym głosem zażądał spokoju i ciszy. Wreszcie się uspokoili. Widziałem ich doskonale i słyszałem, gdyż klatka, nieprzenikliwa dla ciał materialnych, świetnie przepuszczała światło i dźwięk.

— Jak się pan czuje, admirale? — zapytał Osima. — Nie jest pan ranny?

— Wszystko w najlepszym porządku — odparłem. Sądzę, że udało mi się opanować drżenie głosu. Spróbowałem się uśmiechnąć. — Zostałem od was odizolowany. Wobec tego, że pozbawiono mnie swobody ruchów, chcę złożyć władzę, której już nie mogę normalnie wykonywać. Na swego zastępcę wyznaczam Osinę.

Po jakimś czasie wokół mnie pozostało tylko kilku przyjaciół. Romero zaproponował, aby szczerze omówić powstałą sytuację.

— Po co urządzono to przedstawienie, Eli? Chodzi chyba o poddanie pana publicznym torturom... Ofuknąłem go i zażądałem, aby nie zwracano na mnie uwagi, bez względu na to, co mi się przytrafi. — Mary się rozpłakała, Kamagin w milczeniu zaciskał pięści.

— Zbliża się pora kolacji — powiedziałem. — Jeżeli Zływrogi dostarczą jakiś pokarm, jedzcie i układajcie się do snu, jakby nic się nie wydarzyło. Na mnie nie zwracajcie uwagi...

Odeszli. Po chwili w ścianach nad legowiskami otwarły się nisze, w których stały dostarczone przez Niszczycieli naczynia ze strawą. W mojej klatce nic się nie zjawiło. Uśmiechnąłem się z politowaniem: Wielki Niszczyciel nie grzeszył zbytnią fantazją. Ułożyłem się wygodnie na podłodze i spróbowałem zasnąć. Towarzysze zastosowali się do mojej prośby i pozornie całkowicie mnie ignorowali.

Zdrzemnąłem się. Obudził mnie Romero, który i czekał, aż większość ludzi zaśnie i dopiero wtedy podszedł do mego więzienia.

— A więc skazano pana na głód, drogi przyjacielu — odezwał się ponurym głosem. — W starożytności głodówkę uważano za jedną z najcięższych kar.

— Nie jest tak źle. Starożytna tortura głodu dlatego była tak nieznośna, że poddawany jej zdawał sobie sprawę, z nieuchronnej śmierci. Mnie to nie grozi, gdyż skazano mnie na męki, a nie na unicestwienie.

Romero odszedł, a ja znów się zdrzemnąłem. Nagle usłyszałem czyjś niewyraźny głos. Uniosłem się na łokciu. Po drugiej stronie przezroczystej ściany, stał, opierając się o nią rękami, Andre. Twarz szaleńca wykrzywiał uśmiech, jego mętne dniem oczy płonęły gorączkowym blaskiem, w którym jednak można było dostrzec iskierkę rozumu. Zbliżyłem się do niego, ale i wtedy nie zdołałem zrozumieć szybkiego, niewyraźnego mamrotania.

— Wiem — powiedziałem zmęczonym głosem. Miała babuleńka kozła rogatego. Idź spać.

Andre zachichotał, a potem powiedział dobitnie:

— Zwariuj! Zwariuj!

— Nie, Andre — odparłem po chwili, raczej sobie niż jemu. — Nie oszaleję, mój biedny przyjacielu. Nie mogę sobie na to pozwolić...

Tlejąca iskierka rozumu zgasła w jego oczach. Zachichotał jeszcze raz, wykrzywił się nieprzyjemnie i zaczął powtarzać coraz ciszej, jakby zasypał:

— Zwariuj! Zwariuj! Zwariuj!...

11

Głód mi zbytnio nie dokuczał, ale doprowadzało mnie do wściektości to, że moją głodówkę zamieniono w obrzydliwe widowisko. Nie otrzymywałem pożywienia, a moi przyjaciele nie mogli przełknąć choćby kęsa. Słyszałem, jak Mary namawiała Astra do jedzenia, karciła go, ale sama nie jadła. Jedynie Romero i Osima spokojnie się pożywiali i byłem im za to wdzięczny, gdyż im też nie przychodziło to z łatwością.

Pewnego dnia zawołałem Mary i powiedziałem gniewnie:

— Czy sądzisz, że będzie mi lżej, jak zachorujesz z wycieńczenia? Słaniająca się z głodu matka nie jest najlepszą opiekunką dla syna! Sama nalegałaś, abym traktował cię jak zwykłego członka załogi. Bierz przykład z Osimy i Romera!

— Spójrz więc na Kamagina — odparła. — Jestem twoją żoną, a on tylko kolegą i również nie je!

— Przynajmniej ty mnie nie męcz! — wykrzyknąłem i położyłem się na podłodze plecami do niej. Odeszła bez słowa. Później widziałem, że jadła.

Kamagin też się pożywiał. Udałem, że zasypiam, a tak dobrze udawałem, że istotnie zmorzył mnie sen. Wkrótce pojąłem, iż najlepiej dla wszystkich będzie, jeżeli zacznę przesypiać godziny, kiedy wszyscy pozostali są na nogach. Początkowo nie bardzo mi się to udawało, ale wkrótce nauczyłem się przywoływać sen wtedy, kiedy był potrzebny.

Słyszałem, że głodujący wyobrażali sobie najsmaczniejsze potrawy i tym doprowadzali się do szaleństwa. Przekonałem się, że w opowieściach tych było wiele przesady. Nie pociągały mnie obrazy uczt i obżarstwa. Wspominałem wprawdzie swoje ulubione syntetyczne grzyby mięsne, chrupiące pierożki i wiele innych pokarmów uzyskiwanych na Ziemi w drodze przeróbki ropy naftowej i jej produktów, ale nigdy nie przybrało to postaci obsesji. Dopiero po wielu dniach przypomniałem sobie nieudany szaszłyk z prawdziwego jagnięcia przyrządzony przez Romera i przyznam się, że wtedy nawet to cuchnące mięso przełknąłbym z radością.

Męki pragnienia też moim zdaniem nie są tak straszliwe, jakby to wynikało z niezliczonych opowiadań zachowanych w ludzkiej pamięci. Wiem, że w starożytności tysiące rozbitków umierały z pragnienia, ale jestem przekonany, że ich męczarnie wzmagały się na widok niezmierzonych mas słonej oceanicznej wody niezdatnej do picia. Powtórzę jeszcze raz to, co mówiłem Romerowi: najgorszy w głodówce jest strach przed śmiercią wzmagający cierpienia mające swe źródło w zjawiskach fizjologicznych, a mnie tego strachu pozbawili sami moi niezręczni kaci. Słabłem więc, ale nie traciłem ducha.

Koszmarów głodowych oszczędzono mi, ale za to nawiedzały mnie inne widziadła, które z każdym dniem stawały się coraz bardziej wyraziste. Znów zobaczyłem dziwną salę pod kopułą i znów biegłem pod ścianami wokół półprzezroczystej kuli bojąc się do niej zbliżyć. Znów na kopule pojawiły się wizerunki gwiezdne, wśród których przemykały ruchome światełka naszej floty szturmującej Perseusza. Wpatrywałem się w ognie krążowników Allana nie mogąc początkowo zrozumieć ich ruchów, aż wreszcie pojąłem, że obserwuję łowy na wygasłe ciała kosmiczne poza granicami skupiska gwiezdnego. Allan w moich majaczeniach podciągał zdobyte karty ku Perseuszowi, przygotowując je do anihilacji u ścian bariery nieeuklidesowej, aby po wybuchu wtargnąć do wnętrza twierdzy Zływrogów.

— Jeszcze raz znalazłem się w sterówce galaktycznej Niszczycieli — rzekłem któregoś wieczoru do Romera i następnie opowiedziałem mu cały swój niby-sen.

Romero przyjrzał mi się smutnie i badawczo: moje sny interesowały go jedynie jako sprawdzian mego stanu, dowód rozstroju psychiki.

— W starożytności psycholodzy uważali sny za urzeczywistnienie marzeń. Trzeba przyznać, drogi przyjacielu, że pańskie widzenia nader posłusznie kopiują pragnienia.

Sterówka Zływrogów przyśniła mi się tylko raz, natomiast Wielkiego Niszczyciela widywałem bardzo często. Władca pojawiał się w otoczeniu notabli, wśród których był także Orlan meldujący o zachowaniu się jeńców.

Moja rozpalona fantazja nadawała Niszczycielom dziwaczny wygląd, oblekała ich w fantasmagoryjne postacie, których wrogowie, wedle tego, co teraz wiem, nigdy nie przybierali. Wielki Niszczyciel natomiast i Orlan zawsze byli podobni do siebie. Zarówno wygląd członków sztabu Wielkiego Niszczyciela, jak i sposób ich porozumiewania się ze sobą były tak nieprawdopodobne, że coraz częściej zastanawiałem się, czy przypadkiem nie postradałem zmysłów.

Było jednak coś, co powstrzymywało mnie od tego wniosku. Ciało wprawdzie słabło, ale rozum pozostawał jasny. Poza obłędnymi majakami wszystko było realne: twarze przyjaciół, kształty otaczających przedmiotów. Nie to jednak było najważniejsze: poprzebierani w najfantastyczniejsze kształty notable dyskutowali jednak nader rozsądnie i logicznie. Ja sam, gdybym znalazł się w analogicznej sytuacji, rozmawiałbym ze swoimi pomocnikami podobnie.

Romero po pewnym czasie zmienił stosunek do mych majaczeń i nie było teraz dnia, aby nie pytał o ich treść. Zdumiewało mnie to i nawet nieco złościło.

— Zabawia się pan moim kosztem? — zapytałem go pewnego razu. — Czy też potrzebuje pan dodatkowych informacji o moim stanie psychicznym?

Pokręcił przecząco głową.

— Pańskie sny, admirale, niosą informację. Dziwnie wprawdzie zniekształconą, lecz realną informację o rzeczywistych wydarzeniach... Nie wiem, jak wieści o nich przenikają do pańskiego mózgu, może to głód uczynił pana nadwrażliwym, ale chyba istotnie bywa pan we śnie świadkiem narad sztabu naszych wrogów.

12

Dni przełomowe dla naszego lotu zapadły mi w pamięć ze wszystkimi szczegółami.

Wieczorem, przed kolacją, usnąłem. Obudziłem się w nocy, kiedy wszyscy spali. Usiadłem — wstać i przespacerować się po klatce, jak to robiłem do niedawna, nie miałem już sił. Ostatnio zacząłem gorzej widzieć, a w dodatku nocą samoświecące ściany przygasały i niczego wokół nie dostrzegałem. Głodówka za to wyostrzyła mi słuch i bez trudu chwytałem dźwięki, których dawniej nie potrafiłbym rozróżnić.

Dlatego natychmiast usłyszałem ostrożne kroki, których odgłos niemal całkowicie tonął w chrapaniu i ciężkich oddechach śpiących. Ktoś się skradał w moim kierunku. Znieruchomiałem. Do bólu w oczach wpatrywałem się w ciemność, aż w końcu dostrzegłem malutkiego człowieczka napierającego całym ciałem na przezroczystą barierę.

— Po coś tu przyszedł, Astrze? — zapytałem. Kazałem ci przecież zachowywać się tak, jakby mnie w ogóle nie było.

— Ojcze! — wyszeptał przez łzy. — Może przynajmniej nocą uda mi się podać ci coś do jedzenia?

Ale kawałki pokarmu nie chciały przechodzić przez siłową barierę, odskakiwały od niej, spadały na podłogę. Aster zaczął głośno szlochać.

— Idź spać! — rozkazałem, bojąc się, że jego rozpaczliwy płacz może obudzić Mary.

Nasza cichutka rozmowa zwróciła jednak uwagę Andre. Szaleniec spał mało i czujnie. Teraz podszedł do miejsca, skąd Aster usiłował się do mnie przebić, i oparł się łokciami o pole siłowe. Nie zwróciłem początkowo uwagi na jego mamrotanie sądząc, że znów mi radzi, abym zwariował. Dopiero po chwili dobiegły mnie wyraźne słowa: „Nie trzeba, nie trzeba!”

— Dajesz mi nową radę? — spytałem zdziwiony. — Odejdź, jestem bardzo zmęczony.

Tym razem usłyszałem powtórzone dwukrotnie zdanie:

— Tracisz rozum! Tracisz rozum!

— Ciesz się, istotnie tracę zmysły! — powiedziałem gorzko. — Tak jak chciałeś, Andre. Szukałem innego wyjścia, ale go nie znalazłem. Czemu się nie cieszysz?

— Nie trzeba! Nie trzeba!

Dopiero teraz zrozumiałem, o co mu chodzi. W głowie mi zawirowało i straciłem przytomność.

Kiedy się ocknąłem, Andre już nie było. Ułożyłem się ponownie na podłodze i zapadłem w gorączkowy sen. Wkrótce znów nawiedziło mnie widzenie statków Allana szturmujących twierdzę Perseusza.

Tym razem nie zobaczyłem pokrytej kopułą sali, lecz po prostu gwiezdną sferę na pograniczu skupiska Chi. Mknąłem wśród gwiazd, sam zamieniony w rodzaj ciała kosmicznego. Wiedziałem przy tym dokładnie, że jestem człowiekiem, a nie ciałem niebieskim i że nie lecę w kosmosie, lecz znajduję się w jakimś punkcie obserwacyjnym. Wiedziałem też, że na ekranie widnieją wizerunki gwiazd, a nie same gwiazdy.

Kiedy przede mną zabłysły ognie galaktyczne krążowników Allana, zacząłem je gorączkowo liczyć. Dwa rozciągnięte warkocze iskierek, po sto światełek w każdym, mknęły klinem w kierunku Perseusza. Ostrze klina celowało w Pomarańczową, która stopniowo mętniała i bladła. Wiedziałem już, co znaczy jej złowieszcze znikanie.

„Przebiją się czy nie?” — myślałem, wpatrując się w ciemne ciała ogarnięte masą jaskrawych ogni. Ciemnych karłów było niewiele, najwyżej dziesięć. Każdy z nich jednak miliony razy przewyższał masą gwiazdoloty eskadry.

Zobaczyłem oślepiającą eksplozję i chmary statków galaktycznych pędzących do epicentrum wybuchu anihilacyjnego, ujrzałem gwiazdy rozrzucone na boki ciśnieniem pęczniejącej przestrzeni i zagubioną w tym chaosie Pomarańczową. A eskadra ciągle gnała do przodu, tylko do przodu, nam na pomoc...

Potem jakaś nieznana siła pochwyciła moje nieważkie ciało i rzuciła do góry. Leciałem długo, nie wiedząc dokąd pędzę, ale przepełniało mnie cudowne i już niemal zapomniane uczucie swobody i wolności.

Wreszcie upadłem na podłogę w znajomej sali wypełnionej po brzegi cudacznymi figurami. Na tronie zasiadł naczelny Zływróg. Znalazłem się w sztabie Wielkiego Niszczyciela...

13

Nie dostrzeżono mnie, wiedziałem zresztą, że dostrzec mnie nie sposób, ale zręcznie odpełzłem w kąt, skąd doskonale widziałem wszystkich zebranych. Władca na coś w milczeniu czekał i wszyscy wokół niego także zachowywali milczenie. „Ich sprawy muszą bardzo źle stać, skoro są tak przygnębieni” — pomyślałem ze złośliwą radością.

Dostojnicy nagle się poruszyli. Jeden z nich zaczął przekazywać jakieś informacje, a robił to w sposób zdumiewający. Z ciemnej skrzyni, pod postacią której występował, wystrzelił ku górze pień obrastający w mgnieniu oka rozłożystą koroną. Gałęzie rozpełzły się po całej sali, pokrywały liśćmi rozjarzonymi fioletowym blaskiem. Patrzyłem na to jak urzeczony. Po chwili zorientowałem się ze zdumieniem, że doskonale rozumiem tę „krzaczastą mowę”. Drzewokształtny notabl przekazywał wiadomość, iż tylko awarią na Trzeciej Planecie można wytłumaczyć fakt niebezpiecznego wtargnięcia ludzkiej floty w peryferyjne obszary metryki nieeuklidesowej otaczającej skupisko Chi.

— Druga i Czwarta przejęły kontrolę nad zagrożonym obszarem. Pierwsza, Piąta i Szósta również przerzuciły część swoich pól grawitacyjnych na odcinek Trzeciej — szeleścił dostojnik. — Flocie wroga nie uda się przebić naszej gwiezdnej zapory, o Wielki...

Naczelny Zływróg w rozdrażnieniu błysnął oczyma. Rozłożysta korona mówcy zaczęła marszczyć się i opadać, by po chwili zupełnie zniknąć. Na podłodze sali znów stała tylko ciemna, obskurna skrzynia.

Wielki Niszczyciel zapytał grzmiącym głosem (tylko on i Orlan posługiwali się zwyczajną mową):

— Czy udało się odrzucić przeciwnika na pozycje wyjściowe?

— Udało się dokonać wiele, bardzo wiele — odparł mu inny dostojnik, który dla odmiany zamienił się w strumyk rozlewający się po podłodze. — Flotylli wroga nie udało się wedrzeć do wnętrza skupiska, nie udało się...

— Zostali wyrzuceni poza linię twierdz?

— Nie, na razie nie, ale są wypierani, stopniowo wypierani przez coraz silniejsze pola grawitacyjne... Wielki, zniecierpliwiony, machnął ręką i gadatliwy strumyk błyskawicznie wysechł.

— Zanihilowali dopiero jedną planetę, a holują ze sobą co najmniej dziesięć karłów. Co się stanie, jeżeli powtórzą anihilację?

Kolejni „mówcy” odpowiadali błyskami eksplozji, snopami iskier, pióropuszami płomieni, kłębami dymu lub mglistymi obłoczkami, a nawet smugami trudnych do zniesienia zapachów. Wszystkie te sposoby przekazywania informacji były dla mnie całkowicie zrozumiałe, dalszy dialog przytoczę w takiej postaci, jakby odbywał się on przy użyciu zwykłego ludzkiego języka:

— Jeżeli wrogowie zanihilują całą zabraną ze sobą materię kosmiczną i przekształcą ją w przestrzeń, uda się im wedrzeć do skupiska.

— Co wtedy?

— Pozostanie nam tylko bezpośrednie starcie całej naszej floty z ich flotą, walka na śmierć i życie do ostatecznego zwycięstwa...

— A jeżeli nie zdołamy zadać wrogom klęski?

— Musimy wycofać się na chronione planety i „okopać” się na nich.

— Innymi słowy, opuścić przestrzenie międzygwiezdne Perseusza, którymi władamy od wielu pokoleń — zakonkludował ponurym głosem Wielki Niszczyciel. Znaleźć się w sytuacji ściganych Galaktów, zablokowanych w swych gwiezdnych legowiskach? Bronić się bez nadziei na ostateczne zwycięstwo? Zgadzacie się na coś podobnego?

Okazało się, że nikt nie zgadza się z takim projektem. Opinię większości wyraził jakiś wybitny strateg, który przekazał ją w postaci kłębów wilgotnej mgły zaściełającej całą salę narad.

— Nasi przeciwnicy nie będą atakować ufortyfikowanych planet. Nie można liczyć na to, aby narażali na zgubę okręty swojej floty. Po prostu zjednoczą się z Galaktami, zabiorą z ich odblokowanych planet straszliwą broń biologiczną i unicestwią nas z dalekiego dystansu. Nie zapominajcie, że pełna mechanizacja naszych organizmów nie została jeszcze w pełni zakończona.

Władca zamyślił się.

— Racja! — zagrzmiał po chwili. — Postępowy proces prymitywizacji dopiero się rozpoczął. Zajęliśmy się sprawami drugorzędnymi i zbyt mało uwagi poświęcaliśmy najważniejszemu problemowi trzebienia pierwotnych komplikacji. Jeżeli działa biologiczne Galaktów zjawią się w pobliżu naszych planet, będziemy zgubieni. Nie możemy dopuścić do połączenia się ludzi z Galaktami. A teraz czekam na informację z Trzeciej Planety.

— Nowy Nadzorca przejął dowództwo nad Mózgiem Sterującym — odparł dostojnik, który wszedł na salę w trakcie narady. — Awaria urządzeń nie była trudna do usunięcia, choć mogła doprowadzić do katastrofalnych skutków. Teraz aparaturę naprawiono i nasza najpotężniejsza twierdza na Trzeciej Planecie znów zajęła swe miejsce w systemie obronnym Perseusza. Flota przeciwnika została zatrzymana...

— Starczy! — ryknął Wielki Niszczyciel. — Teraz Orlan zamelduje, jak czują się jeńcy i co z nimi robić.

— Jeńcy są przygnębieni losem admirała, sam admirał natomiast usiłuje robić dobrą minę do złej gry, chociaż osłabł już do tego stopnia, że nie może się poruszać. Co zaś do sposobu postępowania z jeńcami, to zależy on od tego, co my zamierzamy zrobić.

— Ewakuować się! — zagrzmiał władca. — Niklowa znajduje się niebezpiecznie blisko linii natarcia przeciwnika. Przeniesiemy się na Manganową lub Sodową. Jeńców zabierzemy ze sobą.

— Na żadnej z tych planet nie uda się utrzymać ich przy życiu, o Wielki. Ludzie są zbyt słabi, aby przetrwać w tamtejszych warunkach. Mają zbyt skomplikowaną strukturę...

— To ich sprawa. Niechaj wiedzą, że z taką strukturą biologiczną nie można podbić Wszechświata, a oni, choć ględzą o przyjaźni i braterstwie, właśnie do tego dążą. Załadujcie ludzi i ich towarzyszy na zdobyty statek i pod konwojem natychmiast odeślijcie na Manganową.

— Tak jest! Co do admirała... Gwarantowałeś mu życie, o Wielki?

— Zagwarantowałem mu jedynie to, że nie będę na jego życie nastawał. A jeżeli ten zadufany w sobie pechowiec zdechnie sam, nie będę się martwił. Jeszcze mniej obchodzi mnie los jego towarzyszy...

Nagle majaki zniknęły, Wielki przerwał w pół słowa. Ocknąłem się leżąc pod niewidzialną ścianą mojej klatki tak wycieńczony, że nie mogłem nawet poruszyć ręką. Poczułem na sobie czyjś wzrok. Uniosłem powieki. Z drugiej strony bariery stał Romero.

— Zdaje się, drogi przyjacielu, że znów przyśniło się panu coś zadziwiającego? — zapytał z nadzieją w głosie.

14

— Wspaniały sen! — wyszeptałem. — Uśmieje się pan, Pawle.

Do Romera przyłączyli się Kamagin z Lusinem, potem Osima i Petri. Słuchali mnie uważnie i z powagą. Kiedy skończyłem, Osima wzruszył ramionami, a Kamagin wykrzyknął:

— Widzenia są fantastyczne, a rzeczywistość potworna. Niestety, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wyśmiewać się z naszych dręczycieli, chociażby w wyobraźni.

— Te sny są zbyt skomplikowane, aby miały być jedynie snami — powiedział ostrożnie Romero.

— Nie chce pan chyba powiedzieć przez to, że jakiś nieznany przyjaciel dostarcza admirałowi tajnych informacji, nadawszy im dla niepoznaki postać majaków sennych? — zapytał ironicznie Kamagin.

— Chcę powiedzieć — odparł spokojnie Romero — że nie zdziwiłbym się, gdyby tak było w rzeczywistości. W każdym razie wszystko układa się w logiczny ciąg. Admirał dowiedział się we śnie, że Allan atakuje Perseusza taranem anihilowanych karłów, że w najpotężniejszej twierdzy Zływrogów nastąpiła awaria jakiegoś urządzenia i wreszcie, że Galaktowie posiadają broń biologiczną, której Niszczyciele panicznie się boją. O żadnym z tych faktów nie słyszeliśmy, zanim Elego nie zaczęły nawiedzać sny. Sny zawierają więc informacje całkowicie nowe. Nie wiadomo natomiast, czy są to informacje prawdziwe.

— Cóż za informacje mogą zawierać majaczenia? — wykrzyknął zapalczywie Kamagin, opanował się jednak po chwili i powiedział ze skruchą: — Przepraszam, nie chciałem pana obrazić, admirale.

— Nie szkodzi — uśmiechnąłem się z trudem. Wszak nie przeczę, że to jest wytwór chorej wyobraźni. Romero powiedział zimnym tonem:

— Utrzymuję, że jeżeli choć jeden z faktów podanych nam przez admirała okaże się prawdziwy, prawdziwe będą także pozostałe. Zgadzacie się z tym?

— Ja się zgadzam — odparł z uśmieszkiem Kamagin. — Zapomniał pan, Pawle, że wkrótce będziemy mogli to sprawdzić. Ze snu admirała wynika, że mamy być ewakuowani dziś na jakąś Planetę Manganową. Jeśli więc dziś ewakuacja nie nastąpi...

Przerwał nagle, bo nieoczekiwanie pojawił się jak spod ziemi Orlan.

— Admirale Eli, pierwsza próba dobiegła końca powiedział obojętnym głosem. — Wkrótce zostaniesz nakarmiony... Potem wszyscy jeńcy mają zebrać się w tej sali. Zostaniecie przewiezieni na Planetę Manganową.

Romero opuścił laskę, zawsze spokojny Osima tym razem nie mógł opanować zaskoczenia, a Kamagin stał jak gromem rażony.

Orlan zniknął równie nieoczekiwanie, jak się pojawił.

## 6. Marzycielski Automat

1

Ewakuacja przypominała paniczną ucieczkę.

Do sali wtargnęły głowooki, które bez żadnych dyskusji zaczęły nas zaganiać ku wyjściu, poszturchując opornych ciosami pól grawitacyjnych. Znów pojawił się Orlan i po raz pierwszy usłyszeliśmy jego krzyk, rozlegający się później tak często, że do tej pory dźwięczy mi w uszach. — Szybciej! Szybciej! Szybciej!

Niewiele pamiętam z początkowego stadium ewakuacji, bo wkrótce po uwolnieniu mnie z klatki grawitacyjnej straciłem przytomność. Ocknąłem się na pryczy z głową na kolanach Mary i usłyszałem jej szczęśliwy głos:

— Ocknął się! Żyje!

— Na jaki statek nas ładują? — spytałem.

— Na „Cielca” — odparł Kamagin, który stał w pobliżu. — Władcy Wszechświata boją się pokazać nam wnętrze swoich okrętów — dorzucił ironicznie.

Znów straciłem przytomność. Przyszedłem do siebie już na pokładzie „Cielca” stwierdzając ze zdumieniem, że półleżę na grzbiecie jednego ze skrzydlatych wychowanków Lusina. To właśnie jakiś gwałtowniejszy ruch pegaza przywrócił mi zmysły.

— Nareszcie w domu! — wykrzyknął Osima idący obok mnie.

Niszczyciele nie tknęli niczego w naszych kabinach.

Co chwila ktoś wybiegał na korytarz, wołając radośnie, że nie ma żadnych uszkodzeń, że niczego nie brakuje.

— Zajrzyj do nas — poprosiłem Mary, kiedy znaleźliśmy się pod drzwiami naszego mieszkania. — Ja wstąpię do sali obserwacyjnej. Nie obawiaj się o mnie, czuję się już całkiem dobrze.

Nie zdążyłem odejść na dwa kroki, kiedy obok mnie przemknął Aster z jakimś naczyniem w ręku. Zawołałem go, ale nawet się nie odwrócił.

— Dokąd on tak pędzi? — zapytałem z niepokojem. — Nie pora teraz na bieganinę po statku!

Mary uśmiechnęła się pogodnie.

— Nic mu się nie stanie. Poczekajmy tu chwilę na jego powrót.

— Wszystko załatwione, mamo! — krzyknął już z daleka. — Wprawdzie nie udało mi się wyjść ze statku, ale wylałem płyn na zewnątrz przez kanał analizatora. Planeta jest zakażona.

— Co to znaczy, Mary? O jakim zakażeniu on mówi?

Okazało się, że Aster na polecenie Mary rozpylił na planecie kulturę bakterii odżywiających się niklem i jego solami. Planeta została zarażona życiem. Proces będzie z początku rozwijał się powoli, póki epidemia życia nie ogarnie całego globu, a wtedy rozwój życia można będzie przerwać jedynie unicestwiając całą planetę.

Zuch jesteś, synu! — powiedziałem, klepiąc go po ramieniu.

Po krótkotrwałym ożywieniu znów poczułem się źle. Zachwiałem się. Podchwycił mnie Petri i zaprowadził do mego pokoju. Tam położył mnie na kanapie. Siły stopniowo wracały. Uruchomiłem deszyfrator i poprosiłem przyjaciół, aby nastroili się na moje promieniowanie. Rozmawiać myślami było nie tylko bezpieczniej, ale i łatwiej, przynajmniej dla mnie, gdyż bardzo osłabłem i słowa z trudem przeciskały mi się przez gardło.

— Zdarzyło się wiele zadziwiających rzeczy i musimy zanalizować sytuację — powiedziałem. — Chciałbym poznać pańską opinię, Pawle.

W tej samej chwili do pokoju wszedł Lusin z Astrem, prowadząc pod rękę Andre. Andre miał na sobie nowe ubranie, był ogolony i porządnie uczesany. Przypominał teraz dawnego Andre, nieco tylko wychudłego i postarzałego. Tak pewnie wyglądali w starożytności ludzie wstający z łóżka po długiej chorobie. Wywołało to chwilowe zamieszanie.

— Pańskie sny, admirale — powiedział Romero, kiedy nowo przybyli usiedli — są chyba swoistą formą informacji przekazywanej przez naszych ukrytych przyjaciół z obozu Niszczycieli.

— Właśnie na uzyskanie takich przyjaciół spośród narodów gnębionych przez Zływrogów i samych Niszczycieli liczyłem, prowokując publiczną dyskusję ze zwierzchnikiem wrogów. I zdaje się, że osiągnąłem pewien sukces.

Romero zaoponował: — Tu nie chodzi o szeregowych Zływrogów, zyskaliśmy tajnych sprzymierzeńców w bezpośrednim otoczeniu Wielkiego Niszczyciela. Świadczą o tym wiadomości z narady w sztabie generalnym przeciwnika, z których jedna — nasza ewakuacja — już się potwierdziła. Odnoszę przy tym wrażenie, iż działają tu nie pojedynczy sympatycy, lecz cała organizacja przyjaciół, która być może spowodowała awarię na Trzeciej Planecie. Jedynym godnym zaufania źródłem informacji — zakonkludował Paweł — są dziś sny Elego. Zdaję sobie sprawę, że byłoby głupotą prosić admirała, aby zechciał jak najwięcej śnić. Można go jednak prosić, żeby zapamiętywał dosłownie wszystko, co ujrzy w swych majakach. Życzymy przyjemnych snów!

2

Czasami odnosiliśmy wrażenie, iż nasi strażnicy opuścili statek, tak swobodnie mogliśmy się poruszać po części mieszkalnej i parku. Wystarczyło jednak zbliżyć się do pomieszczeń służbowych i już nie wiadomo skąd pojawiał się dyżurny Zływróg. Zakazem nie była objęta tylko sala obserwacyjna, w której dniem i nocą tłoczyli się ludzie.

Nieraz łamałem sobie głowę nad zagadką, czemu Niszczyciele nas tam puszczają, zdradzając tym samym tajemnicę fortyfikacji Perseusza. Petri uważał, że czynili to umyślnie, aby zastraszyć nas swoją potęgą, a potem narzucić traktat pokojowy na własnych warunkach.

Wrogowie rzeczywiście mieli się czym pochwalić. Pędziliśmy w otoczeniu statków wrogiej eskadry, poza granicami wyznaczonej przez nie sfery rozpościerała się majestatyczna panorama: jedna gwiazda zastępowała drugą, nie było im końca, a przy każdej z nich mnożniki wykrywały planety, setki planet, zagospodarowanych, uprzemysłowionych, z miastami i fabrykami i tysiącami okrętów krążących wokół globów. Patrzyłem na to w przerażeniu, bo wróg istotnie był bardzo potężny.

Kamagin zapisywał w dzienniku pokładowym, zabranym z jego starego statku, wszystko, co dostrzegał na stereoekranie. Wkrótce na podstawie tych notatek sporządził schemat przebytej drogi, nie tak dokładny, jaki mógłby wykonać komputer, ale wystarczająco szczegółowy.

Jedynie na Osunie demonstracja potęgi Niszczycieli nie wywarła żadnego wrażenia. Uważał on mianowicie, że wszystkie te piekielnie uzbrojone planety ze sztucznymi księżycami i armadami krążowników są w trzech czwartych mistyfikacją. Wróg miał wedle jego opinii krążyć wokół tego samego rejonu i pokazywać go z różnych stron.

— Przypatrzcie się uważnie — dowodził, wodząc palcem po mapie Kamagina. — Charakterystyki planet powtarzają się. Dlaczego?

Nie przekonał mnie: lecieliśmy prosto na Pomarańczową, a nie krążyliśmy wokół niej. Wkrótce jednak Pomarańczowa zeszła z osi lotu. Minęliśmy ją i po paru dniach pomknęliśmy ku środkowi skupiska.

W dniu katastrofy byłem w laboratorium Mary, która ze świeżym zapałem badała prymitywne formy życia. Pomagał jej w tym Aster.

— Ożywimy nie tylko Niklową, lecz te wszystkie metalowe pustynie, jeżeli kiedykolwiek zdołamy do nich dotrzeć — mówiła żona. — Obok krystalicznych pseudoroślin zjawią się tam organizmy żywe, najpierw mikroskopijne, a później takie, do jakich przywykliśmy na Ziemi.

Nagle przez cały statek przebiegł skurcz. Wszystko zadygotało, ruchome przedmioty poderwały się ze swoich miejsc. Ściany zbliżały się ku sobie, a podłoga wznosiła się ku opadającemu sufitowi.

— Mary, co z tobą? — wykrzyknąłem przerażony, widząc, jak żona spłaszcza się niczym naleśnik, by po chwili spęcznieć i zamienić się w karzełka. Przypominało to widoki z gabinetu krzywych luster. Ja pewnie też wyglądałem nie lepiej, bo Mary zbladła i szarpnęła się, kiedy wreszcie udało mi się chwycić ją za rękę.

Wszystkie przedmioty wróciły po chwili do swych normalnych proporcji, ale „Cielec” nadal wibrował i cały statek wypełniony był łoskotem mechanizmów.

— Biegnijmy do sali obserwacyjnej! — krzyknąłem. — To jakiś nowy podstęp przeklętych Niszczycieli!

Na wewnętrznej uliczce omal nie zderzyłem się z pędzącym Orlanem. Tym razem nie miał eskorty, a jego wygląd świadczył o tym, że katastrofa również dla niego była zaskoczeniem. Chwyciłem go za ramię.

— Co się stało?

Orlan zaczął się w milczeniu wyrywać. Poczułem, że traci siły. Dowiedziałem się później, iż Niszczyciela pozbawionego środków technicznych, wszystkich tych pól grawitacyjnych, zakrzywionych powłok przestrzennych i wyładowań elektrycznych, może pokonać byle ziemskie dziecko.

— Puść mnie! — wychrypiał Orlan. — Wszyscy tu zginiemy, jeżeli mnie nie puścisz!

Mary szarpnęła mnie za rękaw. Niechętnie uwolniłem nienawistnego Zływroga i Orlan pomknął takimi niewiarygodnymi skokami, że aż mi zamigotało w oczach.

W sali obserwacyjnej uderzył mnie przeraźliwy krzyk Kamagina:

— Admirale, spadamy na Pomarańczową!

3

Trzy czwarte gwiazd skupiska zniknęło z ekranów, a pozostałe bladły w oczach. Chwyciłem lornetę mnożnika, ale i tam również dostrzegłem jedynie czarną pustkę.

— Zabawna przygoda! — powiedział Osima głosem, w którym nie było śladu lęku, a tylko zainteresowanie. Energiczny kapitan najwidoczniej zastanawiał się już, jaką korzyść możemy wyciągnąć z awarii.

Pomarańczowa nie świeciła, lecz pałała jak nieustanny jaskrawożółty rozbłysk eksplozji. Kamagin miał rację, spadaliśmy na nią, i to z coraz większą prędkością, wielokrotnie już teraz przekraczającą szybkość światła.

— Wkrótce nie będzie już żadnej gwiazdy powiedział w zadumie Romero. — Przedziwny świat! Czy panu, admirale, nie śniło się przypadkiem nic podobnego?

Gwiazdy nadal blakły i znikały, a za nimi zaczęły rozpływać się okręty wrogów. Wokół nas szalała burza, jakiej od dawna nie potrafiliśmy sobie nawet wyobrazić, burza nieustannie zmieniająca metrykę przestrzeni.

— Admirale Eli! Proszę do sterówki! — rozległ się z głośników ostry głos Orlam. — Natychmiast do sterówki!

Zawahałem się, ale Romero powiedział:

— Proszę iść, to nie zaszkodzi. Najwidoczniej zdarzyło się coś niezwykłego, skoro potrzebują pańskiej pomocy...

Sterówka była oświetlona, transportery siłowe nie działały i musiałem ręcznie otwierać drzwi. W pobliżu foteli stał Orlan ze swymi adiutantami. Skłoniłem się w odpowiedzi na jego powitanie.

— Trzeba uruchomić urządzenia napędowe statku, admirale! — rozkazał Orlan. — Chodzi o życie twoje i twoich przyjaciół!

— O wasze chyba też — dorzuciłem ironicznie. Mówiłem już, że komputer sterujący napędem jest uszkodzony.

— Musicie go natychmiast naprawić!

— Nie znam się na takich skomplikowanych aparatach.

— A kto się zna?

— Nikt. Maszyny sterujące remontuje się jedynie w bazie kosmicznej.

— Macie chyba sterowanie ręczne?

— Tak, ale można go używać tylko w przestrzeni einsteinowskiej, a nie w obszarze nadświetlnym. Powiedz zresztą, co się stało, abym mógł zdecydować, czy warto wam pomagać.

Orlan milczał przez chwilę i zdawał się czegoś nasłuchiwać. „Pewnie mają łączność telepatyczną” — pomyślałem.

— Powiem — odezwał się wreszcie. — Mechanizmy, kształtujące metrykę, zainstalowane na gwieździe, obok której przelatywaliśmy, rozregulowały się. Kurs flotylli został zmieniony, a statki rozproszone. Znaleźliśmy się wewnątrz ślimaka przestrzennego, a krążowniki konwoju na zewnątrz.

— Nie widzę w tym żadnej tragedii, chyba że coś przede mną ukrywasz.

Orlan wahał się kilka sekund.

— Wielki zabronił tracić „Cielca” z oczu. Kiedy zaczniemy znikać, okręty nas zaatakują. Musimy się trzymać w pobliżu eskorty lub odeprzeć ich salwę grawitacyjną, bo inaczej koniec z nami. Uruchom mechanizmy obronne, admirale!

— Czy mamy za cenę życia sprzedać najważniejsze tajemnice ludzkości? Nasze życie nie jest tyle warte!

— Za późno! — krzyknął strasznym głosem Orlan. — Jesteśmy ostrzeliwani!

Obok Pomarańczowej pałającej złowieszczym światłem na wygasłym niebie pozostały jeszcze trzy zielone punkciki, trzy niknące w innym świecie gwiazdoloty. Wiedziałem już, co to znaczy atak grawitacyjny. Bez pól ochronnych nie sposób go przeżyć. Zamknąłem oczy.

— Nie! — wykrzyknął triumfalnie Orlan. Nie!...

Otworzyłem oczy. Na czarnym niebie płonęła tylko Pomarańczowa. Krążowniki zostały wyrzucone z naszej przestrzeni wraz z wystrzelonymi przez siebie falami grawitacyjnymi. Nie wiedziałem, co nas czeka w przyszłości, ale Orlan również byt najwidoczniej kompletnie zdezorientowany.

— No i obeszło się bez zdrady ludzkich tajemnic! — zakpiłem z niego. — Czy nie wydaje ci się przypadkiem, iż po naszej stronie wystąpiły siły znacznie potężniejsze od całej floty waszych krążowników?

— Po waszej stronie, mówisz? — Wskazał ręką na Pomarańczową. — Gdybyś wiedział, dokąd pędzimy, wolałbyś zginąć od salwy dział grawitacyjnych. W imperium Wielkiego Niszczyciela nie ma miejsca groźniejszego niż Trzecia Planeta!

Odwrócił się do mnie plecami.

Niewidzialne, giętkie ręce chwyciły mnie za ramiona, odwróciły i popchnęły ku wyjściu. Wściekłym szarpnięciem spróbowałem się uwolnić, ale nie miałem teraz pola osobistego, którym niegdyś poraziłem atakującego mnie niewidzialnego. Pogroziłem więc tylko pięścią Orlanowi i spokojnie wyszedłem na korytarz.

4

Na wklęsłych ekranach złociło się niebo. Powiedziałem „niebo” i poczułem, jak słowo to kłóci się z widokiem rozpościerającym się przed nami. Niebo to przestrzeń z gwiazdami, planetami i satelitami. Tu zaś była tylko wypełniająca wszystko Pomarańczowa i krążąca wokół niej samotna planeta.

Tuż przed lądowaniem na planecie Orlan odnalazł mnie w parku, gdzie przechadzałem się z synkiem, i odwołał na bok.

— Admirale Eli — powiedział. — Statek opada w złym miejscu. Przyciąganie na planecie zależy od szerokości geograficznej, a my lądujemy w strefie wysokiej grawitacji. Należy szybko dotrzeć do Stacji Metryki Przestrzennej, tam będzie lżej. Na Planecie nie ma środków komunikacji, gdyż nie wolno jej odwiedzać. Stacja nie odpowiada na wezwania. Musisz zatroszczyć się o to, aby jeńcy szli możliwie szybko.

— Jakie ciśnienie i temperatura panują na planecie? Czy potrzebne są skafandry? Jak z wodą i żywnością? — Skafandry zostawcie na statku. Ciśnienie i temperatura są znośne. Żywność i wodę załadujcie na swoje awionetki. Masz jeszcze jakieś pytania?

— Tak. Co to za planeta? Czemu na niej lądujemy? Jaki los nas czeka?

— Na te pytania nie odpowiem — rzucił zimno i pośpiesznie się oddalił.

5

To była metalowa planeta, naga metalowa pustynia nigdzie nie zakamuflowana nawet pseudoroślinami podobnymi do „rosnących” na Niklowej. Nad oślepiająco błyszczącą złotem i ołowiem równiną rozpościerało się połyskliwe, złotawe niebo z pałającą na nim czerwonawą gwiazdą, której pozorna średnica była około pięciu razy mniejsza od naszego ziemskiego Słońca.

Schodząc po trapie upadłem. Potężna siła pochwyciła mnie i rzuciła w dół. Na mnie zwalił się Petri, a na niego Osima. Spróbowałem się unieść na rękach, ale nie zdołałem. Petri pomógł mi wstać. Pomagając sobie laską przykuśtykał do nas Romero. Zawsze był z natury blady, ale teraz jego bladość nabrała niebieskawego odcienia.

— Co najmniej trzykrotne przeciążenie-wykrztusił próbując się uśmiechnąć, co nie bardzo mu sil udało. — Obawiam się, drogi przyjacielu, że tego nie wytrzymamy.

Stosunkowo najlepiej czuł się Kamagin. W jego czasach kosmonautów trenowano na wielkie przeciążenia, gdyż nie było wówczas grawitatorów stwarzających normalne warunki przyciągania ziemskiego w kosmosie.

Anioły i całe gospodarstwo Lusina wyładowano przed ludźmi. Skrzydlate istoty również nie czuły się najlepiej.

Zobaczyłem w oddali Orlana i poprosiłem Petriego, aby pomógł mi do niego dotrzeć. Wyładunek trwał nadal, a ja z przerażeniem myślałem, co będzie z Mary i Astrem. Orlanowi ciążenie także dawało się we znaki. Poprosiłem go:

— Czy nie można zostawić najsłabszych? Na statku działają grawitatory...

— Wszyscy wysiadają! — uciął. Powróciłem do towarzyszy. W tej samej chwili na trapie pokazał się Aster z plecakiem na ramionach. Za nim szła Mary. Malec nieostrożnie postawił nogę na stopniu, potknął się i potoczył na ziemię. Gdyby Petri nie podtrzymał go w ostatniej chwili, synek skręciłby sobie kark. Pospieszyłem ku niemu i zabrałem plecak, w którym, jak się później okazało, leżały pojemniki z kulturami bakterii żywiących się złotem i ołowiem.

Kiedy ostatni człowiek zszedł na grunt, automaty zaczęły wyładowywać awionetki z zapasami wody i jadła oraz jakieś długie skrzynie z rzeczami Niszczycieli. Petri wrzucił do jednej z awionetek plecak Astra.

Awionetki nie mogły unieść się w powietrze i tylko niezgrabnie pełzły po gruncie, chociaż zabrały zaledwie połowę zwykłego ładunku. Skrzynie Zływrogów poruszały się same ślizgając się nisko nad ziemią na poduszce grawitacyjnej.

Podszedł Osima.

— Co pan zarządzi, admirale?

— Rozkazy wydaje tu Orlan — powiedziałem z goryczą. — A zresztą jakiż to ze mnie teraz admirał. Proszę więcej się tak do mnie nie zwracać!

Mary ścisnęła mnie za łokieć.

— Opanuj się, Eli!

Romero był dla mnie jeszcze surowszy.

— Nie oczekiwałem takiej małoduszności, drogi przyjacielu! Wybraliśmy pana na zwierzchnika i pozostanie pan naszym zwierzchnikiem dopóty, dopóki nie zmienimy decyzji. Tak więc, jakie rozkazy wyda pan, admirale?

— Dobrze, rozkazuję wam i apeluję do was, abyście spełniali i wytrzymali to, co ja sam zdołam spełnić i wytrzymać.

— Kto pójdzie pierwszy w kolumnie? — spytał Orlam który przykuśtykał do nas w towarzystwie swych adiutantów.

— Ja — odparłem.

Ruszyliśmy w nieznane. Pierścień głowooków otaczał kolumnę, na czele której szedłem wraz z Mary, Romerem, Osimą, Petrim i Kamaginem. Za nami szli pozostali jeńcy. Skrzydlate smoki i awionetki z zapasami zamykały pochód.

Starałem się nie patrzeć na przygnębiający blask pustyni, na grę świateł załamujących się w ołowianych skałach wyrastających ze złotej równiny. Szedłem czując, że każda noga waży przynajmniej sto kilogramów i że długo tak iść nie zdołam.

Petri odkrył, że nie należy przestawiać nóg, lecz je przesuwać i wkrótce wszyscy ślizgaliśmy się jak na nartach. Ale i w ten sposób nie mogliśmy nadążyć za niezmordowanie pełznącymi głowookami, którym nie przeszkadzała zwiększona grawitacja, i za niezręcznie podskakującym Orlanem.

— Szybciej! — wykrzykiwał co chwila Orlam a każdemu jego okrzykowi towarzyszyły grawitacyjne ciosy strażników bezlitośnie nas popędzających.

Kiedy Orlan zarządził pierwszy odpoczynek, wszyscy zwalili się bez sił, gdzie kto stał. Upadłem obok Mary. Żona chrapliwie oddychała, oczy jej zapadły gdzieś pod czaszkę. Wyszeptała:

— Nic mi nie jest, wytrzymam. Ale Aster...

Aster podszedł do nas razem z Trubem. Potężny Anioł chciał nieść synka, ale ten nie pozwolił mu nawet podtrzymywać się pod rękę.

— Wytrzymam wszystko to, co wytrzymasz ty, ojcze — szeptał Aster w odpowiedzi na moje wyrzuty i upadł na ziemię obok Mary.

— Jesteś nie tylko moim synem, lecz także członkiem załogi „Cielca” i musisz podporządkować się rozkazom. Rozkazuję ci więc, abyś przyjął pomoc Truba.

W połowie drugiego odcinka marszu zaszła Pomarańczowa. Niebo szybko ciemniało, aż wreszcie nad nami rozlała się jednolita czerń, bez jednej gwiazdki, jednego rozbłysku światła.

— Naprawdę wypadliśmy z przestrzeni! — wykrzyknął Romero. — Zwichrowania metryki są widać bardzo szczelne.

W ciemności rozgorzały peryskopy głowooków. Teraz tylko one oświetlały powierzchnię planety.

Orlan zarządził drugi postój. Awionetka z zapasami przepełzła wzdłuż szeregu. Prowadzący ją mechanik rozdał jedzenie. Posililiśmy się.

Zaraz po kolacji znów zabrzmiał rozkaz: — Wstawać! Idziemy! Szybciej! Szybciej!

I znów szliśmy wśród czarnej nocy otoczeni łańcuszkiem niby-pochodni na głowach Zływrogów, popędzani niecierpliwym krzykiem Orlana.

6

Noc ciągnęła się bez końca. Trochę spaliśmy, ale przez większą część tej nocy szliśmy.

Ranek zastał nas na postoju. Niebo najpierw sfioletowiało, później przybrało odcień niebieski, zielonkawy, ai wreszcie stało się jednolicie jaskrawozłote.

Aster leżał między mną a Mary. Potrząsnąłem go za ramię. Syn otworzył z wysiłkiem oczy, spróbował wstać, ale nie zdołał tego zrobić i znów zamknął powieki. Po chwili wyszeptał tak cicho, że ledwie go usłyszałem:

— Mamo, zaraziłaś planetę życiem?

— Tak, kochanie — odparła pospiesznie żona. Kiedy spałeś, zaszczepiłam tu życie. Nie martw się o to. Awionetka z pożywieniem dotarła do nas. Spróbowałem nakarmić Astra, ale nie chciał jeść. Możliwe zresztą, że nie miał już sił żuć i przełykać.

— Wkrótce stracimy syna — powiedziałem do żony.

Słyszałem swój głos jakby z boku — drewniany, beznamiętnie spokojny. Mary spojrzała na mnie, lecz nic nie powiedziała. Przez wszystkie te nocne godziny szła za mną bez słowa skargi, bez jęku, ale teraz przy świetle dnia widziałem, ile ją ta noc kosztowała.

Odwołałem na bok Romera.

— Pawle — powiedziałem. — Zapomnieliśmy co to choroby, lecz pozbawieni opieki maszyn stajemy się słabi i bezbronni. Dawniej ludzie byli odporniejsi, bardziej żywotni, znali masę zabiegów, lekarstw, masaży podtrzymujących życie. Pan jeden może nam pomóc. Może wśród starożytnych recept była i taka, która mogłaby teraz uratować mi syna?

Pokręcił ze smutkiem głową.

— Lekarstwa na przeciążenie nie znali nawet starożytni. Moim zdaniem jest tylko jeden sposób ratunku dla Astra. Musi pan zobaczyć jeszcze jeden wieszczy sen i do wiedzieć się, dokąd Zływrogi nas z takim pośpiechem pędzą...

— Nie martw się, Eli! — wykrzyknął Trub, który z dala przysłuchiwał się naszej rozmowie. — Mam jeszcze dość siły, aby nieść twojego syna.

— Sam chwiejesz się na nogach — zaoponowałem. — Astra musimy położyć w awionetce.

Poprosiłem Orlana o awionetkę dla Mary i Astra. Zgodził się ją dać, ale pod warunkiem, że pojazd będzie posuwał się w tyle kolumny jeńców. Trub i Osima namawiali mnie, abym się na to nie zgodził, bo syn znalazłby się wtedy w całkowitej władzy Niszczycieli. Trub chwycił Astra na ręce, pokazując, że nie jest mu wcale ciężko.

— Dziś mniej przyciska do gruntu, Eli!

— Grawitacja rzeczywiście słabnie — potwierdził Osima.

Przekonali mnie, tym bardziej że i Mary nie chciała znaleźć się sama wśród wrogów. Trub z Astrem stanął między mną a żoną.

Kiedy ruszyliśmy, zbliżył się do mnie Lusin.

— Słusznie, Eli — powiedział. — Będziemy po kolei. Smoki. Pewien pegaz. Bardzo silny. Nie trap się. Doniesiemy.

— Dokąd? — zapytałem z rozpaczą w głosie. Spójrz dokoła, nie ma nawet miejsca, gdzie można by wykopać grób. Wszędzie ołów i złoto, złoto i ołów!...

7

Szedłem nie wiedząc, co się wokół mnie dzieje. Odgrodziłem się od wszystkiego i ze wszystkich sił, z całej duszy. Błagałem nieznanego przyjaciela lub przyjaciół o pomoc. Nie wiedziałem, czy naprawdę istnieją, czy nie są tylko wytworem mojej chorej wyobraźni, ale prosiłem, błagałem, padałem przed nimi na klęczki, modliłem się do nich o pomoc i ratunek dla syna.

— Co z Astrem? — zapytałem Mary, gdy Orlan zarządził kolejny postój. Truba obok niej nie było.

Żona w milczeniu zaprowadziła mnie do smoka pełznącego wśród ludzi. Na grzbiecie zwierzaka leżał nieruchomo Aster. Gładziłem ręce syna, przemawiałem do niego, ale wiedziałem, że się nie odezwie, że odchodzi od nas na zawsze...

— Musisz odpocząć, Eli — powiedziała cicho Mary.

Posłuchałem, a moje miejsce koło Astra zajęli Lusin i Andre. Mary płakała. Pomyślałem, że pewnie byłoby mi lżej, gdybym i ja potrafił się rozpłakać, ale pod powiekami nie było łez.

Noc zastała nas w marszu. Po zachodzie gwiazdy Orlan zarządził nocleg. Aster nadal nie poruszał się i nie odzywał, ale stan jego się nie pogorszył i to uznałem za dobry omen. Jutro grawitacja zmniejszy się, pomyślałem, i nagle poczułem, że tracę przytomność.

Zapadałem w sen jak w głęboką studnię, tak gwałtowny był przeskok z jawy do sennych majaków. Zobaczyłem jakby z boku, że przenoszę się poza łańcuch strzegących nas głowooków do tej części obozu, gdzie wypoczywali Niszczyciele, i sam gwałtownie przemieniam się w Zływroga. Szedłem obok Orlana — teraz byłem jednym z jego dwóch adiutantów, którzy stale mu towarzyszyli i Orlan szepnął do mnie:

— Krad, zapamiętaj każdą wypowiedź, to bardzo ważne...

— Tak jest — odparłem z groźbą w głosie, dokładnie tę groźbę w głosie usłyszałem. Orlan nie wiedział wszak, że nie jestem żadnym Kradem, lecz Elim. — Zapamiętam!

Wkrótce człowiek, który przybrał postać Zływroga, admirał ludzkiej floty, wziął udział w naradzie oficerów i strażników — Niszczycieli.

Niezbyt dobrze widziałem tych, którzy odzywali się w ciemnościach, ale jednego doskonale rozróżniałem. Był to ogromny niewidzialny, który pozbył się swego ekranu, przerastający co najmniej o głowę innych Niszczycieli. Obok niego stało jeszcze dwóch innych niewidzialnych, już normalnego wzrostu.

— Sytuacja się skomplikowała — zagaił naradę Orlan. — Musimy podjąć ważne decyzje.

— Powiedz nam, co wiesz — powiedział olbrzym. — Bez dokładnej informacji nie możemy podjąć skutecznych kroków.

— Jedynym wyjściem jest unicestwienie wszystkich jeńców — rzucił ostro drugi adiutant Orlana, który zachowywał się teraz raczej jak zwierzchnik niż milczący strażnik, jakim go dotychczas znałem. Uświadomiłem sobie nagle, że nigdy mu się dokładnie nie przyglądałem. Teraz ze względu na ciemności też nie mogłem rozróżnić jego twarzy.

— Rozumiem cię, Gigu — zwrócił się Orlan do olbrzymiego niewidzialnego — ale chyba nie będę mógł zaspokoić-twej ciekawości, bo łączności ze Stacją nadal nie ma. Poruszamy się i działamy na oślep.

— Mamy program uświęconych idei Wielkiego Niszczyciela, a ten program rozjaśnia każdy mrok — jeszcze ostrzejszym tonem powiedział drugi adiutant.

— Masz rację, idee Wielkiego rozjaśniają wszelki mrok — zgodził się Orlan. — Może więc dobrze będzie, jeżeli powtórzę krótko, co wiemy i czego nie wiemy.

Zaczął od wiadomości o flocie ludzkiej atakującej Perseusza. Ludzie zanihilowali drugie ciało kosmiczne. Wielki Niszczyciel przeniósł swoją rezydencję na Planetę Sodową, odległą od teatru wojny. Obecna siedziba Wielkiego też nie jest zupełnie bezpieczna, gdyż wokół Sodowej znajduje się wiele osiedli Galaktów i jeżeli odwieczni wrogowie zdecydują się wyjść ze swych twierdz, sytuacja stanie się groźna...

— Nie strasz nas! — przerwał drugi adiutant. Nie kłopocz się o bezpieczeństwo Wielkiego. Bezczelnych ludzi czeka zguba, jeżeli zdołają się przedostać za nasze kosmiczne zapory, bo Galaktowie nie przyjdą im z pomocą. Tak rzekł Wielki. Mam nadzieję, że nie podajesz w wątpliwość prognoz Wielkiego?

— W żadnym wypadku! — wykrzyknął pospiesznie Orlan.

— Mówmy więc o naszej sytuacji, bo Wielki sam się o siebie potrafi zatroszczyć.

— Trzecia Planeta — kontynuował Orlan zachowuje się niezrozumiale. Poprzednio żaden statek nie mógł się do niej zbliżyć, a teraz sama ściągnęła „Cielca” na swą powierzchnię. Lądujący gwiazdolot nie został zniszczony w polach ochronnych, jeńcy i Niszczyciele też na razie żyją — z takim dobrym przyjęciem jeszcze nikt tu się nie spotkał. Przy tymi mechanizmy Stacji działają, grawitacja zmienia się w sposób prawidłowy. Wylądowaliśmy w niebezpiecznej strefie, część jej przeszliśmy, ale do spokojniejszych okolic jest jeszcze daleko. W Stacji znów nastąpiła awaria, to jedyne wytłumaczenie. Kiedy automaty biologiczne Stacji naprawią uszkodzenie, zostaniemy wszyscy unicestwieni, jeśli do tego czasu nie zdołamy opuścić niebezpiecznej strefy. W paśmie żywej straży zdołamy wytłumaczyć żołnierzom Stacji naszą obecność. Naszym zadaniem jest dotrzeć do Stacji, aby zachować swoje życie.

— I życie jeńców — dorzucił olbrzymi niewidzialny.

— To nie jest konieczne — odparował drugi adiutant. — Dyrektywa Wielkiego zezwala rozprawić się z jeńcami, gdy tylko zajdzie potrzeba. Uważam, że taki moment nadszedł. Zwłaszcza że nie możemy pozwolić jeńcom zbliżyć się do mechanizmów Stacji.

— Nam również zakazano zjawiać się w rejonie Stacji — zauważył Orlan. — I gdybyśmy znaleźli się tu z własnej woli, kara byłaby tylko jedna — śmierć...

— Dobrze to ująłeś, Onanie, nie znaleźliśmy się tu z własnej woli. Ale jesteśmy przyjaciółmi, a oni wrogami. Nie widzę powodów, aby nadal niańczyć się z jeńcami.

— Może rozdzielić się na dwie grupy? — zaproponował Gig. — Jeden oddział pójdzie z jeńcami, a drugi pospieszy w kierunku Stacji zawiadomić strażników o naszej obecności i dogadać się z Nadzorcą, aby. zapewnił wszystkim bezpieczeństwo. Powiem szczerze: niewidzialni nie lubią zabijać bezbronnych. Wyznaczono mnie do konwoju, a nie do plutonu egzekucyjnego!...

— Cóż ja słyszę! — powiedział z oburzeniem adiutant Orlana. — Zdaje się, że zapomniałeś, co mówi Wielki: zniszczenie jest najwyższym celem rozwoju, a wobec tego powszechna wojna i unicestwienie wszystkiego, co żyje, stanowi idealne wcielenie życia.

— Jestem żołnierzem, a nie filozofem. Co innego zniszczyć wroga w walce...

— Rozumiem. Czy wszyscy niewidzialni podzielają wątpliwości swego dowódcy?

Obaj niewidzialni drgnęli i powiedzieli chórem jednakowymi głosami:

— Wykonamy każdy rozkaz. Niech Orlan decyduje.

— Co powiedzą dowódcy głowooków?

Jeden z głowooków pospiesznie zaświecił peryskopem.

— Ze świętym oburzeniem odrzucamy wszelkie wątpliwości. Kiedy Orlan rozkaże, jeńcy zginą natychmiast!

Do rozmowy znów wtrącił się zdenerwowany Gig: — Źle mnie zrozumiano. Unicestwiłbym sam siebie, gdybym podejrzewał się o jakiekolwiek wątpliwości. Moje oddanie Wielkiemu zaprawdę nie ma granic.

— Tak przypuszczałem, Gigu. Prawem starszeństwa decyzja należy do Orlana. Mamy nadzieję, Onanie, że twój rozkaz będzie zgodny z natchnioną, postępową myślą destrukcyjną Wielkiego Niszczyciela.

— Możecie w to nie wątpić. Zdecydowałem, co następuje: przejdziemy jeszcze dwa odcinki drogi według dotychczasowego porządku, aby zachować dusze jeńców jako glebę, w której posiejemy ziarno zwątpienia, i wytrzebimy z niej wszystko co ludzkie — zgodnie z ideą Wielkiego. Jeśli jednak warunki się nie zmienią, jeńców trzeba będzie zabić. Jak to zrealizować? Chciałbym wysłuchać zdania specjalistów wojskowych.

— Należy oddzielić ludzi od skrzydlatych — zaświecił jeden z głowooków. — Bez ludzi skrzydlaci nie są groźni. Nie zapominajcie, że od góry jesteśmy gorzej chronieni, a grawitacja stopniowo słabnie i wkrótce te stwory będą mogły latać.

— Oddzielimy ludzi od skrzydlatych — zadecydował Orlan. — Pozwolimy ludziom usnąć i w czasie snu unicestwimy ich. Po śmierci ludzi pozostali nie będą się bronić.

Poderwałem się gwałtownie. Wokół znów rozpościerała się metalowa równina oświetlona już promieniami czerwonawej gwiazdy. Obok mnie siedział Romero.

— Co się stało, drogi przyjacielu? Czyżby jakiś sen?

— Tak, informacyjny!

— Wolę nazwać go starym słowem — proroczy. Ale przejdźmy na bezpośrednią wymianę myśli. Opowiedziałem mu o wszystkim, czego dowiedziałem się we śnie. Romero zamyślił się.

— Wygląda na to — powiedział po chwili — że wśród wrogów zapanowała niezgoda... Pozwoli pan, admirale, że pomówię o tym z kapitanami statków. Lepiej, abym to zrobił ja, bo nie jestem tak pilnie śledzony.

— Zgoda.

Paweł odszedł, a ja zająłem się Astrem.

— Ani razu nie odzyskał przytomności — powiedziała Mary.

Nic na to nie odparłem. Każde moje słowo mogło tylko pogłębić jej rozpacz. Wkrótce nadszedł Lusin i dopiero wtedy się odezwałem:

— Porozmawiaj z Romerem, ma ci coś do powiedzenia.

— Już — odparł Lusin. — Przygotowujemy się. Wszystko tak się pomiesza, że nikt nie zdoła oddzielić ludzi od Aniołów i skrzydlatych zwierzaków. Resztę powie ci Paweł.

W oddali pokazał się Orlan. Wstałem. Lusin zawołał smoka, ale siedzący w pobliżu Trub krzyknął, że on poniesie chłopca.

— Sam będę niósł syna — uciąłem.

8

Aster nie otworzył oczu, kiedy brałem go na ręce, ale po twarzy przemknęło mu jakieś nieuchwytne drżenie. Oddychał szybko i płytko, serce biło tak silnie, że wyczuwałem rękami jego uderzenia. Stanąłem na czele kolumny i ruszyłem. Za mną szli Mary i Andre.

Z tyłu podszedł do mnie Romero i powiedział szeptem:

— Proszę się nie odwracać, admirale. Zorientuję pana w naszych planach. Kamagin nalega, abyśmy zorganizowali powstanie. Zgadzamy się z nim. Kiedy Orlan rozkaże ludziom oddzielić się od reszty jeńców, rzucimy się na strażników i wybijemy wszystkich, którzy nie przejdą na naszą stronę.

— Jak to sobie wyobrażacie? Bezbronni ludzie nie zdołają pokonać nawet jednego głowooka!

— Myli się pan sądząc, że jesteśmy bezbronni. Kamaginowi udało się załadować na awionetki trochę broni ręcznej: laserów, granatów, iskierników elektrycznych...

— Nasza broń jest bezradna wobec przeklętych niewidzialnych. Oni są najgorsi...

— Najgorsza jest bezczynność. Osima twierdzi zresztą, ie w samobieżnych skrzyniach Zływrogów znajduje się broń. Nie jest wykluczone, że tej broni po zdobyciu skrzyń zdołamy użyć przeciwko Niszczycielom.

— Zbyt wiele tu niewiadomych, Pawle...

— Odmawia pan zgody na rozpoczęcie powstania? — Nic podobnego, zgadzam się! Kto nas poprowadzi?

— Proponujemy Osimę, a na zastępców Petriego i Kamagina. Skrzydlatymi będą dowodzić Lusin i Trub. Atak rozpoczniemy z powietrza, aby zaskoczyć przeciwnika z jego najsłabszej strony.

Romero odszedł. Potknąłem się o bryłę ołowiu i omal nie upuściłem Astra. Mary chwyciła mnie pod rękę.

— Pobladłeś, Eli — powiedziała z niepokojem. Zawołam Lusina.

— Nie trzeba — wymamrotałem. — Dam sobie radę.

Poczułem na ręce czyjeś dotknięcie. To był Andre. Spojrzałem nań i. zrozumiałem, że rozum mu powraca. Oczy miał pełne smutku, lecz przytomne.

— Daj... mnie... — powiedział z trudnością, pokazując na Astra. — Daj... ja...

— Później, Andre — odparłem. — Jeszcze mogę nieść swojego syna, zresztą wkrótce będzie postój.

Tym razem odpoczynek trwał bardzo długo. Orlan gdzieś zniknął i nie wracał. Obok mnie przysiedli kapitanowie statków i Romero. Osima z właściwą mu energią i precyzją przygotowywał akcję zbrojną. Ręczne lasery rozdzielono w czasie posiłku, ja także otrzymałem tę zabawkę. Mówię „zabawkę”, gdyż niewidzialnym nie mogliśmy tą bronią zaszkodzić, a głowooki miały tylko jeden czuły na jej promieniowanie punkt — peryskopy.

— A więc mamy dwie możliwości: albo w nocy, albo jutro rano — powiedział Osima. — Wszystko gotowe, admirale.

— Dobrze — odparłem. — Rozejdźcie się teraz. Pomarańczowa utonęła za horyzontem. Złote niebo poczerniało. Wokół obozu znieruchomiały ognie pełniących wartę Zływrogów. Zostawiłem Astra pod opieką Mary i przeszedłem się po obozie. Ludzie byli przemieszani z pegazami i smokami, tak aby na pierwszy sygnał wskoczyć na ich grzbiety i ruszyć do ataku. Osima i Petri wraz z innymi jeńcami przytwierdzili na bokach smoków skrzynki wypełnione jakimiś nie znanymi mi metalowymi przedmiotami.

— Starożytne granaty ręczne — wyjaśnił Osima. Na pokładzie „Mendelejewa” było ich mnóstwo. Edward część ich zabrał na „Woźnicę”, a później na „Cielca”. Większość granatów wysłano do ziemskich muzeów, ale pozostałe przydadzą się teraz nam. Są bardzo łatwe w użyciu, Kamagin nam pokazał.

Samego Kamagina zastałem u Aniołów. Rozmawiał z Trubem. Przed nimi leżała skrzynka z takimi samymi granatami.

— Laserów Aniołom nie daliśmy — oświadczył Kamagin. — Ten sprzęt im nie odpowiadał, ale za to granaty i iskierniki zostały jakby dla nich stworzone. Trub, spróbuj trafić w tę plamkę.

Trub podniósł coś z gruntu i rzucił w złoty samorodek majaczący w ołowianej skale. Przeraziłem się, że teraz nastąpi wybuch, który zaalarmuje wroga. Anioł jednak użył do ćwiczenia kawałka złota leżącego pod nogami. Miał zadziwiająco celne oko: dwa kawałki metalu zwarły się ze sobą jak zespawane. Rozejrzałem się wokoło i spostrzegłem, iż żaden Anioł nie śpi, wszyscy ćwiczyli się w rzutach. Skrzydlaci zachowywali całkowite milczenie i tylko głuche uderzenia ciskanego metalu zakłócały ciszę.

— Ludzie szyją woreczki na granaty — powiedział Kamagin. — Anioły zawieszą je sobie pod skrzydłami, gdzie będą zupełnie niewidoczne.

W czasie swej wędrówki po obozie natknąłem się niespodziewanie na Orlana. Szedł bez asysty. Pospiesznie cofnąłem się w ciemność nie nawiązując rozmowy. Orlan najwidoczniej również sprawdzał porządek w obozie.

Wróciłem do Mary. Żona spała objąwszy rękami Astra. Syn oddychał, ale bardzo słabo.

„Jutro — pomyślałem zasypiając. — Rano, kiedy grawitacja osłabnie...”

9

Rano Aster umarł.

Obudził mnie krzyk Mary. Poderwałem się i chwyciłem syna na ręce. Już zesztywniał.

Na krzyk Mary zbiegli się ludzie, obok ciężko wylądował Trub. Nadal trzymałem Astra na rękach, ale patrzyłem na żonę. Leżała na ziemi i dławiła się łzami...

— Eli! Eli! — dobiegł mnie szept Andre. — On umarł?

— Tak, umarł — odparłem. — Był o trzy lata młodszy od twojego Olega, Andre.

— Był o trzy lata młodszy od mego Olega — powtórzył cicho Andre wsłuchując się w swoje słowa. Potem wyciągnął ku mnie ręce błagalnym gestem: — Daj mi go, Eli.

Podałem mu ciało syna i klęknąłem obok żony, objąłem ją i zacząłem gładzić po głowie. Nie mogłem jednak wykrztusić żadnego słowa pociechy, gdyż każde zabrzmiałoby fałszywie. Dokoła nas stali w milczeniu ludzie. Mary wreszcie przestała płakać, otarła twarz i wstała.

— Co z nim zrobimy? — spytała zmęczonym głosem. — Tu nie ma nawet gdzie go pochować.

— Będziemy nieść — odparłem. — Będziemy nieść do miejsca, gdzie będzie można wykopać grób, albo dopóty, dopóki sami nie umrzemy.

Dopiero teraz Romero i Lusin zauważyli, że Andre odzyskał zmysły. Ich radość mieszała się ze smutkiem, widziałem uśmiechy szczęścia i łzy rozpaczy, tylko ja nie potrafiłem cieszyć się ani płakać. Chciałem zabrać od Andre ciało Astra, ale Trub mi nie pozwolił. Kiedy Orlan dał rozkaz wymarszu, Anioł z Astrem na skrzyżowanych czarnych skrzydłach zajął wolne miejsce na czele kolumny. Trub niósł ciało syna do postoju, a potem położył obok Mary. Zbliżał się wieczór.

— Proszę oddzielić ludzi od skrzydlatych — powiedział Orlan. — Zmianę szyku rozkazuję przeprowadzić przed nastaniem ciemności.

— Zaraz wydam polecenia! — odparłem spokojnie i poszedłem do swoich.

Tysiące oczu śledziły mnie w napięciu. Wszelki ruch ustał. Nad planetą zapadła cisza. Osima i Kamagin stali wśród pegazów, Trub wznosił się o głowę nad swymi mniej rosłymi pobratymcami, Lusin siedział już na grzbiecie smoka. Wszystko było gotowe do powstania.

— Kazano nam rozdzielić się od skrzydlatych! Pewnie dla naszego dobra — dorzuciłem ironicznie. — Postępujcie zgodnie z planem!

— Za mną! — krzyknął Osima wskakując na pegaza, który natychmiast rozwinął skrzydła.

— Za mną! — krzyknął jak echo Kamagin wzlatując w ślad za nim.

Już w powietrzu rzucił granatem w kierunku Niszczycieli. Rozległ się pierwszy wybuch.

10

Wspominając teraz naszą walkę na Trzeciej Planecie widzę wyraźnie, że jeśli ktokolwiek spodziewał się naszego powstania, to jedynie nasi tajni przyjaciele, wrogowie zaś byli całkowicie zaskoczeni.

Pegazy z ludźmi na grzbietach i Anioły dowodzone przez Truba potężną falą runęły z góry na zdezorientowane głowooki. Dymna ściana wybuchów przesłoniła obóz, a promienie laserów wznieciły słupy ognia. A kiedy do walki włączyły się smoki i błyskawice miotane przez Gromowładnego rozświetliły martwym blaskiem szybko zapadającą ciemność, walka stała się powszechna. Uderzenie oddziału pieszych z Petrim i Romerem na czele, oczyszczającego sobie drogę granatami i laserem, natychmiast przerwało tyralierę głowooków, które zbite w niewielkie grupki walczyły teraz w okrążeniu.

Trzeba im przyznać, że szybko opanowały pierwszy szok i biły się odważnie i skutecznie: na grunt posypały się pegazy i smoki, nie mówiąc już o Aniołach. Rozwścieczone Anioły zbyt szybko pozbyły się ładunku granatów i za bardzo zaufały swoim skrzydłom. W powietrzu wirowały teraz całe chmury czarnych i białych anielich piór. Zostali ranni Trub i Lusin, Petri i Romero, lekko draśnięci Osima i Kamagin, a tylko Andre walczący w największym ścisku cudem nie odniósł szwanku.

Wdrapałem się na ołowianą skałę wznoszącą się nad złotą równiną i spojrzałem na pole walki. Coś mnie niepokoiło. Nie mogłem zrozumieć, czemu tak łatwo zwyciężamy. Przecież dokoła musiało być pełno niewidzialnych, a żaden z nich dotychczas nie wtrącił się do starcia ani po naszej stronie, ani przeciwko nam. Dlaczego?

Nagle usłyszałem znajomy głos, dźwięczący tym razem nie wewnątrz mnie, lecz na zewnątrz, ten sam głos, który wielokroć rozmawiał ze mną w snach. „Eli, na pomoc! Na pomoc — krzyczał głos. — Na pomoc, Eli!” Rzuciłem się w jego kierunku, wiedząc, że wzywa mnie przyjaciel.

Głos nagle się urwał, ale w tej samej chwili dostrzegłem tego, który mnie wołał. Trub wraz z dwoma rozwścieczonymi Aniołami atakował Orlana i jego adiutantów. Adiutanci już padli, Orlan jeszcze się bronił. To on wołał!

W tej samej chwili Niszczyciel zwalił się pod ciosem ciężkiego skrzydła Truba. Rzuciłem się do przodu, upadłem i osłoniłem go własnym ciałem. Ku nam z laserami w rękach biegli Romero i Petri.

— Eli, wstań, zabiję tego złoczyńcę! — wrzeszczał Trub i tak popchnął mnie skrzydłem, że potoczyłem się wraz z Orlanem po ziemi.

Romero chwycił Truba za skrzydła, Petri stanął pomiędzy nami.

— Uspokój się, szaleńcze! — krzyknął Romero. O mało nie zabiłeś sprzymierzeńca!

Nie wiem, co Trub by zrobił, gdyby nagle obok nas nie spadł na ziemię niewidzialny pozbawiony niespodziewanie swego ekranu. To był taki sam przerażający szkielet, jaki widzieliśmy na Sigmie, ale jeszcze żywy, choć bardzo poraniony. Nawet zapalczywy Anioł zrozumiał, że rozpoczęta przez nas walka jest jedynie częścią wielkiego starcia, toczącego się również w przestrzeni niewidzialnej. Machnął więc skrzydłem w kierunku grupki broniących się głowooków i krzyknął do swych pobratymców:

— Za mną! Wykończymy tych drani!

Pomogłem Orlanowi stanąć na nogi. Niszczyciel chwiał się i mówił z wielkim trudem. Anioły nieźle go poturbowały.

Romero przełożył laser do lewej ręki i ceremonialnym gestem wyciągnął ku niemu prawicę.

— Witamy pana w naszym obozie, drogi, choć niespodziewany sojuszniku.

— Sądzę, że moja przyjaźń dla was nie powinna być taką znów niespodzianką — odparł Orlan. — Znamy się przecież z Elim od dawna.

— To byłeś ty, Orlanie? — wykrzyknąłem zdumiony.

— Tak, to byłem ja. Tak bardzo mnie nienawidziłeś, że nieustannie o mnie myślałeś. To ułatwiło zestrojenie naszego promieniowania mózgowego. Ale największym waszym przyjacielem był on — dorzucił z goryczą, wskazując na ciało jednego ze swych adiutantów.

— Zginął w walce — powiedział Petri. — Ale nie wiedzieliśmy, kto z was jest przyjacielem, a kto wrogiem.

— Nie mam do was pretensji — rzekł Orlan swym dawnym, beznamiętnym głosem. — Sami jesteśmy temu winni. Dobrze przygotowaliśmy wybuch powstania, lecz nie zatroszczyliśmy się o swoje bezpieczeństwo. Myśleliśmy jedynie o zwycięskiej walce.

— Dobrze przygotowaliście powstanie? — powtórzył Romero. — Tak, oczywiście... Ale i my coś niecoś zrobiliśmy!

— Niewątpliwie. Ale dość się nadenerwowaliśmy, zanim przyjęliście zasugerowany wam plan. Wasze myślowe rozmowy, z których tak byliście dumni, nie stanowiły dla mnie sekretu. Przekazywałem je Gigowi. Jemu przypadło najtrudniejsze zadanie, gdyż nie wszystkich niewidzialnych udało się przeciągnąć na naszą stronę. Za to Gig nie pozwolił tym, którzy pozostali wiernymi sługami imperium Wielkiego Niszczyciela, pospieszyć z pomocą głowookim i to zdecydowało o sukcesie.

Romero z powątpiewaniem rozejrzał się wokoło. W powietrzu miotały się tylko Anioły. Pegazy i smoki rozpoczęły powietrzną bitwę, lecz nie mogły długo latać przy wysokiej grawitacji.

— Jaka szkoda, szanowny sprzymierzeńcze, że nie możemy oglądać powietrznego... pola walki bohaterskiego Giga.

— Dlaczego? Zaraz się z nim połączę i zobaczycie, co się tam dzieje — odparł Orlan.

Wkrótce widok całkowicie się przeobraził. Bitwa w trzecim wymiarze była znacznie okrutniejsza i bardziej imponująca niż ta, która toczyła się na płaszczyźnie. Niewidzialny zwierał się z Niewidzialnym. Pierwszy już rzut oka wystarczył, aby stwierdzić, że jedna, liczniejsza grupa niewidzialnych żołnierzy, brała górę nad drugą. Wśród zwyciężających dostrzegłem olbrzymiego Giga.

— Wielu jednak przeszło na naszą stronę — powiedziałem do Orlana.

— Wielu. Macie zwolenników już na wszystkich planetach Perseusza. Wielki popełnił brzemienny w skutkach błąd, kiedy pozwolił na transmisję swojej dyskusji z tobą. Poddani Wielkiego wiedzą teraz od was samych, czego po ludziach można się spodziewać.

Pokazałem na głowooki.

— Ale ci nawet nie myślą zdradzić swego władcy. — To są strażnicy wychowani z dala od polityki. Ale ich pobratymcy też się z czasem do nas przyłączą. Zresztą potęga Wielkiego nie na nich się opiera.

Walka dobiegała końca.

Pojedyncze grupki Zływrogów ginęły pod wspólnymi ciosami ludzi, Aniołów i niewidzialnych. Kilku niewidzialnych Anioły konwojowały do centrum obozu, gdzie Osima kazał umieścić jeńców. Tam również odprowadzono głowooki, które zaprzestały sporu.

W pobliżu nas opadł na grunt zmęczony, lecz zadowolony z siebie Gig.

— Grawitatory gonią resztkami, szefie — powiedział, zwracając się do Orlana. — Na tej diabelskiej planecie zużycie energii dziesięciokrotnie przewyższa normę... — Dopiero później obrócił się ku mnie: — Zdaje się, że wśród ludzi przyjęty jest uścisk dłoni, daj więc rękę, admirale.

— Co zrobić z jeńcami? — zapytałem swych nowych przyjaciół, patrząc na ostatnią grupkę głowooków prowadzonych do centrum obozu.

— Unicestwić! — Gig był zwolennikiem radykalnych rozwiązań.

— Jeńcy się przydadzą — powiedział Orlan. — Nie wiemy, co nas czeka na Stacji. Jeżeli trzeba będzie walczyć, głowooki pomnożą nasze siły.

— Oddajcie ich pod moją komendę, a ja już potrafię dać sobie z nimi radę! — zapalił się Gig.

W naszym kierunku szedł Osima z Kamaginem, do których po drodze przyłączyli się Petri i Romero, Lusin, Andre i Trub. Trubowi towarzyszyły jego skrzydlate zastępy. Żaden Anioł nie pominie takiej okazji, jak raport ze zwycięskiej bitwy.

Osima patrzył ze zdumieniem na Orlana i Giga. Romero jeszcze nie zdążył mu o nich opowiedzieć. Przedstawiłem zebranym nowych towarzyszy.

— Jednego z nich widzieliście codziennie i myśleliście, że dobrze go znacie. Istnienia drugiego mogliście się jedynie domyślać. A oni troszczyli się o nasze bezpieczeństwo i pomyślność. Oto Orlan i Gig, nasi przyjaciele, a nawet więcej — zbawcy.

11

Każdy z nas miał dziesiątki pytań, które chciał zadać Gigowi i Orlanowi, kiedy więc jeńców umieszczono pod dobrą strażą, zebraliśmy się na rozmowę.

Orlan nie miał żadnych nowych wiadomości o flocie Allana, bo wszystko przekazał w moich ostatnich snach. Nie wiedział też nic konkretnego o wydarzeniach na Stacji. Awaria jej urządzeń była nam na razie na rękę. Nie można było jednak liczyć na to, że uszkodzenia nie zostaną naprawione. Trzeba więc było iść możliwie szybko w jej kierunku, bo tylko to mogło nas uratować.

Kamagin zaproponował powrót na statek. Za pancerzem gwiazdolotu — powiedział — będziemy bezpieczniejsi niż na gołej równinie. Poza tym na „Cielcu” działają grawitatory, a gdy uda się uruchomić MUK, będziemy mogli wystartować w kosmos i połączyć się ze swoimi.

— To wszystko jest nierealne — zaoponował Orlan. — Nie zdołacie naprawić swojej myślącej maszyny, a nawet gdyby się to wam udało, „Cielec” nie przebije zakrzywionej metryki wokół Pomarańczowej, gdyż moc całej ludzkiej floty do tego nie wystarczy. Wreszcie poza strefą działania stacji grawitacyjnej czyhają krążowniki gwiezdnej flotylli Niszczycieli, tak że wyjścia nie ma.

— A co będzie, jeśli po prostu zamkniemy się na „Cielcu” i poczekamy, aż sytuacja zmieni się na lepsze? — To też nic nie da, bo sytuacja zmienia się na gorsze. Nie powiedziałem jeszcze o jednym niebezpieczeństwie: zabójcze promieniowanie gwiazdy zamkniętej w skorupie zakrzywionej metryki nie rozprzestrzenia się na zewnątrz, lecz kumuluje w niewielkiej stosunkowo przestrzeni ograniczonej tą właśnie skorupą. Wkrótce wszystko nasyci się radiacją i rozpocznie się rozkład: zginie życie, wyparuje powierzchnia planety, a wszystkie urządzenia sztuczne zamienią się w plazmę.

— Miła perspektywa! — wykrzyknął Petri.

— Drogi sprzymierzeńcze — powiedział Romero. — Pańska przepowiednia jest przerażająca. Chyba więc pozostaje nam tylko iść możliwie szybko w kierunku Stacji. Ciekaw jestem, kogo tam spotkamy — wrogów czy przyjaciół?

— Sam bym chciał to wiedzieć — odparł Orlan. Nikt nie ma dokładnych informacji o Stacji Metryki...

— Sformułuję więc pytanie inaczej. Przypuśćmy, że istotnie w urządzeniach Stacji nastąpiła awaria, ale jutro zostaną naprawione. Co nas wtedy czeka?

— Można spróbować pertraktacji z Nadzorcą. Możliwe jest również błyskawiczne unicestwienie nas przez mechanizmy ochronne Stacji bez żadnego uprzedzenia. Można wreszcie spodziewać się napadu automatów obronnych działających w małym promieniu od Stacji. Automaty te są czymś w rodzaju kombinacji organizmów z polami siłowymi i mogą przybierać postać najbardziej odpowiadającą zadaniu, jakie zleci im Nadzorca.

Na zakończenie rozmowy poprosiłem Giga, aby rozkazał swym niewidzialnym zrzucić ekrany ochronne. Wbrew moim obawom bardzo się z tego ucieszył.

— Oto polecenie, które spełniamy z radością! wykrzyknął. — Nie macie pojęcia, jak trudno pozostawać niewidzialnym, gdy generatory krzywizny słabną!

12

Wzięte do niewoli głowooki świeciły bardzo słabo i teraz cały obóz pogrążył się w czarnym niebycie. Nie wiedziałem, gdzie jest Orlam Gig, sprzyjający niewidzialni i głowooki. Napięcie niedawnej walki nie pozwoliło mi usnąć, odszukałem więc przyjaciół i usiadłem z nimi na jakimś występie ołowianej skały.

Milczeliśmy chwilę, a później Romero zwrócił się do Andre.

— Drogi przyjacielu, wielu z nas i ja wśród nich, co ze wstydem przyznaję, uważało, że jesteś martwy, gdyż nic nie wskazywało na to, aby Niszczyciele poznali jakieś ludzkie tajemnice. Wydawało mi się niemożliwe, aby Zływrogi nie mogły z żywego wydobyć ważnych informacji. Ale miał pan szczęście, jeśli szczęściem można nazwać utratę rozumu... O tej możliwości nikt z nas jednak nie pomyślał.

— Sam tę możliwość wynalazłem! Traciłem zmysły świadomie i metodycznie! Z przerażeniem myślałem o torturach, jakie wrogowie będą mi zadawać. Postanowiłem więc popełnić samobójstwo. Pilnowano mnie jednak nieustannie i nic z tego nie wyszło. Wówczas postarałem się uszkodzić swój mózg, przemontować jego schemat nerwowy...

— I wtedy zjawił się koziołek?

— Tak, Eli. Myślałem o koziołku na jawie i we śnie. Na wszelkie bodźce odpowiadał obrazek babcinego koziołka. I z wolna kudłata istota z rogami i kopytami wypełniła wszystkie komórki mózgowe, wyparła z nich wszelką informację poza tą, że jest ona babcinym koziołkiem. Zapadłem w całkowitą myślową pustkę, z której dopiero wy mnie wyciągnęliście! Ale ty nie słuchasz!...

— Przepraszam. Myślałem o pewnym trudnym problemie. Chodzi o to, że uszkodziliśmy nasz pokładowy komputer metodą bardzo zbliżoną do twojej — splątaliśmy jego połączenia wewnętrzne.

— Zabawne! Pozbawiliście maszynę rozsądku i pewnie nie pamiętacie schematu demontażu?

— Obawiam się, że nie, bo Osima i Kamagin działali w pośpiechu.

— Sądzę, że można komputerowi przywrócić sprawność — powiedział Andre. — MUK nie jest bardziej złożony niż mózg ludzki, a mnie udało się go odbudować.

— Czy nie należałoby się przespać? — zaproponował Romero. — Jesteśmy zmęczeni walką, a jutrzejszy dzień też pewnie nie będzie lekki.

Zbudził mnie odgłos kroków. Uniosłem głowę i zobaczyłem Osunę, Orlana i Giga zbliżających się do mnie równym szeregiem.

— Jesteśmy gotowi do wymarszu, admirale — zameldował Osima.

— Rozmawiałem z wziętymi do niewoli głowookami — oświadczył Orlan. — Nadal uznają mnie za swego dowódcę. Sądzę, że nie trzeba ich pilnować. Wystarczy sformować z nich oddzielną grupę marszową.

— A niewidzialni znów są razem! — pochwalił się Gig. — Ci, którzy wczoraj walczyli z nami, jutro będą bić się pod mymi rozkazami.

Poleciłem Gigowi zająć miejsce w środku kolumny przed Aniołami. Niewidzialny z radości tak zagrzechotał swym szkieletokształtnym ciąłem, że stojące w pobliżu pegazy przestraszyły się i poniosły.

— Położyłam Astra na awionetkę — powiedziała Mary. — Nie będziemy go już nieść na rękach.

— Ty również powinnaś wsiąść do awionetki. Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— Czy zapomniałeś o rozkazie admirała? Wytrzymam wszystko, co ty wytrzymasz.

13

Stacja Metryki przypominała wyglądem kopułę lub niskie wzgórze otoczone trzema mniejszymi wzniesieniami. Starożytne twierdze z ich murami obronnymi, fortami i wieżami wyglądały bardziej imponująco.

Stację odkrył Lusin odbywający lot zwiadowczy na Gromowładnym. Wystarczyło mu rozsądku na to, aby zawrócić, gdy tylko ujrzał z daleka niewysokie kopuły, wokół których nic się nie działo.

Natychmiast zwołaliśmy naradę. Uczestniczący w niej Orlan sprzeciwił się marszowi w kierunku Stacji, zanim nie zorientujemy się dokładnie w sytuacji. Wprawdzie Trub nalegał, aby zwiad poruczyć Aniołom, ale zdaniem większości bardziej do tego nadawali się niewidzialni.

— Czy nie moglibyście zaopatrzyć mnie w ekran ochronny? — zapytałem Giga, który miał dowodzić oddziałem. — Chętnie bym wziął udział w waszej wyprawie, choćby na piechotę.

Gig wyjaśnił, że generatory krzywizny dobierane są indywidualnie w odpowiednich warsztatach. Poza tym człowiek jest zbyt słaby, aby wytrzymać błyskawiczne przejście do kokonu zakrzywionej przestrzeni.

— Trudno — powiedziałem. — A co u pana. Osimo?

Osima znalazł w samobieżnych skrzyniach Niszczycieli działa elektromagnetyczne, sprawne i łatwe w obsłudze. Wypróbował je i stwierdził, że mają wielką siłę ognia. Wyrzucane przez nie strumienie ładunku elektrycznego zamieniają w plazmę wszystkie przedmioty znajdujące się na osi strzału.

— Możemy bezzwłocznie rozpocząć ostrzał Stacji — zameldował Osima.

Orlan zmienił się na twarzy. — O co chodzi? — zapytałem.

— Działa elektromagnetyczne są groźną bronią, ale gdy dojdzie do walki, największe nadzieje musimy pokładać w głowookach. Ich zmasowane uderzenia grawitacyjne dadzą lepsze efekty niż salwa elektromagnetyczna. Mamy tylko dwa działa, głowooków zaś jest ponad sto. Wprawdzie nieco osłabły, ale szybko przychodzą do siebie. Sam je poprowadzę do boju.

Rozległ się dziki hałas i grzechotanie. To wracał Gig już na czele oddziału zwiadowców.

— Wybrałem żołnierzy z wyjątkowo precyzyjnymi odczuwaczami — zameldował. — Jesteśmy gotowi do drogi. Czy możemy ruszać?

— Lećcie! — zezwoliłem.

Wiedziałem, że lot niewidzialnych nie jest zbyt szybki i że droga do Stacji i z powrotem zajmie im co najmniej godzinę, tym bardziej że będą musieli kontrolować wskazania swoich odczuwaczy. Muszę tu wyjaśnić, że odczuwacze są czymś w rodzaju narządów zmysłowych działających jedynie w stanie niewidzialności. Odbierają one wszelkie zewnętrzne pola elektryczne, zakłócenia grawitacyjne i strumienie cząstek, przy czym wykrywają je z daleka i w najmniejszym nawet natężeniu. W oczekiwaniu na powrót zwiadowców przekazałem przewodnictwo Osimie i wraz z Romerem i Andre udałem się na szczyt najbliższego wzgórza. Kopuł stamtąd nie było widać, ale można było bez przeszkód obserwować przestrzeń powietrzną nad Stacją.

— Niewidzialni powinni już być nad urządzeniami Stacji — powiedział Andre. — Wygląda na to, że ich nie odkryto, bo nic szczególnego się nie dzieje.

W tej samej chwili w oddali zapłonęło dziesięć ognistych pochodni. Przez jakiś czas pochodnie mknęły siłą rozpędu do przodu, a następnie ostro zawróciły. Przez lornetki dostrzegliśmy, że wewnątrz mknących ku nam ognisk jest pusto.

— Zuch Gig, że nie zrzucił niewidzialności! — wykrzyknął Andre.

Pochodnie przemknęły nad nami i runęły na grunt pośrodku obozu. Do zwiadowców zbliżyły się głowooki i zaczęły zręcznie zbijać z nich płomienie ciosami grawitacyjnymi. Te stwory były świetnymi strażakami!

Dopiero po ugaszeniu ognia zwiadowcy zaczęli pozbywać się swoich niewidzialnych pancerzy. Nikt nie odniósł szwanku.

— Eli, popatrz! — krzyknął Andre. — Na Stacji nic się nie dzieje, nikt nie ściga uciekinierów...

— A po co ich ścigać? Odpędzili i dosyć — odparłem. — Nie chcą nas zabijać, ale puszczać na Stację też nie mają zamiaru.

14

— Wasze odczuwacze źle się spisały — zwróciłem się do Giga, kiedy przyszedł do siebie po wstrząsie. — Póki was nie ogarnął płomień, nawet nie zdawaliście sobie sprawy z niebezpieczeństwa!

— Nie masz racji, admirale! — oburzył się Gig. Poczuliśmy pulsację nieznanych pól, ale się nie wycofaliśmy. Wróciliśmy dlatego, że wykryty zwiadowca staje się tylko żołnierzem, a nie mieliśmy rozkazu rozpoczynać walki...

Niewątpliwie miał nieco racji. Teraz stało się oczywiste, że Stację należy atakować. Nie spieszyłem się jednak z wydaniem rozkazu do szturmu. Postanowiłem zaczekać w nadziei, że jednak zdołamy uzyskać jakieś dokładniejsze informacje o przeciwniku. Poza tym Orlan zażądał tygodnia na podładowanie grawitatorów wyczerpanych poprzednim pochodem i walką głowooków.

Ludzie też nie próżnowali. Osima przestrzeliwał działa grawitacyjne, Anioły ćwiczyły się w użyciu iskierników. Lusin trenował swoich podopiecznych. Ale najwięcej dokonał Andre: zbudował cztery doskonałe analizatory pól siłowych.

— Teraz nawet w wypadku niepowodzenia szturmu dowiemy się wszystkiego o uzbrojeniu przeciwnika, co przyda się nam do następnego ataku — obiecał Andre.

Liczyliśmy teraz nie na zaskoczenie, lecz na siłę naszego uderzenia. Plan ataku wyglądał w skrócie następująco: pośrodku miały iść głowooki wspierane z góry przez niewidzialnych. Na lewym skrzydle Anioły pod dowództwem Truba, na prawym oddział pegazów Kamagina i skrzydlate smoki dowodzone przez Lusina. Oddział lekkiej piechoty zamierzałem na razie trzymać w rezerwie. Osima wraz z samobieżnymi działami elektromagnetycznymi miał walczyć wśród głowooków.

Punkt dowodzenia umieściłem na szczycie wzgórza w pobliżu Stacji. Był tam również Andre ze swymi analizatorami i Romero jako kronikarz wyprawy. W wąwoziku na zboczu wzgórza stało kilka pegazów łącznikowych.

Zgodnie ze starym obyczajem bitwę rozpoczęliśmy o świcie.

— Zaczynajcie! — nadałem przez deszyfrator.

— Na Stacji nic się na razie nie dzieje — zameldował Andre znad analizatorów.

Najpierw ruszyły głowooki. Potężna kolumna niemal dwustu ruchomych twierdz kołyszących wzniesionymi ku górze peryskopami wyglądała bardzo groźnie. Idące na czele dwa samobieżne działa Osimy przypominały dwa tarany przecierające drogę całemu szykowi. Nad głowookami polatywali niewidzialni. Słyszałem w deszyfratorze komendy wydawane przez Giga, ale jego samego oczywiście dostrzec nie mogłem.

Osima wystrzelił salwę, gdy tylko osiągnął dystans skutecznego ognia. Z naszego punktu obserwacyjnego ujrzeliśmy, jak z luf trysnęły dwie ogniste rzeki i pokryły główną kopułę kłębami ognia. Początek był dobry, ale niestety na dobrym początku wszystko się skończyło.

W powietrzu nad atakującą kolumną pojawiło się mnóstwo płomiennych wirów. Z mimowolnym szacunkiem obserwowałem, jak odważnie i spokojnie walczą pozornie niezgrabne głowooki. Aż do nas dobiegały ciężkie tąpnięcia zadawanych przez nie zsynchronizowanych ciosów grawitacyjnych, którymi gasiły szalejące w górze płomienie. Zływrogi tak dobrze broniły swoich dowódców, że ani Orlana, ani Osimy latające pochodnie nawet nie musnęły.

Działa Osimy wystrzeliły drugą salwę, niszcząc dwie małe kopułki, ale pole bitwy ogarnęła nowa fala ognia. Teraz był to jeden wielki płomień, totalna pożoga pokrywająca kolumnę głowooków, Osimę z jego działami, a nawet niewidzialnych żołnierzy Giga. Myślałem już, że cały oddział zostanie unicestwiony, ale wkrótce płomienie zaczęły znów opadać i ujrzeliśmy metodycznie walczące głowooki. Zacząłem nabierać nadziei, że ponownie uda się odeprzeć płomienny kontratak. Ale do walki włączyła się nowa siła. Killta głowooków wywróciło się, a kolumna ściskana niewidzialnymi kleszczami stopniowo zbiła się w niezdolny do oporu tłum. W powietrzu ukazało się w krótkich odstępach czasu kilku rozekranowanych niewidzialnych i bezsilnie runęło w dół.

— Burza jakichś nieznanych pól! — zawołał Andre. — Osima i Orlan wzywają pomocy. Osima nie może zarepetować dział, a głowooki w katastrofalnym tempie tracą grawitację!

Znaleźliśmy się o krok od klęski. W tej sytuacji rozkazałem włączyć do akcji oddziały skrzydlatych i ludzką piechotę.

Z lewej wyprysnęły Anioły uzbrojone w iskierniki i granaty ręczne. Błyskawicznie ogarnął ich zimny, oślepiający płomień, który poza tym nie wyrządzał żadnej szkody. Najwidoczniej był to ogień różny od dotychczas używanego przez wrogów. Anioły leciały więc nadal nie łamiąc szyku, podniosły tylko nieopisany wrzask. Najgłośniej oczywiście ryczał Trub. On też pierwszy dotarł nad pole boju i pierwszy rzucił granat, a następnie uniósł iskiernik do góry. Cały jego oddział postąpił tak samo. Klucz Aniołów leciał prosto na Stację paląc z iskierników na wszystkie strony. Ich atak okazał się w rezultacie zupełnie nieskuteczny, ale był nader widowiskowy.

Później z prawej nad rejon starcia napłynęła skrzydlata konnica Kamagina i Lusin na czele smoków. Dosiadany przez niego Gromowładny wyprzedził swych mniejszych współbraci i z taką furią runął w gęstwę ognia, że miotające się w powietrzu bojowe pochodnie cofnęły się przed nim jak żywe. Z korony smoka tryskały błyskawice. To była dziwna walka: płomienie przeciwko błyskawicom. I zwyciężały błyskawice, gdyż na drodze Gromowładnego ognie szybko gasły.

Łopot skrzydeł anielich, dziki świst smoków, triumfalny charkot Gromowładnego, wściekłe rżenie pegazów i okrzyki bojowe ludzi zlały się w ogłuszającą kakofonię.

— Górą nasi! — powiedziałem odwracając się do Romera. — Pawle, chyba nareszcie zwyciężymy!

— Eli! — wykrzyknął z przestrachem Andre. Spójrz, co się tam dzieje!

Od głównej kopuły mknęły w naszym kierunku trzy skrzydlate eskadry! Anioły dowodzone przez Truba, kawaleria pegazów z Kamaginem na białym koniu i ogniste smoki z wyprzedzającym ich Gromowładnym dosiadanym przez Lusina. Te bliźniacze zastępy były, podobnie jak nasze, spowite w aureole purpurowego, zimnego płomienia, z ich gąszczu tak samo tryskały strugi laserowych wyładowań i błyskawic.

— Fantomy! — zawołał Andre, który już zdołał oprzytomnieć. — Trzeba zawiadomić naszych!...

Ale ostrzeżenia nie były potrzebne. Orlan i Gig szybko zorientowali się, z kim mają do czynienia. Lusin, Kamagin i Trub również nie stracili głowy. Osima wreszcie zarepetował swoje działa i wystrzelił trzecią salwę. Strumienie plazmy runęły na oddziały fantomów siejąc spustoszenie w ich szeregach. Nasi niewidzialni zwarli się z wrogimi zjawami. Nadal nie widziałem Giga, ale po tym, jak stawały dęba fantomy skrzydlatych koni, jak w strachu odskakiwały sztuczne Anioły i walili się na ziemię zjawiskowi ludzie, mogłem sobie wyobrazić zaciętość nowo rozgorzałej walki. I znów przez chwilę miałem nadzieję, że wszystko się jeszcze dobrze dla nas skończy. Ale i tym razem była to nadzieja złudna. Zaraz po tym dwóch Gromowładnych, żywy i sztuczny, zderzyły się ciałami. Sieć purpurowych błyskawic oplotła ich głowy. Jeden ze smoków runął na ziemię. Przeraziłem się, że mógł to być prawdziwy wychowanek Lusina z nim samym na grzbiecie, i z trudem opanowując drżenie głosu poleciłem Andre wydać rozkaz odwrotu.

Wszyscy dowódcy zaczęli wycofywać swoje oddziały. Jedynie Trub rozgorączkowany walką zlekceważył polecenie.

— Natychmiast leć do Truba i wycofaj Anioły z walki, Pawle! — rozkazałem.

Romero wskoczył na pegaza i wkrótce podkomendni Truba zaczęli opuszczać pole boju.

Zszedłem ze wzgórza i udałem się do obozu.

— Mary, wydawało mi się, że Lusin spadł! — powiedziałem do żony. — Gdzie on jest?

— Lusin został lekko ranny, ale z Gromowładnym jest bardzo źle.

Lusin miał obandażowaną głowę i rękę na temblaku. Gromowładny leżał na boku. Był nieprzytomny. Oczy miał zamknięte, a z resztek wspaniałej korony bojowej spływały błękitnawe, przedśmiertne ognie św. Elma.

— Taki przyjaciel, Eli! — wyszeptał Lusin przez łzy. — Taki przyjaciel!

15

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: ponieśliśmy klęskę, ale dowiedzieliśmy się, jakimi siłami dysponuje Stacja. Analizatory Andre rozszyfrowały w trakcie bitwy parametry fizyczne fantomów. Twory te były niemal pozbawione masy i stanowiły nieprzezroczysty dla promieni świetlnych zgęstek promieniowania energetycznego.

— Uprzedzałem przecież, że automaty ochronne składają się głównie z pól siłowych, mogących przybierać dowolną postać — przypomniał Orlan.

— Nie przypuszczaliśmy jednak, że potrafią nas zdublować — powiedział Andre. — Tymczasem okazało się, że przeciwnik ma szybkosprawne analizatory umożliwiające mu poznanie wszystkich szczegółów naszej budowy. W takiej sytuacji sporządzenie identycznych optycznie replik było już łatwym problemem technicznym.

— My niestety nie mamy podobnych możliwości — odparł z westchnieniem Romero. — Pańskie wyjaśnienie, drogi Andre, nic nam więc w tej sytuacji nie pomoże.

— Tak pan sądzi? — zapytał Andre z filuternym uśmiechem. — A ja akurat zamierzam poszczuć na zjawy przeciwnika nasze własne fantomy, może mniej doskonałe konstrukcyjnie, ale za to jeszcze efektowniejsze optycznie.

— Wojna fantomów z fantomami jest niestety operacją pozorną, a my potrzebujemy realnych wyników przypomniał Osima.

— Wyciąga pan zbyt pochopne wnioski. Nasze fantomatyczne wojsko będzie jedynie wybiegiem taktycznym. Póki zjawy przeciwnika będą zajmować się nieskutecznym zwalczaniem naszych zjaw, przygotujemy miażdżące uderzenie.

Aparatura wykazuje, że twory obronne przeciwnika skonstruowane są z dwóch przeciwstawnych sił, nazwijmy je umownie prawym i lewym polem. Fantomy powstają w punkcie zogniskowania tych pól. Działa elektromagnetyczne, lasery, iskierniki i ciosy grawitacyjne rozrywały jedynie te pola, lecz nie niszczyły ich symetrii, przez co główna siła wroga pozostawała nietknięta.

— Znaleźliśmy w obozie generatory — zakończył Andre — zdolne odtworzyć dowolne pole przeciwnika. Kiedy więc wrogie zjawy będą walczyły z naszymi fantomami, a działa Osimy wzmogą jeszcze powszechne zamieszanie, wprowadzimy układ energetyczny przeciwnika w taką autowibrację, iż żadne ograniczniki nie uchronią go od rozpadu.

— Czego potrzebujesz do przygotowania armii zjaw? — zapytałem.

— Dwa dni i z dziesięciu dobrych pomocników. — Zabieraj się do roboty — zdecydowałem.

16

Teraz na moim punkcie dowodzenia zebrało się co najmniej trzydzieści osób, ludzi i sojuszników. Drugie starcie przebiegało całkowicie zgodnie z planem. Kiedy naprzeciw naszych realnych wojsk, wypuszczonych „na wabia”, jak to określił Romero, wyskoczyły zgraje nieprzyjacielskich fantomów, poczułem ogromną ulgę. W powstałym ścisku pojawiały się coraz to nowe postacie. Chociaż wiedziałem, że owi „żołnierze” są jedynie złudzeniem optycznym, nie mogłem ich odróżnić od prawdziwych.

Zgodnie z założeniem nasze wojsko cofnęło się, jak tylko zjawiły się wśród niego fantomy Andre. Dla nie wtajemniczonego obserwatora wyglądało to zapewne inaczej: część naszych żołnierzy nie wytrzymując naporu wroga ucieka w popłochu z pola walki. Stwory przeciwnika uznały widać, że nie warto zajmować się uciekinierami, i ze zdwojoną zaciekłością natarły na pozostałych, to znaczy na zjawy optyczne. Pochłonięty obserwacją tej niby-bitwy nie zauważyłem, kiedy Andre uruchomił generatory, i w pewnej chwili spostrzegłem ze zdumieniem, że fantomy przeciwnika zaczęły puchnąć, tracić wyraźnie zarysy i przekształcać się w sylwetki.

To Andre wzmocnił maksymalnie wszystkie pola o prawej orientacji. Zaskoczony wróg pospiesznie wzmógł poła lewoskrętne, aby utrzymać zachwianą symetrię. Nasz operator jednak precyzyjnie uchwycił ten moment i gwałtownie przerzucił potencjał swych generatorów w tym samym kierunku. Zjawy, które nie zaprzestały walki z naszymi iluzorycznymi tworami, zaczęły teraz opadać, kurczyć się, zmieniać w abstrakcyjne figurki. Tak rozpoczął się wśród nich proces niszczącej autowibracji.

Najpierw wystąpiły drgania w zgodnej fazie: fantomy jednocześnie puchły, rozpływały się i bladły, a potem gwałtownie kurczyły się, koncentrowały i rozżarzały do białości. Później zaczęły się nie skoordynowane, różnokierunkowe wibracje. Przeciwnik próbował zgasić drgania ostrymi przerzutami potencjałów, ale Andre miał się na baczności i spokojnie parował jego poczynania.

Wkrótce jedne z fantomów zaczęły niepomiernie rosnąć, inne zaś gwałtownie malały. Częstotliwość drgań spadała, a ich amplituda osiągnęła niewiarygodną wprost wielkość. Nieuniknionym skutkiem tych żywiołowych autowibracji musiał być wybuch w centrali energetycznej wroga.

Ale zanim jeszcze spodziewana eksplozja rozproszyła nieprzyjacielskie wojsko, staliśmy się nieoczekiwanie świadkami swego rodzaju „wojny domowej” między fantomami. Karlejące zjawy rzuciły się na olbrzymów, olbrzymy z kolei rozprawiały się z karłami. Przez kilka długich minut nad polem bratobójczej walki rozlegały się wrzaski, ryki i piski, które wreszcie utonęły w odgłosie gigantycznego wybuchu.

Nad główną kopułą Stacji pojawił się ogromny słup dymu przesyconego płomieniem spopielającym resztki walczących ze sobą fantomów. Obrona przeciwnika została złamana.

Na niedawne pole boju wysypali się nasi prawdziwi żołnierze. Z dzikim łopotem skrzydeł przemknął oddział Truba wyprzedzający rżącą triumfalnie pegazią kawalerię Kamagina. Nad nimi zaś wesoło grzechotały żywe szkielety Giga, które wyzbyły się już pancerza niewidzialności. Ogniste smoki Lusina też starały się nie pozostawać w tyle.

W ariergardzie atakujących oddziałów toczyła się niczym na jakiejś dziwnej defiladzie żelazna kolumna głowooków Orlan, a po jej bokach biegły dwie grupy ludzi z Osuną i Petrim na czele.

Wskoczyłem na pegaza niecierpliwie przestępującego z nogi na nogę, to samo zrobili Andre i Romero. Skrzydlate konie wzleciały i pomknęliśmy ku rozłupanej, dymiącej kopule, do wnętrza której wtargnęły już nasze lekkie oddziały Aniołów i niewidzialnych.

17

Patrzyłem z odrazą na ujętego Nadzorcę Stacji. Przypominał człowieka, ale straszliwie zeszpeconego. To nie był wynik choroby lub nieszczęśliwego wypadku. Nadzorca został przekonstruowany.

Ten ponad trzymetrowy gigant miał niemal piękną twarz o zimnych oczach patrzących bacznie i ponuro. Ciemne włosy zakrywały mu uszy i szyję. Zamiast nóg miał dwa elastyczne wsporniki zginające się z łatwością w dowolnym punkcie, zamiast rąk takie same, cieńsze nieco i krótsze cylindryczne rury z dziesięcioma przyssawkami na końcu. Miał naturalnie tułów, takiego torsu mógłby mu pozazdrościć Herkules, ale na brzuchu — w szamotaninie zdarto z niego odzież — widniały wmontowane w ciało drzwiczki, za którymi znajdowały się jakieś aparaty, akumulatory i silniki.

Ten człekopodobny stwór był na póły maszyną!

Za plecami Nadzorcy stała z opuszczonymi głowami grupka inżynierów Stacji wziętych do niewoli przy pulpitach sterowniczych i aparatach. Kiedy odciągano ich od maszyn, krzyczeli podobno głosami do złudzenia przypominającymi ludzkie.

Nadzorca, kołysząc się na swych wspornikach, patrzył na nas oczami pełnymi nienawiści. Prześliznął się wzrokiem po mnie, Andre i Romerze. Później spojrzał na Orlana i gwałtownie się przeobraził. Wsporniki wyprostowały się mu tak nagle, że wydało się nam, iż jego ciało wystrzeliło do góry.

— Orlan? Razem z wrogami? — wychrypiał. Naręczny deszyfrator przekładał z łatwością jego słowa na ziemszczyznę.

Orlan postąpił dwa kroki do przodu i bez pośpiechu uniósł głowę.

— Razem tak. Ale nie z wrogami, lecz z przyjaciółmi — powiedział ironicznie.

— Jesteś zdrajcą — rzucił groźnie Nadzorca. Dziwiliśmy się, że zostałeś awansowany i mieliśmy rację. Koniec twój będzie okropny. Przy spotkaniu z Wielkim opowiem mu wszystko.

Wtedy po raz pierwszy zobaczyliśmy, że Niszczyciele potrafią się śmiać.

— Nie mam nic przeciwko temu — powiedział Orlan, kiedy już naśmiał się do woli. — Sami ci to spotkanie wkrótce ułatwimy — w jednym z więzień, gdzie go na wieki zamkniemy. A tymczasem odpowiadaj na pytania, które ci zadadzą ludzie.

Przesłuchanie prowadził Romero, który najpierw zwrócił się do Orlana:

— Drogi sojuszniku, czy pan wiedział, że na Stacji pracują człekopodobni?

— Wiedziałem tylko o jednym z nich — Nadzorcy. Jego kandydaturę przedstawiono do akceptacji samemu Wielkiemu i wtedy go poznałem. Przedtem wiedziałem jedynie, że jest potomkiem wziętych do niewoli Galaktów przekonstruowanym do wykonywania prac szczególnie w tajnych.

— A te istoty również są potomkami Galaktów? spytał Paweł wskazując inżynierów Stacji.

— Chyba tak, ale dokładniejszych informacji może udzielić Nadzorca.

— Wszyscy słudzy Stacji są potomkami jeńców odparł Nadzorca. — Wszyscy jesteśmy istotami żywymi, zrodzonymi i śmiertelnymi, wszystkich nas w swoim czasie przekonstruowano.

— To znaczy, że nie ma między wami żadnych różnic?

— Są ogromne różnice rang, określające nasze miejsce w hierarchii. Jedni z nas mogą być zreprodukowani w drodze łączenia osobników różnopłciowych, inni nie. Ja jestem istotą kategorii najwyższej, której nie da się stworzyć prymitywnymi metodami biologicznymi. Po pierwotnym akcie narodzin indywidualnych dopracowywano mnie na taśmie produkcyjnej, póki nie osiągnąłem doskonałości. Ale ci pustogłowi — wskazał macką na inżynierów Stacji — pozostali od chwili swych wulgarnych narodzin zwykłymi idiotami.

— Czemu przezywasz swych podwładnych pustogłowymi? — zapytał Romero.

— To nie przezwisko, lecz klasyfikacja. Inżynierom wyjęto własne mózgi i na ich miejsce zainstalowano czujniki łączności z Głównym Mózgiem Stacji.

Mnie natomiast mózg pozostawiono, abym mógł nadzorować Główny Mózg. Jestem Nadzorcą Pierwszej Kategorii Imperialnej z funkcją kontroli Głównego Mózgu Stacji.

— Główny Mózg Stacji całkowicie ci podlega?

— Powinien podlegać, ale czasami zdarzają się awarie. Główny Mózg jest wszak tylko automatem biologicznym o plebejskim pochodzeniu naturalnym. Wyjęto mózg dziecka, rozwinięto go sztucznie w pożywce...

— O jakie awarie chodzi? — kontynuował Romero. — No cóż... Zwyczajne awarie. Bywają rzeczy gorsze od uszkodzeń. W trakcie wojny z Galaktami jeden z poprzedników tutejszego Mózgu zbuntował się i Galaktowie omal nie zdobyli Trzeciej Planety. Od tej pory każdy z sześciu Głównych Mózgów otrzymuje Nadzorcę arystokratycznej, taśmowej produkcji. Główny Mózg jest mym niewolnikiem. W razie nieposłuszeństwa zniszczę go natychmiast.

— Tutejszy Główny Mózg funkcjonuje prawidłowo?

— Gdyby funkcjonował prawidłowo, was by tu nie było. Lądowanie waszego statku nie było zaprogramowane, nie mówiąc już o zdobyciu Stacji.

— Dlaczego więc nie zniszczyłeś Mózgu?

— Nieposłuszeństwa nie stwierdziłem. Wszystkie moje rozkazy wykonywał bez oporu. Sam kontrolowałem polecenia, które wydawał wykonawcom. Był mi posłuszny aż do chwili wybuchu, kiedy straciłem z nim kontakt.

— Ale nie udało ci się go zniszczyć?

— Nie udało się. Najwidoczniej zostały uszkodzone aparaty wykonawcze. Zakłócenia zdarzały się i przedtem. Odkomenderowano mnie tu dlatego, że poprzedni Nadzorca zameldował o nagłym osłabieniu kontaktu z Mózgiem.

— Moim zdaniem, admirale — zwrócił się do mnie Romero — z tym bałwanem nie ma sensu rozmawiać. Wolałbym przejść do pomieszczeń Głównego Mózgu Stacji.

18

Ledwie przekroczyłem próg, wykrzyknąłem ze zdumienia. Przeczuwałem, że czeka mnie jakaś niespodzianka, i przygotowywałem się do niej, ale to, co ujrzałem, przekraczało wszelkie wyobrażenia.

W pomieszczeniu, do którego teraz weszliśmy, bywałem już wielokrotnie w moich snach.

To była galaktyczna sterówka Niszczycieli. Na wysokiej, niknącej w mroku kopule widniały ciemne teraz ekrany, ale pamiętałem je rozjarzone gwiazdami i światłami okrętów. To właśnie tutaj obserwowałem z zamarłym sercem, jak flota Allana szturmuje nieeuklidesowe zapory Perseusza...

Pośrodku sali, między podłogą a sufitem, unosiła się półprzezroczysta kula. Wówczas, w swoich proroczych majakach, panicznie bałem się zbliżyć, a teraz ciągnęło mnie ku niej, ale nogi nie chciały mnie słuchać, bo wewnątrz kuli pływał w płynie odżywczym Główny Mózg Stacji...

Nie wiem, jak długo stałbym tak w progu zagradzając wszystkim przejście, gdyby w pomieszczeniu nie rozległ się Głos.

— Wejdźcie ludzie i przyjaciele ludzi! — mówił Głos w tak nienagannej ziemszczyźnie, że jedynie Romero mógł z nim konkurować pod względem słownictwa i dykcji. — Długo na was czekałem i wreszcie przyszliście! Cieszę się, że tu jesteś, admirale Eli! — kontynuował Głos. — Jestem szczęśliwy, że zwyciężyliście!...

— Jeśli cieszysz się z naszego zwycięstwa — odparłem zdławionym ze wzruszenia głosem — czemu nie pomagałeś nam w odniesieniu tego zwycięstwa?

— Mylisz się — odparł Głos tonem delikatnego wyrzutu — pomagałem wam nieustannie.

Spojrzałem w zmieszaniu na swych towarzyszy. Wyglądali na równie oszołomionych jak ja. Podziałało to na mnie uspokajająco i poprawiłem się już bez drżenia w głosie:

— Chciałem powiedzieć: czemu nie otworzyłeś nam drzwi Stacji bez krwawych starć z fantomami?

— Zapomniałeś o Nadzorcy. Ten dureń kontrolował każde moje polecenie. Musiałem więc szukać sposobów niedostępnych jego móżdżkowi.

Z wolna przychodziłem do siebie. Przestałem się gorączkować i zadawałem przemyślane pytania.

— Nazwałeś mnie po imieniu... Pewnie wszystkich nas doskonale znasz?

— Tak, znam was. Twojego sekretarza, Romera, i trzech kapitanów, Osimę, Petriego i Kamagina. Znam dobrego Lusina i ciebie, biedna Mary, która straciłaś jedynego syna — starałem się go uratować, ale nie zdołałem... Ciebie też znam, mądry Orlanie. Często odwiedzałem cię, budziłem wątpliwości i sugerowałem plany postępowania. Ty, odważny Gigu, również się ze mną spotykałeś, od chwili lądowania na Trzeciej Planecie pracowaliśmy na tej samej fali mózgowej. Do ciebie, bohaterski Trubie, zwracałem się nieraz twoim własnym głosem, chociaż nie bardzo się przysłuchiwałeś swojemu głosowi. Z tobą także rozmawiałem, błyskotliwy Andre, który tak umiejętnie pozbawiłeś się zmysłów... Razem z twoimi przyjaciółmi starałem się pomóc ci wydostać się z otchłani szaleństwa. Wszyscy jesteście mymi znajomymi i przyjaciółmi od chwili, gdy zamknąłem waszym statkom wyjście z Perseusza. Ale najbliższy jest mi Eli, którego potężne promieniowanie mózgowe wcześniej od innych fal ludzkich dotarło do mych czułych receptorów i któremu, jako jedynemu z was, otwarcie zjawiałem się w snach.

— Powiedziałeś: „zamknąłem wyjście”... Czemuś to uczynił? — zapytałem z wyrzutem.

— A czyż dążyliście do Perseusza tylko po to, aby natychmiast z niego uciekać? Chcieliście wszak dowiedzieć się, co się dzieje w naszym skupisku, stworzyłem wam więc możliwość urzeczywistnienia tego zamiaru. A teraz oddaję w wasze ręce najpotężniejszą z twierdz wroga. Czy to mało?...

Zawstydziłem się. Zjawienie się Głosu było zbyt nieoczekiwane, abym mógł od razu ocenić wszystkie wynikające z tego skutki. Jednak po chwili opanowały mnie wątpliwości. Czy przypadkiem nie zetknęliśmy się z nową imitacją? Fantomy na Trzeciej Planecie powstawały zbyt łatwo, aby wykluczyć jeszcze jedną iluzję, tym razem akustyczną. Podstęp wroga był równie prawdopodobny, jak i pomoc przyjaciela. Poprosiłem więc:

— Opowiedz, co nowego wydarzyło się na granicach Perseusza.

— Kiedy odgradzałem gwiazdoloty konwoju od „Cielca”, flota ludzka pokonała już pierwszą linię zapór. Jednak droga do wnętrza skupiska nie jest łatwa, gdyż lukę wytworzoną wskutek mojego przejścia na waszą stronę zlikwidowały inne Stacje Metryki. Niestety pięć pozostałych Głównych Mózgów nadal wiernie służy Niszczycielom. Są równi mi potęgą, lecz mają inne zamiłowania. — Co przez to rozumiesz?

— Oni są wykonawcami, ja zaś — marzycielem. — Marzycielem?! A o czym ty marzysz?...

— O wszystkim, co pochłania moją wyobraźnię. Pięciu moich współbraci pracuje, następnie wypoczywa. Ja marzę i to jest moim głównym zajęciem, bo pracę, kierowanie Stacją, traktuję jako odpoczynek... Poza tym tęsknię. Tęsknota jest jedną z form mego istnienia.

— Nie odpowiedziałeś mi na pytanie...

— Odpowiedziałem, że marzę o wszystkim.

— Nie rozumiem tego. Ludzkie marzenia są ukierunkowane, dotyczą rzeczy możliwych do spełnienia, jeśli nie zaraz, to chociażby za sto lat... Nasze marzenia są zapowiedzią dokonań. A twoje?

— Moje marzenia są zupełnie inne, gdyż nigdy ich nie będę mógł spełnić... Zastępując mi działanie, są nieustanną tęsknotą do działania, które nie jest mi dane.

— O jakie konkretnie działanie ci chodzi, Mózgu? Zwierz się nam ze swych smutków.

— Czy mnie zrozumiecie? Jesteście swobodni, ja jestem niewolnikiem. Wszechpotężnym, ale niewolnikiem. Żaden z was nigdy tego nie pojmie!

— Czemu? Przecież niedawno byliśmy jeńcami!

— Byliście w niewoli tylko czasowo, wiedzieliście, że prędzej czy później niewola się skończy. A ja do końca swoich dni pozostanę w więzieniu. Pomyśl tylko, Eli! Więzienie od narodzin do śmierci! Więzienie jako naturalna forma życia, więzienie, z którego tylko śmierć może wyzwolić!

— Rozumiem. Marzysz tylko o wolności!

— O wszystkim! O wszystkim, co znajduje się poza mną! O wszystkim, co jest mi niedostępne! O wszystkim na świecie! O całym Wszechświecie!

Zamilkłem, nie wiedząc, co mogę jeszcze powiedzieć. Wyręczyła mnie Mary.

— Opowiedz o swoim życiu, Mózgu — poprosiła. — Nazwałeś nas swymi przyjaciółmi i nie omyliłeś się, wszyscy ci serdecznie współczujemy...

19

Namyślał się, być może się wahał. Nie zdawał się przekonany, że wypada tak bardzo się przed nami obnażać. Był naszym przyjacielem, ale jeszcze się nie przekonał, że my tę przyjaźń odwzajemniamy. Wreszcie przemówił...

Nie był wieczny, lecz bardzo według ziemskich pojęć wiekowy. Od pierwszego przebłysku świadomości pamiętał siebie oddzielonego od ciała. Niewątpliwie został poczęty w organizmie jakiegoś rodzica, pewnie jeńca-Galakta, mógł więc zostać mózgiem jakiegoś dziecka tego plemienia, ale skazano go na samodzielne istnienie, zanim jeszcze zjawiła się świadomość. Od początku też specjalizowano go w kierowaniu Stacją Metryki na Trzeciej Planecie. Zawsze był tu i zawsze był samotny. Nie pamięta swoich nauczycieli, choć sądzi, że musiał ich mieć. Przypuszczał, iż „tresowano” go impulsami doprowadzanymi bezpośrednio do tkanki nerwowej. Chciano go uczynić myślącym automatem, ale nie udało im się to, choć nie uważano go za gorszego od pięciu innych Głównych Mózgów strzegących bezpieczeństwa Imperium Niszczycieli. Ale w odróżnieniu od nich nie tylko się uczył, lecz także indywidualizował.

W miarę narastania zaprogramowanej wiedzy rodziły się też nieprzewidziane pragnienia. Im głębiej przenikał w świat, tym tragiczniej od tego świata się oddzielał. Zrozumiał, co mu zabrano, zabierając ciało... Mógł przesuwać gwiazdy i planety, ale nie był zdolny nawet o milimetr przenieść samego siebie!

Zaczął więc marzyć. Odwiedzał miejsca, których nigdy nie będzie mu dane zobaczyć, stawał się tym, kim nigdy stać się nie mógł. Był Galaktem i Niszczycielem, Aniołem z Hiad i sześcioskrzydłym świerszczem z Plejad, smokiem i ptakiem, rybą i zwierzęciem, zamieniał się nawet w roślinę... Bawił się, weselił, hasał w cudzej, na wieki niedostępnej postaci. Znał wszystkie formy życia w swym rejonie gwiezdnym!

Pogrążony w swoje dwoiste istnienie był już przekonany, że zestarzeje się nie zaznawszy prawdziwej młodości, gdy do Perseusza wtargnął obcy gwiazdolot — pierwszy posłaniec ludzkości — i jego sąsiad, Główny Mózg z Drugiej Planety, próbował zatrzymać statek i nie zdołał tego uczynić.

Mózg na Trzeciej triumfował: życie nie kończyło się na Perseuszu, gdzieś daleko pojawiła się potęga większa od potęgi Niszczycieli, o czym świadczyła unicestwiona Złota Planeta. Przy czym ludzie, bo tak nazywali się w swych depeszach odbieranych przez wszystkie Główne Mózgi, ofiarowali pomoc wszystkim uciśnionym, chcieli budować, a nie niszczyć!

I kiedy trzy ludzkie gwiazdoloty znów przeniknęły do labiryntu Perseusza, Mózg na Trzeciej Planecie zamknąwszy im drogę odwrotu nie pozwolił ich jednak unicestwić. Nie dopuścił. do nierównej walki całej flotylli z „Cielcem”, a później rozproszył tę flotyllę, gdy konwojował „Cielca” ku miejscu zagłady w głębi skupiska gwiezdnego.

W ten sposób pierwsze istoty żywe — nie automaty biologiczne, lecz ludzie i ich sojusznicy — zstąpiły bezkarnie na zakazaną planetę. Tak wyglądała owa sławetna „awaria na Trzeciej”.

Mózg zakończył swą spowiedź głębokim westchnieniem... Wszyscy milczeli, a ja zastanawiałem się, jak pomóc Głównemu Mózgowi Stacji Metryki na Trzeciej Planecie. Po chwili zwróciłem się do niego:

— Cierpisz nad swą bezcielesnością, ale gdybyś nagle zyskał jakieś ciało, stałbyś się zwyczajną żywą istotą i straciłbyś wiele ze swych obecnych możliwości... Wprawdzie i teraz nie jesteś wieczny, ale wtedy zawisłoby nad tobą widmo szybkiej, nieuchronnej śmierci. Odczuwałbyś nie tylko radość, ale także cierpienia. Pomyślałeś o tym? Zdecydowałbyś się na zamianę potęgi na słabość?

— Na cóż mi potęga, skoro nie mam życia? — odparł ze smutkiem.

Obróciłem się do Lusina:

— Gromowładny zdaje się jeszcze żyje?

— Umrze — odpowiedział Lusin. — Dziś. Nie ma ratunku. Mózg uszkodzony.

— Świetnie! To znaczy żal mi biednego smoka... Ale powiedz, czy mógłbyś zrobić Gromowładnemu transplantację innego mózgu — żywego, zdrowego — i w ten sposób uratować twego wychowanka od śmierci?

— Naturalnie. Prosta operacja. Trudniejsze robiłem.

— Słyszałeś? — zwróciłem się do Głosu. — Oto świetna okazja uzyskania ciała. Najpierw otworzysz nam przestrzeń, pomożesz naprawić statek i nauczysz posługiwać się mechanizmami Stacji... Ale o tym wszystkim porozmawiamy później. Teraz odpowiedz tylko, czy się zgadzasz.

— Tak! Tak! Tak!

— Wobec tego gratuluję ci przekształcenia się z władcy przestrzeni i gwiazd w zwykłego myślącego smoka imieniem Gromowładny.

— Na to się nie zgadzam! — zaoponował nagle Głos, a nikt zrazu nie zorientował się, o co mu chodzi.

— Na co się nie zgadzasz? — spytałem ze zdumieniem.

— Na imię. Już dawno wymarzyłem sobie inne...

— Słuchamy cię więc. Jakie?...

— Od dzisiaj nazywać się będę Włóczęga!...

## 7. Finał

1

Byłem nieustępliwy, choć Romero w swoim raporcie często wyrzucał mi później nieostrożność. Tęskniący do ciała Mózg narzekał na mój brak serca, ale nie ugiąłem się przed jego prośbami. Najpierw pomożesz nam — powiedziałem — a dopiero wtedy damy ci obiecane ciało.

— Powiedz, coście zrobili z komputerem pokładowym? — zwrócił się do mnie Andre wkrótce po zdobyciu Stacji. — Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, że dopóki nie mamy dobrze działającej maszyny informacyjnej, uwolnienie Mózgu jest równoznaczne z samobójstwem? Chyba że sam zamierzasz zająć miejsce Głównego Mózgu...

Niczego podobnego nie zamierzałem, wierzyłem jednak, że Andre potrafi odbudować MUK.

— Mózg ci w tym pomoże — powiedziałem. — Ale jak dotrzeć do statku? Podróże piesze na tej planecie nie należą do przyjemności.

— Zrobimy inaczej — odparł Andre. — MUK przywieziemy tu awionetką, te pojazdy mają rezerwę mocy, którą potrafię odblokować. Zrekonstruowany komputer powtórnie zainstalujemy na statku, a Główny Mózg Stacji ja sam zastąpię. Dublować mnie będą Kamagin i Petri. Co ty na to?

— Czy potraficie zastąpić Mózg?

— Chyba tak. On sam zbadał naszą trójkę. Mnie zaaprobował od razu, natomiast Kamagin i Petri będą musieli jeszcze nieco potrenować... Zresztą funkcje Mózgu nie są zbyt skomplikowane. Wiem, wiem, co powiesz! Ale zapomniałeś o inżynierach z obsługi. To świetne automaty, które same wykonują większość czynności, ich pracę trzeba tylko skoordynować.

Wybuch na Stacji spowodował raczej wstrząs psychologiczny, a nie realne szkody. Takiego urządzenia jak Stacja Metryki w ogóle nie sposób zniszczyć, chyba że razem z całą planetą.

Domyślaliśmy się, że cała Trzecia Planeta jest sztucznym mechanizmem, przypominającym w jakimś stopniu naszą Orę. Ale nikt z nas nawet nie przypuszczał, że jej urządzenia mogą być tak gigantyczne. Teraz, kiedy wędrowałem i latałem po wewnętrznych pomieszczeniach planety, naiwne wydawały mi się moje zachwyty nad doskonałością Plutona. Prawdziwą doskonałość — doskonałość zła — dopiero tu zobaczyłem! A jednak wystarczył niewielki wstrząs, by ta doskonałość służąca złu zachwiała się i runęła...

2

Zwijanie przestrzeni w nieeuklidesową spiralę było niemal dziełem jednej chwili, natomiast jej powrotne rozkręcanie było procesem żmudnym i długotrwałym.

Andre już drugi tydzień z rzędu siedział przy pulpicie sterowniczym umieszczonym pod zawieszoną w powietrzu kulą, w której nadal spoczywał Mózg, i samodzielnie wydawał rozkazy operatorom. Zgrał się z nimi doskonale, współpraca układała się nawet lepiej niż Mózgowi, bo nie było przeszkadzającego we wszystkim tępego Nadzorcy.

Zmiany metryki cofały się powoli, lecz nieustannie i stopniowo wydostawaliśmy się w otwarty kosmos rozdzierając ścianki sztucznego kokonu przestrzennego... Wreszcie po kolejnym zachodzie Pomarańczowej nastała prawdziwa noc. Na niebie słabo zapłonęły gwiazdy, pierwsze gwiazdy od czasu naszego lądowania na Trzeciej!

Na szczęście w owej chwili powszechnej radości ani Andre, ani Mózg nie utracili jasności myśli.

— Przestrzeń dokoła Trzeciej jest czysta — powiedział Andre do osób znajdujących się w sterówce, a zebrali się w niej niemal wszyscy. — Ale o dziesięć parseków widać gwałtowny ruch jakichś statków.

— Tam koncentruje się flota gwiezdna Niszczycieli — wyjaśnił Mózg. — Muszę skomunikować się z Mózgami na pozostałych Stacjach Metryki, aby zorientować się w sytuacji. Oczywiście nic im nie powiem o zmianach, jakie tutaj zaszły.

Nawiązanie łączności i systematyzowanie informacji zajęło kilka dni. Wtedy zwołałem naradę dowódców i poprosiłem Mózg o dane.

— Flota Allana nadal atakuje zapory przestrzenne, ale posuwa się naprzód bardzo wolno. W rejonie szturmu koncentrują się krążowniki Niszczycieli. Statki Galaktów w przestrzeni międzygwiezdnej Perseusza nie pojawiły się ani razu. Niszczyciele na razie nie mają czasu się nimi zajmować. Nie wiem, czy istotnie wierzą, że mamy tu tylko trudności techniczne, ale bezpośredni atak na planetę nie grozi. W gorszej natomiast sytuacji jest Allan. Wkrótce runie ostatnia zapora nieeuklidesowa i statki ludzi rzucą się w głąb Perseusza. Wielki Niszczyciel planuje gigantyczne starcie. Ludzie w takim gąszczu statków nie będą mogli swobodnie używać anihilatorów, aby nie zniszczyć własnych okrętów, natomiast działa grawitacyjne biją bardzo celnie. Nie mogę wykluczyć pełnego wzajemnego unicestwienia się przeciwników. Sądzę zresztą, że stratedzy Niszczycieli dążą właśnie do tego.

— Już dawno opracowano plan unicestwienia zamieszkanych planet Imperium w wypadku, gdyby nie udało się ich obronić. Wielki Niszczyciel ma dość środków do wytrzebienia życia w całym Perseuszu — powiedział Orlan.

— Na gwiazdach Galaktów również?

— Z wyjątkiem gwiazd Galaktów, i tu kryje się jedyna możliwość pokrzyżowania planów Wielkiego Niszczyciela. Trzeba poprosić Galaktów o pomoc.

— Czy można nawiązać łączność z Galaktami korzystając z twoich urządzeń, Mózgu? — zapytałem.

— Naturalnie, najbliższe ich gwiazdy znajdują się o niecałe cztery parseki stąd — odparł. — Mogę ich zawiadomić o tym, co się tu stało. Ale nie wiem, czy Galaktowie uwierzą. Boją się nas i nienawidzą, gdyż planety obronne zostały zbudowane umyślnie do walki z ich działami biologicznymi. Mój poprzednik na Trzeciej skutecznie zwracał przeciwko Galaktom śmiertelne promieniowanie ich własnej broni...

Po naradzie Mózg zapytał mnie, jak długo jeszcze przyjdzie mu czekać na ciało. Gromowładny umarł i został zakonserwowany, a Włóczęga nie może się urodzić!

— Lusin jeszcze dzisiaj przeprowadzi operację odparłem po chwili wahania. — Ale stawiam jeden warunek: w swojej nowej postaci będziesz codziennie przez co najmniej trzy godziny pomagał naszym operatorom w kierowaniu mechanizmami Stacji!

3

Romero w swojej kronice szczegółowo opisuje „przebudzenie” komputera pokładowego, który z kolei ożywił wszystkie urządzenia „Cielca”, omawia też z detalami naszą ponowną przeprowadzkę na gwiazdolot, nie będę więc tego wszystkiego tu powtarzał.

Nie będę też wracał do tego, jak nawiązaliśmy łączność z Galaktami, którzy nie od razu uwierzyli, iż potężna kosmiczna twierdza Zływrogów przestała im zagrażać, i dopiero po długich namowach zgodzili się wpuścić nasz gwiazdolot na kontrolowane przez siebie tereny kosmosu, uprzedzając jednakże, iż w razie jakiegokolwiek oszustwa spotka nas kara...

— Ufff!... — westchnęła Mary z ulgą, kiedy Romero wysłał Galaktom odpowiedź zawierającą zgodę na ich warunki. — Ależ te tajemnicze istoty są wystraszone!

— Wkrótce nabiorą odwagi — odparłem. — Zaraz do nich wyruszamy. Poradź, kogo mam ze sobą zabrać. — Oczywiście mnie — odrzekła. — Co zaś do pozostałych, to zdecyduj sam, aby Romero nie rozgłosił później, że siedzisz u żony pod pantoflem. A więc kogo?

— Romera i Osunę koniecznie. Również Orlana i Giga. Może Lusina z Trubem, parę pegazów i smoków... — Gromowładnego też?

— Masz na myśli Włóczęgę? Jego zostawimy na planecie. Widziałaś go w nowej postaci?

— Widziałam, jest bardzo zabawny. Nie wiem tylko, kto przesadził: ty obdarzając go ciałem, czy on korzystając z tego podarunku.

W wolnej chwili odwiedziłem Lusina. Poleciałem do niego na pegazie razem z Trubem, który chciał mi towarzyszyć. Zapytałem go, jak mu się podoba odrodzony smok.

— Sam zobaczysz — odparł tajemniczo.

Smok unosił się w powietrzu tak wysoko, że ani pegaz, ani Anioł nie mogli do niego dotrzeć.

Zeskoczyłem z konia na ołowianym pagórku, obok przysiadł Trub. Pegaz biegał po złotej równinie, bezskutecznie starając się wypatrzeć na niej coś jadalnego. Włóczęga zobaczywszy nas pomknął w dół i wylądował w pobliżu.

Odrodzony smok wyglądał znacznie bardziej imponująco niż poprzedni.

— Doskonała robota — pochwaliłem Lusina. Bardzo efektowne zwierzę.

— Nowy gatunek — promieniał Lusin. — Zwrot w historii. Porozmawiaj z nim.

— Porozmawiać ze smokiem? — zdziwiłem się. Ależ on mi nie może odpowiedzieć!

— Spróbuj — nalegał Lusin.

— Witaj, Gromowładny! — powiedziałem. — Wydaje mi się, że nieźle czujesz się w nowej skórze.

Smok odpowiedział ludzkim głosem. Gdybym nie widział, jak rozwiera paszczękę, byłbym przysiągł, że mówi jakiś ukryty w pobliżu człowiek.

— Nie nazywam się Gromowładny!

— Przepraszam cię, Włóczęgo! Zapomiałem... No więc, jak się czujesz? Nigdzie cię... Chciałem spytać, czy wnętrze czaszki jest dość obszerne?

— Nigdzie mnie nie uwiera, jeśli ci o to chodzi! zaśmiał się. — Zobacz zresztą sam. Siadaj mi na grzbiet, przewiozę cię.

Lusin przywołał pegaza. Trub leciał z tyłu.

Smok gnał jak rakieta, nie machając skrzydłami, a jedynie skręcając i rozwijając wężowym ruchem całe ciało. Zatoczyliśmy wielki krąg i wracaliśmy już do miejsca startu, gdy Włóczęga nagle radośnie coś krzyknął i podwoił prędkość. Gdyby Trub nie zdołał mnie pochwycić w powietrzu, z pewnością rozbiłbym się o metalową powierzchnię planety.

— Wściekł się czy co? — spytałem Lusina, kiedy już nieco ochłonąłem z przerażenia.

— Miłość — odparł Lusin. — Zadziwiające uczucie.

— Zgadzam się, że miłość jest zadziwiającym uczuciem — rzuciłem poirytowanym głosem. — Ale to wcale nie znaczy, że ja muszę z tego powodu cierpieć.

Z dalszych wyjaśnień zrozumiałem, że w stadzie Lusina są cztery smoczyce, a Włóczęga poczuł się prawdziwym mężczyzną, odpędził pozostałe smoki i umizga się do czterech „pań” równocześnie. Szczególnymi jego względami cieszy się biała smoczyca, najmłodsza i najbardziej kokieteryjna ze wszystkich. To właśnie za tą albinoską popędził teraz Włóczęga na nic nie zważając.

— Miłość. Okropne, niezrozumiałe uczucie — zakończył Lusin.

4

Czytelników interesujących się szczegółami lotu do Galaktów odsyłam również do raportu Romera. Ja natomiast rozpocznę opowieść od momentu, kiedy przywódca oczekującego nas w pół drogi statku Galaktów zaproponował mi przejście na jego pokład.

Do planetolotu wsiedliśmy we czworo: Romero, Mary, Lusin i ja. Orlam i Giga nie zabraliśmy ze sobą, z czego byli chyba zadowoleni, gdyż nie bardzo kwapili się do spotkania z Galaktami.

Na ekranie planetolotu wyrastała zielonkawa kula podobna do krążowników Niszczycieli, ale znacznie od nich mniejsza. Spadaliśmy na gwiazdolot jak na planetę, lecz zanim uderzyliśmy o jego powierzchnię, w poszyciu ukazał się otwór tunelu, do którego zostaliśmy płynnie wciągnięci. Sposób cumowania przypominał przyjęty na naszych statkach i oczekiwaliśmy, że wkrótce znajdziemy się na placu postojowym dla lekkich pojazdów kosmicznych. Ale nic podobnego nie nastąpiło. Ogarnęła nas kompletna ciemność, zgasły również wszystkie światła wewnątrz planetolotu. Rozległ się nieznany ludzki głos, dobitnie wymawiający poszczególne słowa.

— Nie bójcie się. Wykryliśmy u was trzy procent sztuczności. Zostaniecie uwolnieni, jak tylko poznamy charakter tej sztuczności.

— Byłoby prościej spytać nas samych o tę sztuczność — stuknął laską Romero. — Ja na przykład poza ośmioma zębami, dwoma stawami i trzema syntetycznymi ścięgnami, wymienionymi jeszcze w młodości, nic sztucznego w sobie nie mam.

— Wcale nie prościej — zaoponował ten sam głos. — Wielu form swojej sztuczności nawet się nie domyślacie.

— Ja mam syntetyczne płuca — mruknął ponurym głosem Lusin. — Spadłem z pegaza. W Himalajach. Stare płuca zamarzły.

— Na Ziemi kosmonauci również przechodzą kwarantannę — kontynuował Romero — ale tam obawiają się bakterii, a nie sztuczności.

— Sztuczność jest niebezpieczniejsza od bakterii znów zabrzmiał głos — ale wasza nie jest groźna. Możecie wychodzić, przyjaciele.

Zapłonęło światło. Szeroko rozlany, radosny blask prysnął do wnętrza przez iluminatory. Za przezroczystym pancerzem okien rozpościerała się wielka równina: łąki, zagajniki, niewysokie pagórki, strumienie i rzeki biegnące aż po horyzont. Nad brzegami rzek, na skraju lasów wznosiły się domy. Jedne z nich przypominały wysmukłe wieże, inne znów niskie żywopłoty, wewnątrz których dostrzegliśmy ogrody pełne kwiatów i owocowych drzew. W powietrzu unosiły się jaskrawe ptaki i wężokształtne zwierzęta podobne do latających pochodni. Nad równiną, budynkami i latającymi stworzeniami rozpościerało się błękitne niebo.

— Doskonała iluzja — powiedział Romero. Znacznie doskonalsze od naszych stereowizerunków. Nie wyobrażam sobie jednak, jak można wyjść na tę zjawiskową scenę.

— Wychodźcie, przyjaciele. Czekamy na was — rozległ się głos.

Otworzyłem pokrywę luku i wyszedłem na zewnątrz. Planetolot stał na łące. Wokół tłoczyli się Galaktowie, do złudzenia przypominający tych, których widzieliśmy na obrazach Altairczyków i na rzeźbach z Sigmy. Zeskoczyłem na grunt i znalazłem się w objęciach jednego z gospodarzy.

5

Siedzieliśmy na trawie nad brzegiem rzeczki: czterech Ziemian i dziesięciu Galaktów ubranych w kolorowe stroje. Czułem się doskonale, ale nie mogłem wyzbyć się wrażenia, że znów nawiedził mnie jakiś nierealny sen.

— No, dobrze, mili gospodarze — powiedział Romero. — Znaleźliśmy się w królestwie nieprawdopodobieństw, które stały się już powszechne. Jeśli chcieliście nas zadziwić, udało się to wam w zupełności.

— Wcale nie chcieliśmy was zaskakiwać i nie ma w tym żadnych cudów — zaprzeczył jeden z Gałaktów, którego imię brzmiało Tigran. — Galaktowie uważają cud, to znaczy odchylenie od powszechnych praw natury, za przestępstwo, chociaż każdy z nas potrafi tworzyć cuda. Dzieciom, oczywiście, pozwalamy na to, ale młodocianych Galaktów jest niewielu.

— A czy ten doskonały stereowizerunek jest dziełem dzieci? — zapytał Romero.

— To nie jest iluzja, znajdujesz się w realnej przestrzeni.

— W realnej? — zmarszczył brwi Paweł. — Nie jestem aż tak naiwny. Wasz gwiazdolot ma najwyżej kilometr średnicy, a tutaj do horyzontu jest co najmniej dwadzieścia pięć...

— Za horyzontem są też łąki i lasy, dalej morze, później znów las i rzeki, znów łąki... Ile masz wzrostu?

Około dwóch i pół tysięcznych kilometra? No to obwód wyniesie około dwóch tysięcy kilometrów, licząc według twojej miary.

— A więc planetę o obwodzie dwóch tysięcy kilometrów, czyli sześciuset kilometrów średnicy, zmieściliście w kuli o średnicy niepełnego kilometra? I chcecie, abym uwierzył, że to nie iluzja i cud?

— A jednak ani cud, ani iluzja. W miarę waszej wędrówki w głąb gwiazdolotu odpowiednie urządzenia redukowały rozmiary waszych tkanek. Niestety nie potrafimy jeszcze zmniejszać proporcjonalnie organizmów żywych i ciał nieożywionych. To właśnie, choć nie to głównie, było przyczyną naszego zaniepokojenia obecnością elementów sztucznych w waszych ciałach. Baliśmy się, aby was niechcący nie zniekształcić.

— Powiedział pan, że ewentualne zniekształcenia naszych ciał nie były główną przyczyną waszego zaniepokojenia. Dlaczego nasze sztuczne tkanki tak was przeraziły?

— Galaktowie nie mają tajemnic, ale aby odpowiedzieć na to pytanie muszę opowiedzieć o smutnych wydarzeniach, które rozbiły Perseusza na dwa wrogie obozy. Właśnie problem, czy należy zwiększyć, czy też zmniejszyć stopień sztuczności istot żywych doprowadził do wojny między Galaktami i Niszczycielami. Podnoszenie procentu elementów sztucznych w organizmie dawno już uznaliśmy za zło. Jest to zbyt łatwa droga tworzenia, a my najsurowiej zakazaliśmy sobie korzystania z łatwych dróg.

Wyjaśnienie Tigrana wywołało krótkotrwałą ciszę. Później odezwała się Mary:

— Piękno rozległego kraju zmieściliście na swoim stateczku! Ludzie na razie nie potrafią tego...

— O, tego was bardzo prędko nauczymy! — wykrzyknął inny z Galaktów.

Mary podziękowała mu uśmiechem i zakończyła:

— Ale zastanawiam się, czy to jest w ogóle potrzebne? Dla ludzi surowość warunków bytowych na statkach kosmicznych stanowi jedną z atrakcji zawodu astronauty. Nasi konstruktorzy wcale nie zamierzają dawać załogom gwiazdolotów wszystkich ziemskich wygód, absolutnego zabezpieczenia przed możliwymi niebezpieczeństwami... My to nazywamy romantyką dalekich podróży.

Galaktowie spojrzeli na siebie znacząco, jestem pewien, że stwierdzenie Mary wydało im się nietaktowne. Głos odpowiadającego jej Tigrana zabrzmiał jednak równie przyjaźnie jak poprzednio:

— Nasze obyczaje można by w skrócie przedstawić następująco: każdy ma prawo żądać tego, czego społeczeństwo jako całość może mu dostarczyć. I na odwrót: nikogo nie można pozbawiać tego, z czego korzysta chociażby jeden z członków społeczeństwa. Dlatego też mamy obowiązek zapewnić załodze statku dalekiego zasięgu takie same wygody, z jakich korzystają Galaktowie pozostający na miejscu. W przeciwnym wypadku zostałaby zachwiana zasada równouprawnienia podróżnicy żyliby inaczej niż mieszkańcy planet. Niestety nie potrafimy w pełni zrealizować tej zasady i piękna kraina zawarta w naszym statku, która tak was zachwyciła, jest o wiele uboższa od przyrody naszych planet. Z tej niedoskonałości naszej cywilizacji wypływa wiele smutnych wniosków.

— Nie należy wysyłać Galaktów w kosmos, gdyż na statkach nie może być im tak wygodnie jak na planetach? — ironicznie podpowiedziała Mary.

— Tak, musimy rezygnować z wielu wypraw — potwierdził Tigran, z niezmiennie uprzejmym uśmiechem.

I znów rozmową zawładnął Romero.

— Powiedział pan, równouprawnienie. U nas również jest równouprawnienie społeczne, w znaczeniu zapewnienia każdemu zaspokojenia jego podstawowych potrzeb: wyżywienia, mieszkania, nauki, pracy... Ale nie gwarantujemy każdemu, że pokocha go właśnie ta, którą on pokocha. O to już dany osobnik sam musi się starać. Tu społeczeństwo mu nie pomoże.

— Tak, miłość — powiedział Galakt kręcąc głową. Miłość indywidualna to trudny problem. Okropnie nieobiektywne uczucie. Zdajemy sobie sprawę z istnienia niesprawiedliwego uczucia zakłócającego doskonałość zasady równouprawnienia, ale na razie nie potrafimy go zwalczyć. Zresztą szukamy rozwiązania tego odwiecznego problemu i mam nadzieję, że wkrótce nam się to uda.

— No, dobrze, zostawmy na razie miłość w spokoju — Romero nie dawał za wygraną. — Mówił pan o załogach gwiazdolotów... Skoro są załogi, to muszą być chyba i dowódcy?... Dowódca najprawdopodobniej wydaje rozkazy, które jego podwładni muszą wykonywać. Sam zaś natomiast rozkazów członków załogi nie wykonuje? Nieprawdaż, mili gospodarze?

Tigran pokręcił głową.

— U nas nie ma dowódców. Gwiazdolotem dowodzimy wspólnie. Jego mechanizmy wykonawcze dostrojone są do naszych fal mózgowych i reagują na naszą wspólną wolę.

— Ale jeżeli zdarzą się różnice zdań?...

— Załogę kompletuje się z osobników o zbliżonych charakterach, reagujących podobnie nawet na nadzwyczajne wydarzenia.

Teraz nawet Romero nie wiedział, co powiedzieć. Galakt zwrócił się do mnie:

— Tylko ty nie odezwałeś się nawet słowem, dlaczego?

— Słuchałem waszej rozmowy.

— Nie masz żadnych pytań? — Co najmniej z setkę.

— A więc słuchamy cię.

— Chciałbym się dowiedzieć, co wam wiadomo o Ramirach i jak zaczęła się wojna pomiędzy Galaktami i Niszczycielami. Wbrew własnej woli zostaliśmy wplątani w walkę z Niszczycielami i już chociażby dlatego uważamy was za swych naturalnych sprzymierzeńców...

Galaktowie znów wymienili spojrzenia. Tigran najwidoczniej uzyskał zgodę towarzyszy na poinformowanie nas o początkach wojny w Perseuszu.

— Opowieść będzie długa — uprzedził.

Usiedliśmy wygodnie na trawie. Woda cicho szemrała, prawdziwa woda, a nie trujące roztwory soli niklowych jak na planetach Niszczycieli. Tak samo jak na Ziemi szumiały pobliskie drzewa. W tym sielankowym, uroczym miejscu Tigran snuł ponurą opowieść o tysiącleciach straszliwych zmagań.

6

Galaktowie niewiele wiedzieli o Ramirach. Zachowały się jedynie niejasne legendy. Ten dziwny naród gospodarzył w skupiskach Perseusza jeszcze przed zjawieniem się Galaktów lub też na początku ich cywilizacji. Nie zachowały się dane ani o sposobie życia tych istot, ani o ich wyglądzie. Znikły także ślady ich działalności, jeśli pominąć same planety. Chodzi o to, że gwiazdy Perseusza są wyposażone w znacznie większą liczbę planet niż słońca w innych okolicach kosmosu. „Wyposażone”. Tak właśnie wyraził się Galakt. W Perseuszu jest wiele gwiazd obieganych przez dziesięć do piętnastu satelitów. Legenda przypisuje tę obfitość planet działalności Ramirów, którzy rzekomo lepili te ciała niebieskie z zagęszczanej przestrzeni. Możliwe, że i same skupiska Perseusza powstały również z zagęszczenia przestrzeni pomiędzy oddalonymi gwiazdami. Ramirowie przenieśli się później do jądra Galaktyki, a opustoszałe planety Perseusza zostały opanowane przez Galaktów.

— Chyba także przez Niszczycieli? — zapytał Romero.

— Perseusz należał wyłącznie do Galaktów, bowiem Niszczycieli, a właściwie Serwów, stworzyliśmy dopiero potem.

— Niszczyciele są waszym dziełem?

— Tak, stworzyliśmy, a ściślej mówiąc wyprodukowaliśmy ich. Popełniliśmy jednak pewien błąd. Niszczyciele — to początkowo były mechanizmy. Ale nasi konstruktorzy stale je doskonalili. Każda nowa generacja Serwów zawierała coraz mniej elementów mechanicznych. Zastępowano je stopniowo składnikami biologicznymi. Żywa tkanka jest urządzeniem najsprawniejszym energetycznie. Zwiększenie ilości tkanek organicznych było więc koniecznością, a nie zachcianką.

Jak się już chyba zorientowaliście, Serwy były rodzajem robotów. Obdarzono je rozumem i zdolnością do reprodukcji. Pozbawiono jednak płci. Chciano wyzwolić je spod wpływu nieobiektywnego uczucia miłości. Uczucia, które zniekształca realny obraz świata. — Nie przewidziano jednak, że spowoduje to rozwój samouwielbienia, które w jeszcze większym stopniu skrzywia właściwe proporcje. Zamierzano stworzyć doskonałość, a wyprodukowano potworki.

W epoce, w której kontynuowano doskonalenie Serwów, ta nie zaprojektowana cecha była jeszcze utajona. Serwy zbierały same pochwały: mądre, pracowite, szybko reprodukujące się, doskonali rachmistrzowie, świetni eksperymentatorzy i znakomici konstruktorzy.

Ale w miarę tego, jak z pokolenia na pokolenie zwiększał się stopień ich biologiczności, stawało się oczywiste, że dla Serwa istnieje tylko jeden obiekt zachwytu on sam. Samouwielbienie ze wstydliwego, ukrywanego uczucia przekształciło się w jedyną zasadę, na jakiej opierały one wzajemne stosunki. Egoizm podniesiony do godności systemu filozoficznego.

Kiedy zorientowano się, jak daleko zaszły zmiany w psychice Serwów, próbowano oddziaływać na nie perswazją. Bez skutku. Uznano wreszcie, że charakterologiczne skrzywienie Serwów zostało wywołane dwoistością ich natury, łączącej w sobie martwe i żywe, naturalne i sztuczne. Wtedy też wydano prawo zakazujące umieszczania sztucznych narządów w organizmie żywych. Od tej chwili nowe Serwy miano tworzyć wyłącznie z tkanki żywej, a istniejące już całkowicie zbiologizować.

Ale Serwy nie czekały na przekonstruowanie. Rozpoczęły się ich masowe ucieczki z planet Galaktów. Operacja była sprytnie przygotowana. Kolonie Serwów przenosiły się na nie zamieszkałe planety pod pozorem zagospodarowania ich. Galaktowie cieszyli się, iż życie zrodzone w ich systemie gwiezdnym szybko rozprzestrzenia się na wszystkie słońca Perseusza. Poza tym bez Serwów żyło się znacznie łatwiej. Kiedy pojęto rozmiary klęski, było już za późno.

W międzygwiezdnych przestrzeniach Perseusza wybuchła niszczycielska wojna. Najokropniejsze było to, że Serwy przekształciwszy się w Zływrogów i Niszczycieli nie tylko wywalczały sobie miejsce pod gwiazdami, lecz głosiły ideę unicestwiania wszystkiego, co Galaktowie uważali za najważniejsze i starali się rozpowszechnić we Wszechświecie.

Galaktowie starają się pomóc w rozwoju wszystkim istotom rozumnym, które spotykają w swoich podróżach kosmicznych. Pomagają organizmom żywym podnieść stopień komplikacji biologicznej. Niszczyciele natomiast obniżają biologiczność organizmów zamieniając stopniowo istoty żywe w maszyny. Etap za etapem zastępują rodzących się mechanizmami wyprodukowanymi taśmowo.

— Wy ożywiacie mechanizmy, oni mechanizują organizmy — powiedział Romero. — Ludzie natomiast mają własną drogę rozwojową: pozostawiamy mechanizmy mechanizmami, zaś istoty żywe żywymi.

Nasze maszyny pomagają nam, a nie stają się naszymi wrogami. Nie staramy się przekształcić maszyn w biologiczne doskonałe urządzenia uniwersalne, zwiększamy natomiast niepomiernie ich wyspecjalizowane możliwości.

— Nie znam waszej historii — przyznał się Galakt. Ale że jesteście od nas potężniejsi, pojęliśmy natychmiast, gdy tylko zjawiliście się w Perseuszu.

Zapytałem, w jakim stadium jest obecnie wojna Galaktów z Niszczycielami. Tigran odparł, że Zływrogi władają niepodzielnie przestrzeniami międzygwiezdnymi, Galaktowie natomiast są całkowicie bezpieczni na swoich planetach.

Galaktowie wynaleźli broń niszczącą wszystko co żywe. Niszczyciele, którzy nie zdołali się jeszcze w pełni zmechanizować, śmiertelnie się jej lękają i praktycznie pozostawili Galaktów w spokoju.

— Ale perspektywa? — nalegałem. — Zostawili was w spokoju, a wy co? Zgadzacie się na ich złowrogą działalność w kosmosie?

— Nie zgadzamy się, ale cóż mamy robić? Przejąć niszczycielską filozofię Serwów? Przejść do unicestwienia, ponieważ nie udało się ich wychować? To nie dla nas. Poza tym starcia w kosmosie doprowadzą do śmierci wielu Galaktów.

— Co to znaczy doprowadzą do śmierci? — pogardliwie wycedził Romero. — Czyżby u siebie w domu nie umierali? A może jedna forma śmierci jest dla was do przyjęcia, a druga nie?

— Na naszych planetach jesteśmy nieśmiertelni. Ale już chyba was zmęczyliśmy, drodzy goście. Później porozmawiamy.

— Muszę połączyć się z „Cielcem” — powiedziałem wstając. — Jeśli mnie teraz nie usłyszą, pomyślą, że jesteśmy uwięzieni.

7

Dom, który oddano nam do dyspozycji, przypominał wewnątrz ziemskie hotele, a malowniczy krajobraz za oknami pogłębiał jeszcze wrażenie swojskości.

— Twardy orzech — powiedział zatroskanym głosem Romero, kiedy zostaliśmy sami. — Teraz już rozumiem, czemu oni nie przyszli z pomocą naszym gwiazdolotom. Obawiam się, że zarażeni są manią izolacjonizmu, jak to nazywano w starożytności.

— Nieśmiertelność na planetach. Śmiertelni w kosmosie. Dlatego — wymamrotał Lusin.

— Moim zdaniem ważne jest to, że są naszymi przyjaciółmi, a nie wrogami — wtrąciłem.

— To i dawniej było oczywiste — zaoponował Romero. Był gotów wciągnąć mnie do nowej dyskusji, ale ja nie miałem na nią ochoty.

— Coś mi się w Galaktach nie podoba — powiedziała Mary, kiedy zostaliśmy sami. — Są bosko piękni, mądrzy, uprzejmi i ubrani tak, że oczu nie można oderwać...

— Zamierzałaś mówić, co ci się w nich nie podoba, a zamiast tego wszystko chwalisz.

— Nie wszystko. W ich obecności czuję skrępowanie, niemal wrogość.

— Przecież Tigran patrzył na ciebie z takim zachwytem, że byłem o niego prawie zazdrosny!...

Przekomarzaliśmy się tak. starając się zagłuszyć żartami opanowujący nas niepokój. Gdybyśmy byli tylko zwykłymi ludźmi, którzy przypadkowo złożyli wizytę Galaktom, takie odwiedziny mogłyby nam sprawić jedynie radość. Ale chcieliśmy zmusić gospodarzy do działania, a to nie było proste.

Leżąc w wannie myślałem jedynie o tym zadaniu. Nigdy jeszcze nie brałem tak doskonałej kąpieli. W wannie była oczywiście woda, ale woda świetnie spreparowana, pieszcząca i podniecająca, uspokajająca i dająca radość. Wspaniała woda — pomyślałem z niechęcią.

— Wiesz — powiedziałem do Mary po wyjściu z łazienki — jeżeli przywyknąć do ich wygód, to życie w kosmosie może istotnie wydawać się ogromnym wyrzeczeniem. — Tak, kąpiel była znakomita — zgodziła się żona. W naszej sypialni stało wielkie lustro. Po naciśnięciu guzika zamieniało się ono w ekran, na którym można było oglądać programy rozrywkowe lub wizerunek gwiezdnego nieba.

Najpierw obejrzeliśmy sobie krajobrazy zamieszkanych planet, wygodnych, luksusowo urządzonych, później przywołałem obraz sfery gwiezdnej. Wśród gwiazd Perseusza połyskiwał czerwonym światłem „Cielec” oświetlony reflektorami znajdującego się opodal statku Galaktów...

— Wiem, że to głupie z mojej strony — powiedziałem — ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że tajemnicza broń biologiczna wycelowana jest teraz w „Cielca” i że jakiś Galakt siedzi w tej chwili przy pulpicie z palcem na przycisku spustowym...

8

Długo szliśmy kursem na Płomienistą, jedną z tych „nieaktywnych gwiazd”, które w czasie wyprawy „Pożeracza Przestrzeni” nawiązały z nami łączność. Był to olbrzym klasy B, obiegany przez czternaście planet różnych co do wielkości, niejednakowych pod względem klimatu, ale identycznie zagospodarowanych, monotonnie doskonałych...

Za orbitami planet obiegały gwiazdę asteroidy o średnicy od stu do ośmiuset kilometrów. Było ich tysiące, tworzyły zamkniętą sferę ochraniającą cały układ planetarny od wtargnięcia z zewnątrz...

Towarzyszący nam Tigran powiedział, że przycumujemy do jednego z asteroidów.

— Kolejna dezynfekcja? — zapytał Romero.

— Nie tylko. Polecono mi zapoznać was z naszymi kosmicznymi urządzeniami bojowymi.

Na asteroidzie oczekiwali już nas ubrani w skafandry Osima, Trub, Orlan i Gig, którzy wcześniej zeszli z pokładu „Cielca”, my natomiast musieliśmy strawić wiele godzin na ponowne „wyrośnięcie” do normalnych rozmiarów, stąd opóźnienie.

Galaktowie powitali Osunę i Truba z całą serdecznością. Niszczycieli natomiast potraktowali uprzejmie, lecz chłodno. Nie było w tym nic dziwnego: nie da się od razu usunąć ze świadomości tysiącleci strachu i wrogości.

Asteroid oblatywaliśmy w zabawnym urządzeniu przypominającym skrzydlatego wieloryba, raczej istotę żywą niż maszynę. Po wejściu do kabiny nie mogliśmy się oprzeć wrażeniu, że znaleźliśmy się w czyichś wnętrznościach.

W gigantycznej, jasnej pieczarze, do której nas wprowadzono, ujrzeliśmy jezioro, dziwne jezioro, bo pokryte przezroczystą, grubościenną kopułą, już na pierwszy rzut oka sprawiającą wrażenie tak masywnej i mocnej, iż żadna siła nie potrafiłaby jej przebić. Pod kopułą wściekle kipiała mlecznobiała masa. Nad powierzchnią mlecznego płynu wystrzelały żółtawe jęzory, bijące nieustannie o kopułę.

— Co to jest? — zapytałem Tigrana.

Tigran odparł tonem bardzo uroczystym, tak uroczystym, że nawet uśmiech znikł na chwilę z jego twarzy: — Widzicie najpotężniejszą broń biologiczną w naszym rejonie gwiezdnym. Dwa tysiące podobnych dział ochrania planety układu przed napadem z zewnątrz. Przez kilka minut wpatrywaliśmy się w milczeniu w rozszalałe jezioro. Coraz bardziej przypominało mi ono żywą istotę zamkniętą w kamiennej klatce. Tigran wyjaśnił nam, że jezioro jest istotnie żywą istotą, ogromnym zgęstkiem plazmy wypełniającym całe jądro asteroidu. Pokazano nam jedynie znikomą jego część, maleńkie „oczko”, przykryte ochronną kopułą. Pozostała część istoty znajduje się w wielokilometrowej głębi. Chociaż ta istota, broń biologiczna, pozbawiona jest rozumu w naszym pojmowaniu tego słowa, ma jednak kapryśny i złośliwy charakter. Nie tylko trzeba ją doskonale karmić — substancje odżywcze dostarczane są z planet wewnętrznych — lecz także obłaskawiać odpowiednim nagrzewaniem, specjalnym napromieniowaniem i łaskoczącymi wyładowaniami elektrycznymi. Produktem działalności życiowej jądra jest radiacja błyskawicznie unicestwiająca wszystko co żywe.

Kopuły, podobne do tej, którą nam pokazano, znajdują się w różnych miejscach asteroidu. Wobec tego krążownik wroga, atakujący z dowolnego kierunku, znajdzie się zavysze na osi strzału. W odpowiedniej chwili sklepienie pieczary otwiera się, tarcza ochronna zmienia swą strukturę molekularną i strumień zabójczego promieniowania tryska na zewnątrz, zabijając wszystko na swojej drodze.

— Po jakimś czasie nie uwolniona radiacja gromadzi się wewnątrz jądra — powiedział Romero. — Czy nie odbija się to na działalności życiowej plazmy?

Romero dotknął bolesnego punktu. Zabójczego promieniowania nie wolno wypuszczać na ślepo, gdyż w kosmosie ono nie zanika i wędruje dopóty, dopóki nie natrafi na jakieś ciało materialne. Stanowi zatem ciągłe zagrożenie dla wszelkiego życia. Z drugiej zaś strony żywe jądro asteroidu pochłaniając własne promieniowanie ulega częściowemu samozniszczeniu. Zachodzi równoczesny rozpad starych i synteza nowych komórek. Obserwowana przez nas burza na powierzchni jeziora jest zewnętrznym wyrazem tych reakcji. Co jakiś czas jądro słabnie i gaśnie, a następnie synteza bierze górę nad rozpadem i „broń” znów ożywa.

— A jeżeli wróg zbliży się właśnie w okresie, gdy działalność jądra zamiera?

— Okresy spadku aktywności są przesunięte w czasie na różnych asteroidach. Co najmniej połowa jąder jest w danej chwili aktywna. Zresztą periodyczne przygasanie jest konieczne do samoregulacji jądra. Jeśliby plazma swobodnie wydzielała swą radiację, jej komórki wkrótce rozsadziłyby cały asteroid. Im szybciej następują po sobie okresy wygasania i pełnej aktywności jądra, tym bardziej jest ono niezawodne.

— Czy wasze statki kosmiczne są wyposażone w broń biologiczną?

Wyraźnie było widać, że Tigran wolałby nie odpowiadać na to pytanie. Ale Galaktowie nie umieją kłamać. Jeżeli nie uda im się zbyć pytania milczeniem, mówią prawdę.

— Mamy, ale są to działa o mocy znacznie mniejszej.

Poza żywym jądrem nie było na asteroidzie nic ciekawego. Galaktowie zaprowadzili nas do pomieszczeń mieszkalnych i zaproponowali odpoczynek. Kiedy nasi przewodnicy odeszli już, zaczęła się dyskusja.

Rozpoczął, jak zwykle, Romero.

— Dziwię się — powiedział — że Galaktowie dysponując bronią absolutną, nie uzyskali przewagi w tej walce. Zgodzi się pan, drogi Orlanie, że wasze statki są znacznie słabiej uzbrojone. Zarówno wasze ciosy grawitacyjne, jak ich promieniowanie biologiczne rozchodzą się z prędkością światła. Ale fala grawitacyjna słabnie proporcjonalnie do kwadratu odległości, natomiast wiązka radiacji Galaktów praktycznie rzecz biorąc nie rozprasza się i nie znika. Na dalekich dystansach krążownik Galaktów zawsze weźmie górę nad okrętami Niszczycieli.

Orlan odpowiedział tak beznamiętnie, że jego spokój mógł uchodzić za ironię:

— Zapominasz, Romero, że nasz gwiazdolot może uskoczyć przed wąskim promieniem, zaś statek Galaktów zawsze znajdzie się w polu działania, choćby osłabionej, ale zawsze niebezpiecznej fali grawitacyjnej.

Broń biologiczna nie bardzo nadaje się do walki manewrowej.

— Ale jeśli walka manewrowa — nie poddawał się Romero — nie mogła przynieść zwycięstwa Galaktom, to czemu nie zaatakowali oni waszych układów planetarnych, chociażby Trzeciej Planety? Nie potraficie przecież odsunąć jej w bok, a trajektorię strumienia radiacyjnego można obliczyć z dokładnością do kilometra?

— Właśnie po to, aby uniknąć tego niebezpieczeństwa, zbudowaliśmy sześć Stacji Metryki.

Orlan opowiedział dalej o przebiegu ostatniego wielkiego starcia Galaktów z Niszczycielami. Galaktowie zaatakowali jedną stację Metryki, ale stacja zwinęła przestrzeń w swoim rejonie i wystrzelony w jej kierunku strumień promieniowania biologicznego odbiła z powrotem na planety przeciwnika. Od tej pory Galaktowie całkowicie zrezygnowali z walki o panowanie w skupisku gwiezdnym.

— Namawiałeś nas, Orlanie — powiedziałem z wyrzutem — abyśmy zwrócili się do Galaktów o pomoc, a teraz mówisz, że ich broń biologiczna nie jest skuteczna w walce.

— To zależy od tego, w jakiej walce, Eli. W strefie szturmu ziemskiej flotylli nasze krążowniki będą miały ograniczone pole manewru. Przecież jeżeli ratując się przed promieniami broni biologicznej rozpierzchną się we wszystkich kierunkach, to chyba to też was urządzi, prawda?

Wokół globu krążyły dwa księżyce. Opuściliśmy gwiazdolot na satelicie zewnętrznym i przesiedliśmy się do planetolotu. Po wylądowaniu na planecie na próżno szukaliśmy jakichkolwiek osiedli. Same lasy. Niezwykłe, ogromne puszcze.

— Oczy mnie już bolą od blasku tych drzew — powiedziała Mary.

— Drzewa zastępują w nocy światło gwiazdy-wyjaśnił Tigran. — A czyż wasze planety są inaczej oświetlone?

Uprzejmie wysłuchał odpowiedzi. Jestem jednak pewien, że nasze lampy i reflektory, samoświecące ściany i sufity wydały mu się dzikim barbarzyństwem. Zobaczyliśmy później, że w każdym pomieszczeniu Galaktów stoi niewielkie drzewko oświetlające pokój i odświeżające powietrze.

Wreszcie wśród gęstego lasu pojawiła się polanka, nasz aerobus pomknął w tamtą stronę.

Na rozległym placyku oczekiwali nas mieszkańcy. Nie będę opisywał powitania, gdyż wszyscy mogli oglądać je na stereoekranach. Wspomnę tylko o naszym zdumieniu, gdy wśród tłumu witających zobaczyliśmy nie tylko Galaktów. Dokoła tłoczyły się Anioły, sześcioskrzydłe świerszcze z mądrymi, ludzkimi twarzami, piękni Weganie. Zacząłem już obawiać się, iż wypuszczono na nas zgraję fantomów, powtarzających utrwalone w naszych mózgach wizerunki, ale potem dojrzałem wiele istot tak dziwacznych, że nikt by nie potrafił ich wymyślić.

Przechodziliśmy z rąk do rąk, ze skrzydeł do skrzydeł. I radośni ludzie, i niezmiennie spokojny Orlan, i podniecony Trub, i hałaśliwy Gig — wszyscy otrzymali swoją porcję uścisków i czułości.

Kiedy ucichł już zamęt pierwszego powitania, wraz z całym placem polecieliśmy gdzieś w dół i znaleźliśmy się w parku, pośród którego rozpościerało się miasto.

Było i podobne do naszych, i jednocześnie odmienne. Ulice byty rozległe i szerokie jak na Ziemi, ale wzdłuż nich nie wznosiły się domy z oknami i drzwiami, lecz wyrastały ślepe ściany podziurawione ciemnymi wlotami tuneli. Nad ulicą stykały się korony gigantycznych, świecących drzew. W powietrzu wyczuwało się całą gamę najróżnorodniejszych aromatów. Jeśliby zestaw tych zapachów nie zmieniał się co krok, można by pomyśleć, że to tak pachnie samo powietrze w mieście. Po chwili zorientowaliśmy się, że źródłem woni są świecące drzewa.

Wprowadzono nas do jednego z tuneli. Na końcu tunelu znajdowała się obszerna sala. Na nasze powitanie wstał Galakt, którego Tigran przedstawił jako Gracjusza.

— Na planetach zastąpi mnie Gracjusz — powiedział. — Będzie z wami pertraktował.

9

Wieczorem w małym gronie odbyliśmy naszą pierwszą rozmowę. Zacząłem ją od pytania, czy przypadkiem Galaktowie nie są genetycznie spokrewnieni z ludźmi. Nie będę zdziwiony, powiedziałem, jeżeli okaże się, że na jednej z planet odległych od Perseusza Galaktowie-astronauci pozostawili przedłużenie swojej rasy w postaci własnego wizerunku, odtworzonego z grubsza i na chybcika...

— My z kolei sądziliśmy, że Galaktowie są tworem ludzi, którzy pojawili się w Perseuszu około dziesięciu milionów lat temu — powiedział Gracjusz. — Po rozszyfrowaniu transmisji stereoskopowych z „Pożeracza Przestrzeni” byliśmy zdumieni naszym podobieństwem do ludzi. Jedynym wytłumaczeniem tego faktu była hipoteza, że jesteśmy waszymi potomkami.

Gracjusz bardzo się rozczarował, kiedy powiedzieliśmy mu, że cywilizacja ludzka liczy zaledwie od siedmiu do dziesięciu tysięcy lat, a człowiek pojawił się około miliona lat temu.

— Milion lat temu byliśmy już dobrze ukształtowanym społeczeństwem — powiedział z wyraźnym żalem rezygnując ze swej hipotezy. — Nie mamy też legend mówiących o utworzeniu jakichś istot na nasz obraz i podobieństwo. Najwidoczniej sama natura stworzyła w różnych miejscach kosmosu istoty łudząco do siebie podobne.

Po tej wstępnej informacji „wziąłem byka za rogi”, jak to określa Romero, i wyłożyłem powody, dla których sojusz ludzi i Galaktów jest naszym zdaniem konieczny.

— Imperium Niszczycieli miotane jest wewnętrznymi sprzecznościami. Trzeba więc uderzyć weń, a rozpadnie się ostatecznie. Flota ludzi, zagłębiająca się w Perseuszu, potrzebuje jednak pomocy. Jeżeli Zływrogi pokonają teraz ludzi, to wszyscy mieszkańcy tego rejonu kosmosu utracą na wiele tysiącleci możliwość wyzwolenia się spod stałej groźby zagłady. Zniszczenie floty ziemskiej nie leży więc w interesie Galaktów.

— Przekażemy waszą propozycję narodom zamieszkującym planety Płomienistej — obiecał Gracjusz z miłym uśmiechem. Wyraz jego twarzy był przy tych słowach pełen tak uprzedzającej grzeczności, że odniosłem wrażenie, iż biję głową o ścianę uprzejmej obojętności. — Zawiadomię także społeczeństwo Galaktów w innych systemach gwiezdnych. A na razie zapraszam was na wieczorną uroczystość zorganizowaną na waszą cześć.

— Nie — odparłem zdecydowanie. — Żadnych uroczystości, zanim nie uzyskamy konkretnej odpowiedzi. Gracjusz ze zdziwieniem uniósł brwi do góry.

— Nie potrafię przewidzieć, jakie decyzje podejmą wszystkie nasze narody — powiedział. — Mamy wiele powodów, powstrzymujących nas od udziału w otwartej wojnie z Niszczycielami. Musimy porównać straty, jakie niewątpliwie poniesiemy w walce z ewentualnymi korzyściami, jakie przyniesie nam zwycięstwo. Dopiero wtedy obierzemy właściwą linię postępowania.

— Zrozumcie — rzuciłem w podnieceniu — że nie chodzi mi o to, abyście natychmiast podali nam waszą ostateczną decyzję, powiedzcie jednak, jakie macie zastrzeżenia, żebyśmy mogli ustosunkować się do nich.

— Mamy dwa najbardziej zasadnicze zastrzeżenia. Jeżeli wyślemy na pomoc ludziom eskadrę okrętów z bronią biologiczną, to w ogniu walki działa te mogą chybić. Na samą myśl o tym ogarnia nas przerażenie. Jeśli strumień promieni trafi w cel, wiązka zostaje zneutralizowana, ale jeśli chybi, będzie mknął we Wszechświecie przez całe miliardy lat, aż wreszcie spotka na swej drodze jakieś ognisko życia i unicestwi je. Staniemy się wtedy mimowolnymi zabójcami. Żaden Galakt nie zgodzi się na takie przestępstwo!

— Tak, to bardzo istotne. Zastanowimy się, jak uniknąć tego niebezpieczeństwa. A teraz chciałbym usłyszeć wasze drugie zastrzeżenie.

— Jest związane z pierwszym. Zdobyliście jedną Stację Metryki, ale pięć pozostałych jest nadal w rękach Niszczycieli. Jeżeli chybimy, wrogowie tak zakrzywią przestrzeń, że wystrzelone przez nas promienie ugodzą w nas samych. Raz już to się zdarzyło i wiele planet zmieniło się w cmentarzyska. Chcecie, byśmy działali na własną zgubę?

Nie odpowiadając Gracjuszowi zwróciłem się do Tigrana:

— Mówił pan, że na swoich planetach jesteście nieśmiertelni. Nie wyzbyliście się jednak strachu przed śmiercią?

Odpowiedział mi znów Gracjusz:

— Zapewniliśmy sobie takie warunki życia, że możemy nie obawiać się śmierci. Czynniki przynoszące śmierć mogą pojawić się tylko z zewnątrz. Promieniowanie biologiczne może być takim czynnikiem.

Poprosiłem o bardziej szczegółowe wyjaśnienie.

— Śmierć — odparł Gracjusz — zjawia się w wyniku choroby lub katastrofy. Katastrofy nie zdarzają się na naszych planetach. Choroby zostały już pokonane. Z jakich więc powodów Galaktowie mogą umierać? Po zużyciu jakiegoś organu zastępuje się go nowym. Sam trzy raz zmieniałem serce, dwa razy mózg i chyba z osiem razy żołądek. Po takiej transplantacji cały organizm się odmładza.

— Ruch wahadłowy pomiędzy starością a niemowlęctwem — rzucił Romero. — Czy też na wieki zakonserwowana starość? Nasz strożytny pisarz Swift opisał takich nieśmiertelnych starców. Niedołężnych, kłótliwych, nieszczęśliwych...

Uwaga Pawła była zbyt wyzywająca, aby Galakt mógł pozostawić ją bez odpowiedzi.

— Nie słyszałem o Swifcie. Starości jednak nie można zakonserwować, nie sposób. I w młodości i w starości zmiany biologiczne przebiegają tak szybko, że nie warto nawet próbować ich powstrzymywać. Ale pełny rozkwit następuje w wieku, kiedy organizm pracuje najrówniej. Właśnie ten wiek, stabilną dojrzałość, wybieramy jako najbardziej godny zachowania. Chętnie przekażemy ludziom tę umiejętność, aby mogli być rozumnie nieśmiertelni.

Nie wtrącałem się do rozmowy, jedynie słuchałem i obserwowałem. W każdym słowie, w każdym geście Galaktów odkrywałem ogromny strach przed śmiercią. Nie, to nie był nasz odwieczny lęk przed niebytem, gdyż my od dzieciństwa wiemy, że śmierć jest naturalnym zakończeniem życia. Przypadkowy początek i nieunikniony koniec — oto nasze pojmowanie istnienia. Nasz lęk przed umieraniem wyraża się jedynie w chęci przedłużenia życia. A ci nieśmiertelni pełni są chorobliwej obawy przed śmiercią, którą uważają za katastrofę.

Trudne zadanie, Eli — pomyślałem — przypadło ci w udziale. Nie zawieranie korzystnego i szlachetnego sojuszu, lecz przełamywanie natury Galaktów!

— Rozumiecie teraz, niespokojni przyjaciele, jak wielkie są nasze wątpliwości — zakończył Gracjusz swoją wypowiedź. — Nie nadużywajmy jednak cierpliwości zebranych i chodźmy na festyn. Wszyscy już od dawna czekają.

10

Szybko opuściłem festyn.

Rozrywek było zbyt wiele: różnobarwnego blasku różnorodnych zapachów, dziwacznych postaci, zbyt uprzejmych słów i zbyt radosnych uśmiechów... Bal pod świecącymi, wonnymi drzewami wydał mi się tak męczący, jak męczące musiały być starożytne bale ludzi na parkietach dusznych sal. Mary jednakże zabawa podobała się i przez wzgląd na nią wytrzymałem, jak długo mogłem.

W pewnej chwili podszedł do mnie podniecony Romero.

— Drogi admirale, czemu takie smętne oblicze? Byłoby wspaniale, gdyby dowódca gwiezdnej armii ludzi zatańczył z najnowszymi sojusznikami!

— Z sojusznikami, Pawle, tylko z sojusznikami! Ale niestety nie mogę. Proszę tańczyć w moim imieniu.

11

Zawieziono nas na jedną z pustynnych planet, którą właśnie przystosowano do życia organicznego. Ta wyprawa interesowała mnie o wiele bardziej, niż zapoznawanie się z trybem życia Galaktów w ich bajecznie urządzonych siedzibach. Planetę nazwano „Masywna”. Była istotnie masywna — gigantyczny kamień pokryty szczytami i rozpadlinami bez dna, które przecinały glob od bieguna do bieguna. Ani śladu atmosfery, całkowity brak wody — nawet kopalnej.

Tę całą tytaniczną szyszkę pokrywała brunatna „pleśń”, nieprzyjemna w dotyku pleśń, w oczach zżerająca całe góry. Nie były to bakterie rodzące życie, jakie wyhodowała Mary, lecz jedynie organizmy rozkładające na poszczególne pierwiastki kamień. Nasze wytwórnie atmosfery na Plutonie pracowały intensywniej, ale przetwarzały za jednym zamachem tylko niewielki fragment powierzchni planety, natomiast „mchy” Galaktów „nadgryzały” od razu cały glob. Martwa planeta parowała strugami azotu i tlenu, kropelki wody łączyły się w potoki i rzeki napełniające zapadliska przyszłych mórz.

Po wytworzeniu atmosfery i nawodnieniu planety ludzie rozpoczęliby kolonizację: przywieźliby z Ziemi nasiona roślin, ptaki, ryby, zwierzęta. Galaktowie postępowali inaczej. Na Masywnej — z jej wielką grawitacją zamierzali wyhodować gatunki lekkich istot o niewielkiej masie, potężnym umięśnieniu, wyposażonych w skrzydła. Poznali tak głęboko genetyczne możliwości ewolucji, że wydawało się to nam aż niemożliwością. Nowo powstałe oceany były już zamieszkałe przez prymitywne organizmy składające się z kilku komórek. Pokazano nam na modelach, w co te pierwotniaki przekształcą się w przyszłości. Po kilku tysiącach lat naturalnej ewolucji miały powstać nowe istoty rozumne, podobne zarazem do Aniołów, sześcioskrzydłych świerszczy i nawet do samych Galaktów. Nasi gospodarze mówili o nich tak, jakby te projektowane istoty od dawna już żyły w swojej ostatecznej formie.

Po zwiedzeniu Masywnej Gracjusz powiedział do mnie:

— Przygotuj apel do Galaktów. Wracamy na naszą planetę. Stamtąd będziemy prowadzić transmisję na wszystkie satelity Płomienistej oraz do zaprzyjaźnionych systemów gwiezdnych. Będziesz miał wielkie audytorium, przyjacielu Eli.

Gracjusz i Tigran wprowadzili mnie do pustej sali, w której stały dwa stoły. Przy pierwszym z nich usiedli obaj Galaktowie, przy drugim ja wraz z Romerem i Orlanem.

Dokoła nas znajdowały się tylko połyskliwe ściany zbiegające się w kopułę. Nie widzieliśmy nikogo, ale wiedzieliśmy, że patrzy teraz na nas kilka miliardów osób: wszystkie systemy gwiezdne Galaktów odbierały transmisję. Później okazało się, że Niszczyciele nie zakłócili łączności. Sądzę zresztą, że nie próbowali: wrogowie sami chcieli się dowiedzieć, o czym będziemy mówić i co ich w związku z tym czeka.

— Mów, Eli — powiedział Gracjusz.

Zacząłem od tego, że jesteśmy przyjaciółmi, a wśród przyjaciół szczerość jest rzeczą normalną. Galaktowie dokonali bardzo dużo. Ludzie nie marzą jeszcze nawet o wielu osiągnięciach, które w Perseuszu stały się powszechne. Całe nieszczęście polega jednak na tym, iż Galaktowie pogodzili się z rolą dobrze strzeżonych jeńców, zamkniętych w niewielkim rejonie kosmosu i odciętych od innych światów. Światy gnębione przez Niszczycieli błagają potężnych Galaktów o pomoc, Galaktowie jednak pozostają głusi na te wołania.

— Tak, wiem, że boicie się zguby, gdyż śmierć jest dla was katastrofą — powiedziałem brutalnie. — Nie mogę też zagwarantować wam, że któryś z was nie zginie: wojna jest wojną. Ale chcę powiedzieć, że nie będziecie sami w tej bitwie i że wraz z wami będą walczyć ludzie znajdujący się na swych statkach uzbrojonych w anihilatory. Dowodzę flotą ludzi i uroczyście obiecuję, że jeśli któryś z waszych gwiazdolotów chybi, zanihilujemy przestrzeń wraz z zabójczą wiązką promieni. Potrafimy to zrobić. Nie musicie się więc obawiać, że doprowadzicie do zniszczenia jakiegoś dalekiego życia, nie musicie również bać się tego, że promieniowanie biologiczne unicestwi którąś z waszych planet. Zagraża wam w tej chwili głównie własny strach. A czeka cały świat. Wyjdźcie mu naprzeciw!

Mary mówiła mi później, że krzyczałem i wymachiwałem rękami jak nasi przodkowie na wiecach.

Kiedy już nieco uspokoiłem się, zwróciłem się do Gracjusza:

— Czy możemy dowiedzieć się, co teraz dzieje się na waszych planetach?

— Możecie nawet zobaczyć — odparł.

Na ścianach sali, które przekształciły się w ekran, zobaczyliśmy zbliżającą się planetę, a później miasto i tłumy Galaktów na jego placu. Wszyscy rozmawiali z ożywieniem. Dźwięku nie przekazywano nam, ale i bez tego było jasne, o czym dyskutują z taką pasją.

— Możemy odwiedzić inne Planety Płomienistej albo przenieść się do sąsiednich układów gwiezdnych zaproponował Gracjusz. — Transmisję prowadzimy na falach nadświetlnych.

Wszędzie powtarzał się ten sam widok: takie same rozmowy, takie same dyskusje. Nie wiem, jak długo trwał „oblot” planet i gwiazd, ale zmęczyliśmy się solidnie. Gracjusz zaproponował, abyśmy się posilili i odpoczęli.

Po obiedzie zebraliśmy się w saloniku, którego drzwi prowadziły wprost do sali z kopułą. W chwilę później weszli tam również Gracjusz i Tigran.

— Nie przekonałeś nas, admirale Eli — oświadczył Gracjusz. — Mówiłeś z nami szczerze, my także chcemy otwarcie postawić ci dwa pytania. Pierwsze: czy uważasz za rozsądne, aby Galaktowie zamienili swoje spokojne bytowanie na niewygody i niebezpieczeństwa wojny prowadzonej w obcym interesie? Drugie: czy jesteś przekonany, że nasi obecni wrogowie mogą zmienić swoją naturę? Czy można przyciągnąć do twórczego życia tych, którzy do tej pory zajmowali się jedynie niszczeniem?

— Chodźmy — rzuciłem z tłumioną pasją. — Jeśli zadano pytania, należy na nie odpowiedzieć.

12

Jeszcze zanim podszedłem do swojego stołu, zdołałem się nieco uspokoić. I gdy poczułem, że patrzą na mnie miliardy oczu, rozum mój pracował już jasno i precyzyjnie.

— A więc odpowiadam na pierwsze pytanie — powiedziałem. — Czy rozsądnie jest rezygnować z obecnych wygód na rzecz niebezpieczeństw wojny? Tak, rozsądnie. Co więcej, jest to konieczność! Nie ma bowiem innego sposobu zapewnienia równie spokojnego bytu w przyszłości, jak tylko poddanie się obecnie wszystkim niewygodom i całemu ryzyku walki. Walczyć będziecie przy tym nie o cudzą sprawę, lecz o swoje własne interesy. Jesteście nieśmiertelni na swoich planetach, równie dostępne są wam obecna rzeczywistość i odległe jutro. Dlaczego więc żyjecie tylko dniem dzisiejszym? Słuchajcie mnie więc uważnie, słuchajcie i zastanówcie się!

Tam, w dalekim kosmosie, skąd zostaliście kiedyś wypędzeni, panują obecnie wasi wrogowie, Niszczyciele. Sądzicie, że wam nie zagrażają? Uważacie, że broń biologiczna dostatecznie chroni was przed nimi? Dziś, moi drodzy, ta broń jest wystarczająca. Ale jutro już nie będzie! A wy wszak istniejecie „zawsze”. Chcecie wiedzieć, co wydarzy się jutro? Czym skończy się wasze „zawsze”?

Niszczyciele doskonale wiedzą, że istota żywa do was nie dotrze. Wobec tego wcale nie próbują. O swoje dziś możecie być spokojni. Musicie jednak pamiętać o tym, że Zływrogi mają jedną wspaniałą zaletę, której wam całkowicie brak. Cechę szalenie dla was groźną. Osiągnęliście doskonałość i spoczęliście na laurach. W gruncie rzeczy zajmujecie się jedynie tym, aby wspaniały dzień dzisiejszy przedłużyć we wspaniałą wieczność. Oni natomiast rozwijają się i nieustannie doskonalą. Sądzicie, że głoszona przez Wielkiego Niszczyciela idea przekształcania organizmów w mechanizmy jest tylko pustym słowem? Nie, to cel ich pracy. A jak sami wiecie, pracować potrafią!

— A teraz — kontynuowałem — mogę opisać, o Nieśmiertelni, co czeka was jutro. Setki okrętów wroga zjawią się przy waszych kordonach, a wy wystrzelicie salwę promieniowania biologicznego. Tylko że tym razem gwiazdoloty będą bezpiecznie sunąć naprzód, gdyż na żadnym z nich nie będzie ani jednej żywej komórki. Nie wierzycie mi? Zaprzeczacie możliwości istnienia rozumnych mechanizmów? My jednak widzieliśmy już automaty, wprawdzie na razie żywe, ale których mózg zastąpiony został czujnikami przekazującymi polecenia obcego mózgu znajdującego się z dala od nich. Oto realna perspektywa przyszłości: gigantyczny sterujący rozum na jednej z odległych, niedostępnych gwiazd i automaty wykonawcze połączone z nim precyzyjnie zaszyfrowanymi falami. Co was wtedy czeka? Nie wiecie? To również wam powiem, moi przyjaciele!

Znaczna liczba nieśmiertelnych zginie już w czasie pierwszego ataku i ci jeszcze będą mieli szczęście! Najcięższy los czeka tych, którzy pozostaną przy życiu. Na wasze wspaniałe planety zwalą się ciosy grawitacyjne. W pył zamienią się wasze doskonałe miasta i cudowne parki. Taki kurz, płynący jak woda, widzieliśmy na Sigmie, w Plejadach. Ale przed unicestwieniem planet zostaniecie spętani łańcuchami i bezduszne automaty pognają was w niewolę.

Takie jest wasze jutro! Znacznie lepsze od waszego „pojutrza”. Żywy, nieśmiertelny niewolnik martwego mechanizmu — gospodarza, który wysysa z niego soki. Wieczny lokaj maszyny, wiecznie spełniający jej zachcianki. A zapewniam was, że maszyna będzie miała zachcianki. Głupie, bezmyślne, nielogiczne. Zachcianki te niewolnik będzie musiał spełniać. Jakie znajdziecie wówczas wyjście? Kogo wezwiecie na pomoc? Nie będzie wyjścia, nie będzie pomocy, gdyż sami kopiecie dziś przepaść, do której jutro wpadniecie!

A teraz odpowiedź na drugie pytanie: nie wierzycie, że Zływrogi mogą stać się waszymi przyjaciółmi. Zastanówmy się nad tym wszystkim spokojnie i obiektywnie. Jesteście dziś prawdopodobnie najbardziej kunsztownymi twórcami życia na świecie, przynajmniej w tej jego części, którą znamy. Historycznym celem waszego istnienia jest podnoszenie poziomu biologicznego życia we wszystkich jego przejawach. Nienawidzicie martwoty automatów, skrupulatnie kontrolujecie, czy goście waszych planet nie przynoszą w swoich ciałach jakichś elementów sztucznych. Sami odczuliśmy to na własnej skórze. Wychwalałbym was jako największą życiodajną siłę kosmosu, gdybyście jednocześnie nie byli największymi zabójcami we Wszechświecie! Czyż nie skonstruowaliście broni grożącej zagładą wszystkiemu co żywe? Gdyby dziś wybuchł jeden, tylko jeden z tysięcy waszych asteroidów, unicestwiłby więcej życia niż wszystkie Zływrogi do tej pory. Sama wasza nieśmiertelność też opiera się na tym, że potraficie w ułamku sekundy zniszczyć każde życie, nawet nieśmiertelne.

Teraz przyjrzyjcie się Niszczycielom. Ogłosili unicestwianie swoją ideą. Uważają się za siewców chaosu i nieporządku. Tak jest w istocie, ale żeby wprowadzić powszechny chaos, zorganizowali u siebie surowy, okrutny, niesłychanie precyzyjny porządek. Stworzyli gigantyczne imperium, budują miasta i fabryki, urządzają przystanie kosmiczne, napełniają kosmos chmarami okrętów. Nie ma dziś w Perseuszu organizatorów i większych twórców od tych „niszczycieli”. Nie mam zamiaru ich usprawiedliwiać, ale chcę zwrócić uwagę na złożoną naturę ich działalności, na sprzeczności wewnętrzne, które ich rozdzierają.

Twierdzę, że ta druga strona ich działania, budząca podziw kosmiczna praca inżynieryjna, jest sama w sobie obiektywnie pożyteczna. Nie będę wyliczał tu osiągnięć technicznych Niszczycieli, gdyż znacie je lepiej ode mnie. Twierdzę tylko, że bezimienni autorzy tych sukcesów są najlepszymi potencjalnymi przyjaciółmi. Spytacie, gdzie ich szukać? Nie znajdziecie ich na powierzchni. Zbyt wielki jest ucisk, który ich krępuje, zbyt ciężkie kary grożą za najmniejszą przewinę. Czy jednak ogrom ucisku i okrucieństwo kar nie świadczą o potędze ukrytej opozycji? Dawny Niszczyciel, nasz przyjaciel Orlan, powiedział, że wystarczy jeden cios, aby imperium Niszczycieli rozpadło się z trzaskiem. A więc zadajmy ten cios, przyjaciele!

— Możesz odpocząć, Eli — powiedział Gracjusz, kiedy opadłem na fotel. — Przerwaliśmy na razie transmisję, aby Galaktowie mieli czas zastanowić się nad twoją przemową.

Wyszedłem do saloniku. Obstąpili mnie przyjaciele. — Okazuje się, że jest pan świetnym mówcą, admirale — rzekł Romero z szacunkiem.

— Przemówienia są dobre jedynie wówczas, kiedy przynoszą dobre rezultaty — powiedziałem zniecierpliwiony. — Jeśli Galaktowie nie udzielą nam poparcia, to znaczy, że mowa była do niczego.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilkę, póki nie usnąłem nagle. Mary powiedziała mi później, że rzucałem się i jęczałem przez sen. Obudziłem się szarpnięty przez żonę za rękaw.

Do saloniku weszli Gracjusz i Tigran. Po raz pierwszy i ostatni zobaczyłem Galaktów zdenerwowanych, bez zwykłych uprzejmych uśmiechów na twarzy.

— Admirale Eli — powiedział uroczystym tonem Gracjusz. — Oto nasza decyzja. Po wielu tysiącleciach Galaktowie znów wychodzą w przestrzeń międzygwiezdną. Wy, ludzie, jesteście dziś od nas potężniejsi, wobec czego poddajemy się waszym rozkazom. W najbliższym czasie w pobliżu sfery asteroidów zbierze się eskadra układu Płomienistej składająca się z trzydziestu pięciu okrętów bojowych. Z innych układów gwiezdnych wyruszą dalsze eskadry, łącznie czterysta pięćdziesiąt gwiazdolotów. Obejmuj więc dowództwo nad flotą Galaktów, admirale ludzi!

13

Nie czekałem na eskadry Galaktów z innych systemów układów gwiezdnych. Andre doniósł mi z Trzeciej Planety, że przeciwko okrętom Allana wyruszyło gigantyczne zgrupowanie krążowników Niszczycieli. Nie ulega wątpliwości, że Zływrogi nie będą zwlekać z decydującym starciem. Jeśli chcieli odnieść sukces, musieli zniszczyć flotę Allana, zanim nadciągną okręty Galaktów. Sam bym tak postępował na ich miejscu, a nie miałem powodu uważać Niszczycieli za głupszych od siebie.

Kiedy trzydzieści pięć gwiazdolotów z Płomienistej zebrało się w ustalonym miejscu, zarządziłem wymarsz. Pozostałe eskadry Galaktów miaty zgrupować się w dwie flotylle i przebijać się, każda własną trasą, do rejonu ataku Allana. Na „Cielcu” znów podniosłem admiralski proporzec. Statkiem dowodził Osima, pomagał mu Tigran, który w ten sposób zapoznawał się z urządzeniami ziemskich okrętów.

Szliśmy w obszarze nadświetlnym, ale tylko jakieś dwieście razy wyprzedzaliśmy światło, gdyż statki Galaktów nie osiągały wyższej prędkości.

W trzecim miesiącu podróży zaszły dwa ważne wydarzenia. Nadeszła informacja, że druga flotylla Galaktów w składzie dwustu okrętów ruszyła w przestrzenie międzygwiezdne i z pełną szybkością mknie w naszym kierunku. Następne dwieście dwadzieścia gwiazdolotów trzeciej flotylli naszych sojuszników wyruszy w drogę za parę dni. Druga wiadomość była niepokojąca: na trawersie naszej flotylli pojawiły się krążowniki Niszczycieli.

Rzadko bywałem w sterówce, aby nie przeszkadzać Osimie w szkoleniu Tigrana, za to prawie nie wychodziłem z sali obserwacyjnej. Byłem tam również, kiedy pojawiły się statki przeciwnika. Krążowniki Zływrogów lokalizowane na falach przestrzennych rozjarzyły się na ekranach zielonymi punkcikami. W kilka godzin po zjawieniu się pierwszego naliczyłem ich przeszło pięćdziesiąt i ciągle jeszcze zapalały się nowe punkciki.

— Niepokoi mnie ta sytuacja — przyznał się Orlan który również znajdował się na sali. — Wielki obmyślił jakiś podstęp. Obawiam się, że postara się nie przepuścić nas do rejonu walki z eskadrami Allana.

Nie widziałem na razie powodu do niepokoju. Nie wątpiłem wprawdzie, że Niszczyciele będą chcieli nawiązać z nami kontakt bojowy jeszcze w drodze, ale „Cielec” z jego urządzeniami anihilacyjnymi stanowił obiekt trudny do zniszczenia. Przekazałem na Trzecią Planetę, że widzę wroga. Andre wykrywał każdy okręt wrogów spieszących w naszym kierunku. Zaniepokojony ich nieoczekiwanie wielką liczbą radził nam zmienić kurs w kierunku Pomarańczowej. Na bliskie dystanse mechanizmy Stacji działają skutecznie, ale generatory dalekiego zasięgu jeszcze nie zostały odbudowane, chociaż pracowano nad tym dzień i noc. „Waszą eskadrę zdołamy osłonić jedynie w rejonie Pomarańczowej” — donosił Andre.

Długo zastanawiałem się nad depeszą. Wszystko protestowało we mnie przeciwko ucieczce pod osłonę Stacji. Przecież wrogowie dążyli do tego, abyśmy zrezygnowali z połączenia się ze statkami floty Allana. Obiekcje te przekazałem dowódcom wszystkich statków swojej flotylli.

Było już jasne, że przeciwnik zgromadził przeciwko nam wielkie siły. Cała północna półkula niebieska usiana była zielonymi ognikami. Naliczyłem ich ponad dwieście. Orlan był przekonany, że Wielki Niszczyciel nie chcąc osłabiać swoich głównych sił powstrzymujących Allana zmobilizował do walki z nami wszystkie swoje rezerwy kosmiczne. Dobre w tym było jedynie to, że dwóm pozostałym flotyllom Galaktów nie groziło już spotkanie z większymi zgrupowaniami wroga.

Flota przeciwnika zachowywała się na pozór spokojnie, szła zwartą grupą kursem równoległym do naszego, nie wyprzedzając i nie pozostając w tyle. Znajdowaliśmy się wówczas dokładnie na trawersie Pomarańczowej. Dogodniejszej sposobności do ukrycia się w zasięgu działania mechanizmów Stacji niż wtedy być nie mogło, każda godzina dalszego lotu oddalała nas bowiem od Trzeciej Planety.

— Musimy zdecydować się — powiedziałem do Gracjusza. — Ludzie są zdania, że ucieczka spowoduje fiasko wyprawy, natomiast kontynuowanie marszu może doprowadzić do starcia z wrogiem.

— Obraliśmy cię dowódcą, Eli — rzekł Galakt po krótkim wahaniu — nie po to, aby przy pierwszej sposobności podnieść bunt. Jestem za kontynuacją wyprawy i przekazałem swoją opinię na wszystkie okręty flotylli. Właśnie teraz odebrałem wiadomość, że załogi zgadzają się na dalszy marsz.

Zaczęliśmy się oddalać od Pomarańczowej. Poleciłem komputerowi, aby obliczył, kiedy przekroczymy granice działania małych generatorów Stacji. MUK zawiadomił, że od tej granicy dzieli nas zaledwie kilka dni lotu.

Zdaniem Orlana flota Niszczycieli będzie towarzyszyć nam nie atakując do końca strefy działania generatorów małego zasięgu Stacji Metryki. Kiedy nie będziemy mogli liczyć na pomoc Trzeciej Planety, natychmiast ruszą do szturmu. Dowódcy Zływrogów zdają sobie sprawę, że główną siłą naszej eskadry jest „Cielec” i będą manewrować krążownikami tak, żeby nie znaleźć się na linii strzału jego anihilatorów. Przy tych manewrach mogą trafić pod ogień broni biologicznej Galaktów. Załogi wielu statków mogą wprawdzie wtedy zginąć, ale nie wiadomo, kto kieruje gwiazdolotami Niszczycieli. Co się stanie, jeżeli przy sterach siedzą już martwe automaty zdalnie sterowane przez centralny mózg?

Nie mogę powiedzieć, aby ponure prognozy Orlana nie zrobiły na nas wrażenia. Współczułem milczącemu Gracjuszowi, który musiał czuć się gorzej niż my, od dzieciństwa przywykli do myśli, że w każdej chwili możemy zginąć.

Zbliżaliśmy się do strefy działania małych generatorów Stacji i przekroczyliśmy je. Na wszystkich gwiazdolotach ogłoszono alarm bojowy. „Cielec” wycelował anihilatory w nieprzyjacielską flotę, Galaktowie dyżurowali przy działach biologicznych. Zastanawiałem się przez moment, czy samemu nie rozpocząć działań zaczepnych. „Cielec” przewyższał szybkością krążowniki Zływrogów, mogłem więc spróbować rzucić go na jądro zgrupowania Niszczycieli i zanihilować je od jednego ciosu.

MUK przeprowadził jednak obliczenie, z którego wynikało, że zanim „Cielec” podejdzie na odległość skutecznego ognia, nieprzyjaciel zdoła się rozproszyć. Nie można więc było liczyć na zniszczenie więcej niż dwóch do trzech krążowników wroga. W czasie kiedy „Cielec” będzie się z nimi rozprawiał, cała chmara Niszczycieli runie na praktycznie bezbronne statki Galaktów. Zrezygnowałem więc z tego planu i czekałem z niepokojem w duszy na dalszy rozwój wypadków.

Nie czekałem zbyt długo. Na statku zadźwięczał sygnał alarmu bojowego. Wszyscy pospieszyli na swoje stanowiska. Udałem się do sterówki, w której siedzieli już Osima, Orlan i Tigran.

— Zaczyna się — powiedział ze złowieszczym spokojem Orlan.

Na ekranie mrowiły się ognie pędzących w naszym kierunku okrętów wroga. Nieprzyjacielska flotylla działała dokładnie tak, jak to przewidział Orlan. Co najmniej połowę ich gwiazdolotów czekała zguba, ale najwidoczniej pogodzili się z tym, chcąc nas za wszelką cenę unicestwić.

Rozkazałem statkom Galaktów zbić się w ciasną grupkę, a Osunie wyprowadzić „Cielca” do przodu. Podałem plan walki: Galaktowie bronią się w przestrzeni einsteinowskiej działami biologicznymi, „Cielec” natomiast z najwyższą, osiąganą prędkością zataczać będzie wokół eskadry koła i anihilować wrogów trafiających w stożek zniszczenia. Jestem przekonany, że udałoby się nam osłonić statki Galaktów przed bezpośrednim ciosem, umożliwić im prowadzenie zabójczego ognia, który siałby śmierć wśród wrogów, ale bitwa potoczyła się zupełnie inaczej.

— Admirale, oni się cofają! — wykrzyknął Osima. Niszczyciele jednak nie cofali się: straszliwa burza runęła na ich krążowniki, zielone światła drgały i znikały w obszarze nadświetlnym. Nawet lokatory przestrzenne nie mogły przeniknąć do piekła, które rozszalało się w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się nieprzyjacielska flota. My sami kiedyś znaleźliśmy się w takiej pułapce, ale to, co teraz przeżywali wrogowie, było stokroć okropniejsze.

— Działają wielkie generatory Stacji Metryki przerwał milczenie Orlan. — I jeśli się nie mylę, Andre narzucił flocie wroga kurs na Płomienistą, prosto pod działa biologiczne z asteroidów. Zbliża się finał!...

Oderwałem się ód ekranu, na którym jedne po drugich nikły zielone światełka krążowników Zływrogów.

— Jedno jest pewne, drogi Onanie, nikt nam teraz nie przeszkodzi w połączeniu się z flotą galaktyczną ludzi. A co wtedy będą mogli Niszczyciele przeciwstawić zjednoczonej potędze Ziemian, Galaktów i waszych wyzwolonych planet?

14

Planetolot płynnie zanurzył się w tunelu cumowniczym „Skorpiona”. Wybiegłem z niego pierwszy i zeskoczyłem na placyk lądowiska.

Nie zdążyłem nawet krzyknąć, kiedy znalazłem się w objęciach Allana. Później objął mnie Leonid, a później była Olga, Wżera, inni przyjaciele... Były ukochane twarze, silne ręce, radośnie uśmiechnięte usta... Coś mówiłem, coś wykrzykiwałem, ale nie słyszałem ani siebie, ani innych.

Po pewnym czasie wszyscy się uspokoili i mogłem wreszcie rozejrzeć się dokoła. Mary płakała na ramieniu Wżery, Osima coś energicznie tłumaczył Oldze i Leonidowi, starając się chyba w kilku słowach opowiedzieć im na gorąco wszystkie tragiczne przygody, jakie przeżyliśmy w Perseuszu.

— Eli, kto to jest? — zapytała w pewnej chwili przerażonym głosem Olga.

Obejrzałem się szukając tego, co mogło przestraszyć tak zawsze zrównoważoną Olgę.

Na trap planetolotu wyszedł Gig. Stał tam, spoglądając radośnie na zebranych ludzi swymi czarnymi oczodołami i chichocząc całym szkieletowym ciałem. Obok niego zjawili się Orlan i Gracjusz z jednej strony, po drugiej zaś stanął Lusin z Tigranem. Ta grupa złożona z Galaktów, Ziemian i Niszczycieli sprawiała tak niesamowite wrażenie, iż nad całym placykiem zapadła na chwilę kamienna cisza. Ludzie w oszołomieniu gapili się na Galaktów i Niszczycieli, ci z kolei patrzyli z ciekawością na ludzi.

Szybko wbiegłem na schodki i objąłem Orlana i Gracjusza, Lusin objął Tigrana i Giga.

— Przyjaciele! — zwróciłem się do ludzi. Nie dziwcie się, lecz cieszcie. Trzy największe narody gwiezdne naszego zakątka Wszechświata łączą się w braterskim sojuszu dla dobra i rozkwitu wszystkich ludów! Chociaż jeszcze nie można powiedzieć, że wszyscy Niszczyciele zamienili się w twórców, ale kilku takich mogę wam już przedstawić. Oto oni, powitajcie ich!

Triumfalne „hura!” zagłuszyło moje słowa. Zeszliśmy w dół i zagubiliśmy się w tłumie.

— Chodźmy do sali obserwacyjnej — powiedziałem do Allana. — Pokażę ci Pomarańczową, gdzie obecnie w mojej rezydencji na Trzeciej Planecie zasiada Andre Szerstiuk. Tak, nasz Andre, żywy i cały, niemal wszechpotężny!... Co najmniej jedna czwarta gwiazd Perseusza znajduje się w jego władzy. Dokąd biegniesz?

— Chwileczkę, jedną chwileczkę, Eli! — wykrzyknął Allan rozpychając towarzyszący tłum.

— Co mu się stało? — spytałem zdumiony Olgę. Czym go tak przeraziłem?

— Zaraz się dowiesz — odparła. — Nie przeraziłeś lecz uradowałeś.

Allan zjawił się, kiedy już wchodziliśmy do sali obserwacyjnej. Prowadził za rękę młodego mężczyznę. Młodzieniec był tak podobny do Andre, że znieruchomiałem. To był Andre, ale nie postarzały i nerwowy, jakiego zostawiliśmy na Trzeciej Planecie, lecz dawny Andre, mój przyjaciel z młodych lat: wysoki, zgrabny, przystojny, z takimi samymi czerwonorudymi kędziorami do ramion...

— Oleg! — wykrzyknąłem. — Jego syn?...

Chłopak podszedł do mnie nieśmiało. Objąłem go serdecznie.

— Jak się tu znalazłeś? — zapytałem.

— Trzy lata temu pozwolono mi przyłączyć się do wyprawy — odparł młodzieniec. — Mama została na Orze, a ja jej obiecałem, że natychmiast dam znać, jeżeli dowiem się czegoś o ojcu.

— Jeszcze dziś wyślesz wiadomość, że ojciec się odnalazł. Przekażemy depeszę na SFP poza kolejnością. A sam wkrótce go zobaczysz: połączone floty lecą na Pomarańczową, gdzie dowodzi twój ojciec.

Do sali obserwacyjnej wcisnęło się tyle ludzi, że zabrakło dla wszystkich miejsca i trzeba było stać. Na półkulach ekranów światła gwiazdolotów zaćmiewały blask słońc. Zielonkawe punkciki statków Galaktów przemieszały się z czerwonymi kropkami naszych okrętów. Skierowałem mnożnik na parę takich różnobarwnych ogników. Statek Galaktów był w porównaniu z naszym ogromny. Uśmiechnąłem się: nie mieliśmy powodów do narzekań, bo nasze niewielkie okręciki kryły w sobie wielką potęgę.

W zakończonym niedawno starciu ani eskadra Altana, ani zjednoczone siły Galaktów nie utraciły żadnego ze swych statków. Niszczyciele natomiast poza co najmniej jedną trzecią swojej flotylli stracili rzecz ważniejszą: nadzieję na zwycięstwo.

— Zrobiliśmy dobrą robotę — powiedziałem na głos. — Ale to dopiero początek, przyjaciele!

— Zrobiliście już właściwie wszystko — odparł z tajonym smutkiem Oleg. — A dla nas, młodzieży, zostały tylko drobne zabiegi porządkowe...

Przez strefę ogni zjednoczonej floty Ziemian i Galaktów przebijały się światełka gwiazd skupiska Phi Perseusza, a za nimi występowała z brzegów Droga Mleczna, najbardziej majestatyczna gwiezdna rzeka Wszechświata. Nigdzie nie wygląda ona tak pięknie i nigdzie nie są tak groźne pożerające jej jądro mgławice.

— Zrobiliśmy dobrą robotę — powtórzyłem. Ale tego, co należy jeszcze zrobić, wystarczy wszystkim na całe wieki. Tobie, Olegu, wyznaczymy inne zadanie poza granicami Perseusza, gdyż jedynie twoje pokolenie będzie mogło je wykonać. Gdzieś tam — wskazałem ręką na ciemne mgławice — mieszka zagadkowy i potężny naród Ramirów. Musimy się dowiedzieć, jacy oni są. Wyprawa do jądra galaktyki jest zadaniem, do którego twoje pokolenie już teraz musi zacząć się przygotowywać.